JÓZEFA BENSDORFFA

KALENDARZ

ROZMAJTOŚCI

na rok

1867.



Rok trzeci.

TABLICA

wschodu i zachodu słońca oraz długość dnia w Krakowie w roku 1867 od 5ciu do 5ciu dni.

miesiąc	dzień	wschód słońca		zachód słońca		długość dnia		zegar w poł. komp. wskaz. winien		miesiąc	dzień	wschód słońca		zachód słońca		długość dnia		zegar w poł. komp. wskaz. winien	
		g.	m.	g.	m.	g.	m.	g.	m.			g.	m.	g.	m.	g.	m.	g.	m.
Styczeń.	1	8	2	4	6	8	4	12	4	Lipiec.	4	4	0	8	8	16	8	12	4
	6	8	0	4	12	8	13	12	6		9	4	4	8	6	16	2	12	5
	11	7	59	4	18	8	19	12	8		14	4	9	8	1	15	52	12	6
	16	7	55	4	25	8	30	12	10		19	4	15	7	56	15	41	12	6
	21	7	51	4	33	8	42	12	11		24	4	21	7	51	15	30	12	6
	26	7	45	4	41	8	56	12	13		29	4	27	7	44	15	17	12	6
	31	7	39	4	49	8	10	12	14	Sierpień.	3	4	34	7	26	15	2	12	6
Luty.	5	7	31	4	57	9	26	12	14		8	4	42	7	28	14	46	12	5
	10	7	24	5	6	9	42	12	14		13	4	49	7	18	14	30	12	5
	15	7	15	5	16	10	1	12	14		18	4	56	7	10	14	14	12	4
	20	7	6	5	24	10	18	12	14		23	5	4	7	0	13	56	12	2
	25	6	55	5	32	10	37	12	13		28	5	11	6	50	13	39	12	1
Marzec.	1	6	45	5	40	10	55	12	12	Wrzesień.	2	5	19	6	39	13	20	11	59
	6	6	35	5	48	10	13	12	11		7	5	26	6	28	13	2	11	58
	11	6	25	5	57	11	32	12	10		12	5	34	6	18	12	44	11	56
	16	6	14	6	5	11	51	12	9		17	5	41	6	6	12	25	11	54
	21	6	3	6	12	12	9	12	7		22	5	49	5	55	12	6	11	53
	26	5	52	6	20	12	28	12	6		27	5	56	5	44	11	48	11	51
	31	5	41	6	28	12	27	12	4	Październik.	2	6	4	5	33	11	29	11	49
Kwiecień.	5	5	30	6	37	13	7	12	3		7	6	11	5	23	11	12	11	48
	10	5	19	6	44	13	25	12	1		12	6	20	5	13	10	53	11	46
	15	5	10	6	53	13	43	12	0		17	6	28	5	2	10	34	11	45
	20	4	59	7	1	14	2	11	59		22	6	36	4	52	10	16	11	44
	25	4	49	7	8	14	19	11	58		27	6	44	4	43	9	59	11	44
	30	4	40	7	15	14	35	11	57	Listopad.	1	6	53	4	34	9	41	11	44
Maj.	5	4	32	7	22	14	50	11	56		6	7	1	4	26	9	25	11	44
	10	4	24	7	29	15	5	11	56		11	7	9	4	19	9	10	11	44
	15	4	17	7	37	15	20	11	56		16	7	18	4	12	8	54	11	45
	20	4	9	7	44	15	35	11	56		21	7	26	4	6	8	40	11	45
	25	4	4	7	49	15	45	11	57		27	7	33	4	1	8	28	11	45
	30	3	59	7	54	15	55	11	57	Grudzień.	1	7	40	3	58	8	18	11	49
[illegible]	[illegible]	3	57	8	0	16	3	11	58		6	7	46	3	56	8	10	11	51
	9	3	55	8	5	16	10	11	59		11	7	52	3	55	8	3	11	54
	14	[illegible]	[illegible]	8	6	16	13	12	0		16	7	56	3	56	8	0	11	56
	19	[illegible]	[illegible]	8	9	16	16	12	1		21	7	59	3	57	7	58	11	59
	24	3	54	8	10	16	16	12	2		26	8	1	4	1	8	0	12	1
	29	3	56	[illegible]	10	16	14	12	3		31	8	2	4	5	8	3	12	3

KALENDARZ ROZMAJTOŚCI

POLSKI, RUSKI I ASTRONOMICZNO-GOSPODARSKI

NA ROK

1867

mający dni 365.

NA POŁUDNIK KRAKOWSKI WYRACHOWANY.



KRAKÓW.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA BENSDORFFA.

1866.

Liczby zwrotów kalendarskich i ruchome święta.

6. Zwrót księżyca czyli złota liczba **2.**
XXV. Epacta **VI.**

28. Zwrót słońca Cyclus Solaris. **11.**
F. Litera Niedzielna **A.**

10. Rzymski Poczet **10.**

Astronomiczny początek pór roku.

Wiosna d. 21 Marca o g. 2 m. 58 rano.
Lato d. 21 Czerwca o g. 11 m. 31 wieczór.

Jesień d. 23 Września o g. 1 m. 54 po połud.
Zima d. 22 Grudnia o g. 7 m. 58 rano.

Ruchome święta.

Obrzędu Rzymskiego.

Niedziela Starozapustna	17	Lutego.
Popielec	6	Marca.
Wielkanoc	21	Kwietnia.
Wniebowstąpienie Pańskie . . .	30	Maja.
Zielone Świątki	9	Czerwca.
Niedziela ŚŚŚ. Trójcy	16	Czerwca.
Boże Ciało	20	Czerwca.
Niedziela Adwentu	1	Grudnia.

Obrzęda Greckiego.

Nedela Miasopustna	19	Lutego.
Post Wełyki	5	Marca.
Pascha Chrystow	16	Kwietnia
Wznoszenie Hospod	25	Maja.
Soszesz S. Ducha	4	Czerwca.
Tyło Chryst	15	Czerwca.
Piotrówki Nedal 5 i dni 2.		
Nedela Adwentu	1	Grudnia.

Suchedni 1 Marca 13, 15, 16.
„ 2 Czerwca 12, 14, 15.

Suchedni 3 Września 18, 20, 21.
„ 4 Grudnia 18, 20, 21.

Męsopustu rachując od Nowego roku do Popielca, będzie tygodni 9. Ruskiego Męsoputu zaś niedziel 8. Wielkanoc ruska w tydzień po rzymskiej przypada.

Zaćmienia.

W roku 1867 przypadają 2 zaćmienia: słońca i księżyca, z których pierwsze zaćmienie słońca i drugie zaćmienie księżyca u nas będzie widziane. Zaćmienie słońca nastąpi dnia 6 Marca; pocznie się w Krakowie o godź. 9 m. 54 rano a skończy o godź. 12 m. 46 po południu; wielkość jego wynosić będzie przeszło 10 cali, jeżeli się średnicę tarczy słonecznej podzieli na cali 12 — zaćmienie to więc jedno ze znakomitszych. Zaćmienie księżyca u nas widzialne przypadnie w nocy z dnia 13 na 14 Września w 17 minut po północy; wynosić będzie 8 i pół cali, i skończy się o godź. 3 m. 15 rano.

Styczeń ma dni 31. **Janwar.** Januarius.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
1	W.	**Nowy Rok.** Almacha	20	Ihnatia Jepisko
2	S.	Makarego wyzn.	21	Juliany mucz.
3	C.	Daniela m. i Genow.	22	Anastazyia mucz.
4	P.	Dafrozy m. i Tyta	23	Muczen 10 w kr.
5	S.	Telesfora papieża.	24	*Wigil.* do Roz.
Ew. u ś. Mat. w roz. 2. O Trzech Król. udaj. się do Bethl.				
6	N.	**Trzech Króli**	25	**Rozdest Chrys.**
7	P.	Juliana męczennika	26	**Sob.** Pr. Boh.
8	W.	Maksyma i Seweryna	27	**Stefana mucz.**
9	S.	Marcyanny panny i m.	28	Dwie Imi mucz.
10	C.	Nikanora i Jana dob.	29	SS. Mładence.
11	P.	Higiniusza papieża	30	Anysyi mucz.
12	S.	Honoraty panny	31	Melanyi prep.
Ew. u ś. Łuk. w roz. 2. O Chrystusie w 12 latach.				
13	N.	*1 po 3 Kr.* Weroniki p.	1	*1 po Roz.* **Janwar Ob.**
14	P.	Hilarego b. i Feliksa	2	Sylw. papy.
15	W.	Pawła pust. i Maura.	3	Malachia pror.
16	S.	Marcella pap. i Otto.	4	Sobor 70 apost.
17	C.	Antoniego op. wyzn.	5	*Wigil.* do Bohoj.
18	P.	Kat. św. Piotra i Pr.	6	**Bohojawłen.**
19	S.	Fulgentego bisk.	7	Sobor s. Jana
Ew. u ś. Jana w roz. 2. O Godach w Kanie Galilej.				
20	N.	*2 po 3 Kr.* Imienia Jez.	8	*1 po Boh.* Heorhia pr.
21	P.	Agneszki panny	9	Połyjewkta muc.
22	W.	Wincentego i Anastaz.	10	Hryhoriad Jep
23	S.	Zaślubienie NMP. i Jld.	11	Fteodosya prep.
24	C.	Tymoteusza biskupa	12	Jatyanny mucz.
25	P.	Nawrócenie ś. Pawła	13	Germyła mucz.
26	S.	Batyldy i Pauli wd.	14	SS. Otec. w Syn.
Ew. u ś. Mateusza w roz. 8. O oczysz. trędowatego.				
27	N.	*3 po 3 Kr.* Jana Chr.	15	*2 po Boh.* Pawła Ftyw.
28	P.	Walerego i Flaw.	16	Petra Weryhi.
29	W.	Franciszka Salez. b.	17	Antonyja Wełyk.
30	S.	Hyacynty i Martyny	18	Aftanasy y Ky.
31	C.	Albertonii i Ludwiki	19	Makarya prep.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

1. Nowy Rok u KK. Domnikanów procesyja po krużgankach z ewanielijami.

6. w katedrze na Zamku.

20. u KK. Bernardynów i u OO. Bonifratrów.

20. u KK. Paulinów na Skałce.

21. 22. i 23. u PP. Bernardynek (św. Józefa), 40 godź. nabożeństwo.

22 Wotywa do św. Wincentego, jako patrona kleryków, o godź. 9 rano u KK. Dominikanów.

25. 26. i 27. u KK. Misyjonarzy na Stradomiu, 40 godzinne nabożeństwo.

29. u PP. Wizytek.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

7-1. Schebat.

L U N A C Y J E.

Nów d. 6 o g. 1 m. 50 rano. Mróz silny, suchy.
Pierwsza kwadra d. 13 o g. 5 m. 54 wieczór. Odwilż, śnieg obfity.
Pełnia d. 20 o g. 8 m. 56 rano. Zawieje śnieżne i mróz.
Ostatnia kwadra d. 27 o g. 4 m. 7 wieczór. Śniegi grube pokryją ziemię.

Luty ma dni 28. **Fewrał.** Februarius.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
1	P.	Ignacego biskupa m.	20	Jeuftymia Weł.
2	S.	**Oczyszczenie NMP.**	21	Maxyma prep.
Ew. u ś. Mat. w roz. 8. O wzruszen. wiel. na morzu.				
3	N.	*4 po 3 Kr.* Błażeja b.	22	*3 po Boh.* Timoftea ap.
4	P.	Andrzeja biskupa	23	Kłymenta Ep.
5	W.	Agaty panny męcz.	24	Xenyi prep.
6	S.	Doroty panny męcz.	25	Hryhorya boh.
7	C.	Romualda opata.	26	Xenofonta prep.
8	P.	Jana de Matha i Mar.	27	Joanna Złotoust.
9	S.	Apolonii panny m.	28	Jefrema prep.
Ew. u ś. Mat. w roz. 13. O nasieniu. dobr. i kąkolu.				
10	N.	*5 po 3 Kr.* Scholastyki	29	*4 po Boh.* Ihnatia jep.
11	P.	Seweryna opata.	30	**Trieh Swiat.**
12	W.	Modesta męczennika	31	Kyra y Joan m.
13	S.	Juliana męcz.	1	**Fewrał.** Tryf.
14	C.	Walentego kap. m.	2	**Stryt Hospod.**
15	P.	Faustyna i Jowity m.	3	Symeona boh.
16	S.	Julianny panny.	4	Isydora prep.
Ew. u św. Mat. w roz. 20. O robotnikach w winnicy.				
17	N.	*Starozapust.* Silwina b.	5	*5 po Boh.* Ahaftyi m.
18	P.	Simeona biskupa.	6	Wukoła Epis.
19	W.	Konrada wyznawcy	7	Parftynia.
20	S.	Leona biskupa.	8	Fteodora mucz.
21	C.	Eleonory panny.	9	Nykyfora mucz.
22	P.	Kat. św. Piotra w Ant.	10	Chrałampya m.
23	S.	Florentego wyznawcy.	11	Własya jep.
Ew. u ś. Łukasza w roz. 8. O nasieniu i siewcy.				
24	N.	*Mięsopust.* Macieja ap.	12	*6 po Boh.* Mełytya ar.
25	P.	Wiktoryn. i Wiktor.	13	Martyniana.
26	W.	Aleksandra biskupa.	14	Auxentia prep.
27	S.	Prokopa i Bazil. wyzn.	15	Onysyma ap.
28	C.	Romana opata.	16	Pamfyła mucz.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

2. we wszystkich kościołach odpust zupełny.

6. u ś. Marka (KK. Emerytów).

8. u ś. Katarzyny Błog. Izaijasza Bonera z zakonu KK. Augustynianów zmarłego w Krakowie d. 8. Lutego 1471 r.

13. u PP. Dominikanek na Gródku.

14. Odpust jednodniowy Cechu piekarzy z Pędzichowa u ś. Floryjana.

23. Zaczyna się Nowenna do ś. Kazimierza z Wotywą o godź. 9 rano, i trwa do 4 Marca.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

6-1. Adar. *A.*
19-14. mały Purim.

L U N A C Y J E.

Nów d. 4 o g. 7 m. 35 wieczór. Mroźne zawieje.
Pierwsza kwadra d. 12 o g. 3 m. 0 rano. Odwilż, deszcz ze śniegiem.
Pełnia d. 18 o g. 9 m. 1 wieczór. Wiatr zachodni pędzi chmury.
Ostatnia kwadra d. 26 o g. 0 m. 52 w południe. Przykre wiatry i zadymki.

Marzec ma dni 31. **Mart.** Martius.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
1	P.	Albina biskupa.	17	Fteodora mucz.
2	S.	Heleny ces. wdowy.	18	Lwa papy Rym.
Ew. u ś. Łuk. w roz. 18. Jezus przepowia. swą mękę.				
3	N.	*Zapustna.* Kunegundy	19	*Miasop.* Archyppa ap.
4	P.	Kazimirza króla pols.	20	Lwa ep.
5	W.	Euzebiego męczennika	21	Tymofeta prep.
6	S.	*Popielec.* Kolety panny.	22	SS. MM. w Ew.
7	C.	Tomasza z Akwinu.	23	Połykarpa jep.
8	P.	Jana Bożego m. i Bea.	24	Obrit. Hław. Jo.
9	S.	Franciszki rzym.	25	Jarasia arch.
Ew. u ś. Mat. w roz. 4. O djable który kusił Jezusa.				
10	N.	*1 Wstęp.* 40 Męczen.	26	*Syropus.* Porfyria arch.
11	P.	Konstantego wyznawcy	27	Prokopia.
12	W.	Grzegorza papieża	28	Wasyła prep.
13	Ś.	Krystyny p. i Teodo.	1	**Mar.** Gewdoki.
14	C.	Matyldy królowej.	2	Fteodota mucz.
15	P.	Izabelli i Leoncyi pp.	3	Jewtropia m.
16	S.	Cyriaka Dyak.	4	Harasyma prep.
Ew. u ś. Mateusza w roz. 17. O przemienienin Jezusa.				
17	N.	*2 Sucha* Gertrudy p.	5	*Post. Weł.* Konona m.
18	P.	Edwarda m. i Aleks.	6	SS. 42 M.
19	W.	Józefa obl. NMP.	7	Wasyłya prep.
20	S.	Eufemii i Teodozyi.	8	Fteofyłaka prep.
21	C.	Benedykta opata w.	9	SS. 40 Muczen.
22	P.	Katarzyny król. szw.	10	Kondrada mucz.
23	S.	Pelagii i Teodozyi pp.	11	Sofronia patr.
Ew. u ś. Łukasza w roz. 11. O wyrzucaniu djabłów.				
24	N.	*3 Głucha.* Gabriela ar.	12	*2 Post.* Eteofana prep.
25	P.	**Zwiastowanie NMP.**	13	Nikyfora.
26	W.	Teodora biskupa.	14	Wenedykta pr.
27	S.	Jana pustel. i Ruperta	15	Ahapia m.
28	C.	Syksta pap.	16	Sawyna m.
29	P.	Eustazego opata.	17	Aleksia prep.
30	S.	Kwiryna męcz.	18	Kyryłła arch.
Ew. u ś. Jana w roz. 6. O nakarmieniu 5000 ludzi.				
31	N.	*4 Srodop.* Balbiny i K.	19	*3 Postu.* Chryzanfta m.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

2. 3. i 4. u OO. Reformatów 40-godź. nab.

3. 4. i 5. u Panny Maryi 40-godzinne Nabożeństwo na ostatki.

6. Popielec. Zaczynają się nab. pasyjne: we Czwartki u ś. Piotra — w Piątki u KK. Franciszkanów (a 1 pasyja tamże w Niedź. Zapust.) — w Soboty u ś. Krzyża — Niedziele u KK. Dominikanów, u KK. Marków, u Bernardynów, u Augustyjanów, u OO. Kapucynów, u KK. Karmelitów na Piasku, u ś. Floryjana, — w Wielki zaś Piątek o godzinie 6 wieczór z wyst. N. Sakr. i kaz. — w Poniedziałki u P. Maryi, — we Wtorki u ś. Anny. — W każdy zaś Piątek o godzinie 8mej rano Wotywa solenna przed Panem Jezusem Cudownym z wyst. gwoździa, którym Zbawiciel był przybity do Krzyża, odprawia się w katedrze na Zamku.

7. u KK. Dominikanów 40 godzinne nabożeństwo (5, 6 i 7).

10. u OO. Bonifratrów.

19. u ś. Józefa i PP. Karmel. na Wesołej.

23. u KK. Franciszkanów odp. zupełny z wystawieniem N. Sakramentu i kazaniami w kaplicy M. Boskiej Bolesnej.

25. u KK. Franciszkanów, Bernardynów, Kapucynów, Augustyjanów i u Panny Maryi odpust zupełny.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

8-1. Adar *B.* — 20-13. post Estery.
21-14. Purim. — 22-15. Schuschan Purim.

L U N A C Y J E.

Nów d. 6 o g. 10 m. 58 rano. Zimne i mroźne wiatry.
Pierwsza kwadra d. 13 o g. 10 m. 7 rano. Ociepla się — deszcz.
Pełnia d. 20 o g. 10 m. 15 rano. Deszcz — rozciecz.
Ostatnia kwadra d. 28 o g. 9 m. 6 rano. Przymrozki ścinają rozciecz.

Kwiecień ma dni 30. **Aprel.** Aprilis.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
1	P.	Hugona bisk. wyz.	20	Pr. Otc. w Obit.
2	W.	Franciszka z Pauli	21	Jakowa prep.
3	S.	Rycharda bis.	22	Wasyłyja jep.
4	C.	Izydora bisk. w.	23	Nykona prep.
5	P.	Wincentego Fer. w.	24	Zacharyi prep.
6	S.	Celestyna pap.	25	**Błachowiszcze.**
Ew. u ś. Jana w roz. 8. O żyd. któr. chcieli ukam. J.				
7	N.	*5 Biała.* Epifaniusza	26	*4 Postu.* Sobor Haw.
8	P.	Dyonizego biskupa.	27	Matrony.
9	W.	Maryi Kleofy	28	Sw. Itariona.
10	S.	Ezechiela pror.	29	Sw. Marka.
11	C.	Leona pap.	30	Joanna Listw.
12	P.	*7 boleści NMP.*	31	Ipałya jep.
13	S.	Justyna męcz.	1	**Apryl.** Mrayi.
Ew. u ś. Mat. w roz. 21. O wjeździe Jez. do Jeruz.				
14	N.	*6 Kwietnia.* Waleryj.	2	*5 Postu.* Tyta prep.
15	P.	Basilissy i Anastaz. pp.	3	Nykyty.
16	W.	Lamberta męcz.	4	Josyfa prep.
17	S.	Rudolfa biskupa	5	Fteodota mucz.
18	C.	*Wiecz. Pańska.* Apol.	6	Jewtychia jep.
19	P.	*Wielki.* Wernera i An.	7	Heorhia prep.
20	S.	*Wiel.* Agneszki polic.	8	Irydiona ap.
Ew. u św. Marka w roz. 16. O zmartwychw. Jezusa.				
21	N.	**Wiel. Zmartw.** Anz.	9	*6 Postu.* Jewpsychia
22	P.	**Wiel.** Sotera i Kaja m.	10	Terentia m.
23	W.	Wojciecha arcybiskupa	11	Antypy jep.
24	S.	Jerzego męczen.	12	Wasyłia prep.
25	C.	Marka Ewang.	13	Artemona jep.
26	P.	NMP. Dobrej rady	14	Martyna pap.
27	S.	Anastazego pap.	15	Arystarcha ap.
Ew. u ś. Jana w roz 20. O ukazywa. się Jezusa ucz.				
28	N.	*1 Przew.* Witalisa m.	16	**Woskr. Chr.** Ahapii
29	P.	Piotra męcz.	17	**P. Swiet.** Sym.
30	W.	Katarzyny Seneń.	18	**W Swiet.** Joanna p.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

10. Rocznica cudow. ugasz. pażaru na Kleparzu w r. 1306 za przycz. św. Floryjana, półdniowe ranne naboż. z wyst. N. Sakramentu i supl. u ś. Floryjana.

15. u KK. Domin. przenosi się na niedź. po znaleź. ś. Krzyża.

18. umywanie nóg na Zamku z rana; po południu zaś o god. 4 u P. Maryi; wieczór w tymże kościele 4 kazania co godz.

19. i 20. obchody Grobu Pańskiego we wszystkich kościołach. Rezurekcyje wieczór.

21. w kościele Zmartwychwstania Pańskiego na Cmentarzu odpust, jako też w każdy miesiąc dn. 1 odpr. się naboż. żał. za wszystkie dusze zmarłe, na które udzielił pozw. z odpust. zupeł. Ojciec św. Pius IX. także odpust u KK. Augustynianów, Dominikanów i u ś. Floryjana.

22. u PP. Norbertanek na Zwierzyńcu, Emaus, odpust; u ś. Floryjana odp. brac.; u PP. Karmelitek i u ś. Józefa.

23. Rękawka obchód nar. na Podgórzu.

23. u ś. Wojciecha.

25. u ś. Marka 40 god. nab. (25, 6 i 7).

30. u PP. Dominikanek na Gródku.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

6-1. Nissan. — 20-15. *Początek Paschy.*
21-16. *Drugie święto.* 26,7-21,2. ostat. św.

L U N A C Y J E.

Nów d. 4 o g. 11 m. 24 wieczór. Przymrozki, wiatr południowo wschodni.
Pierwsza kwadra d. 11 o g. 4 m. 29 wieczór. Ociepla się, deszcz wiosenny.
Pełnia d. 19 o g. 0 m. 26 rano. Dnie pogodne przerywane słotą.
Ostatnia kwadra d. 27 o g. 3 m. 21 rano. Pogoda wiosenna.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
1	S.	Filipa i Jakóba ap.	19	Joanna prep.
2	C.	Zygmunta męcz.	20	Fteodora prep.
3	P.	Znalezienie krzyża ś.	21	Januaria mucz.
4	S.	Floryana m. i Moniki.	22	Fteodora Sykeot.
Ew. u ś. Jana w roz. 10. O Chryst. dobrym pasterzu.				
5	N.	*2 po W.* Grobu Jeroz.	23	*1 po Wos.* Heorhia m.
6	P.	Jana w oleju m.	24	Sawy mucz.
7	W.	Domicelli p.	25	Marka Jewangel.
8	S.	**Stanisława Bisk.**	26	Wasyłya mucz,
9	C.	Grzegorza Nanz. bisk.	27	Symeona Jep. M.
10	P.	Izydora rolnika.	28	Jasona ap.
11	S.	Mamerta biskupa.	29	Dewiat mucz. w Kiz.
Ew. u św. Jana w roz. 16. O odejściu Chr. do Ojca.				
12	N.	*3 po W.* **NMP. Łask.**	30	*2 po Wos.* Jakowa pr.
13	P.	Serwacego biskupa.	1	**Maj.** Jeremii pror.
14	W.	Bonifacego męcz.	2	Aftanasya Alex.
15	S.	Zofii i 3 córek m.	3	Tymoftea m.
16	C.	Jana Nepomucyna m.	4	Pełahyi mucz.
17	P.	Paschalisa wyz.	5	Iryny mucz.
18	S.	Feliksa kap. wyz.	6	Jowa Prawedna.
Ew. u ś. Jana w roz. 16. O przyczynie odejścia Chr.				
19	N.	*4 po W.* Piotra Celes.	7	*3 po Wos.* Wspom. K.
20	P.	Bernardyna wyznawcy.	8	Joanna Boshos.
21	W.	Peleukta i Donata mm.	9	Pren. M. Nykot.
22	S.	Julii panny m.	10	Symona ap.
23	C.	Dezyderyusza bisk.	11	Mokia mucz.
24	P.	Joanny wdowy.	12	Jepyfania jep
25	S.	Urbana pap.	13	Hłykerii mucz.
Ew. u ś. Jana w roz. 16. O skutku prośby w Im. Jez.				
26	N.	*5 po W.* Filipa Ner.	14	*4 po Wos.* Isydora m.
27	P.	*Krzyż.* Jana pap.	15	Pachamya Wety.
28	W.	*Krzyż.* Emiliana m.	16	Fteodota prep.
29	S.	*Krzyż.* Maksyma b.	17	Andronika ap.
30	C.	**Wniebow. Pańs.** Fel.	18	Fteodota prep.
31	P.	Petroneli panny.	19	Patrykia jepis.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

Przez cały Maj, jako miesiąc na cześć N. M. Pannie poświęcony, odbywają się tak zwane nabożeństwa Majowe w kościołach: u Panny Maryi, u KK. Karmelitów na Piasku, u ś. Piotra, i u OO. Kapucynów.

3. u ś. Krzyża, u P. Maryi, u KK. Franciszkanów, na Smoleńsku i u Bożego Ciała.

4. u św. Floryjana na Kleparzu 40 godzinne nab. (2. 3. i 4) w ostatni dzień procesyja z Katedry do tegoż kościoła z relikwijami tego Patrona.

4. u ś. Katarzyny na Kazimierzu św. Moniki matki ś. Augustyna, Patryarchy zakonu KK. Augustynianów.

8. w Katedrze jeden dzień, na Skałce zaś przez cały tydzień, nadto we wszystkie piątki od Wielkiejnocy aż do Zielonych świąt, odprawia się Nowenna do Świętego Stanisława o godzinie 5tej z rana na Skałce.

12. u P. Maryi, u ś. Józefa i u Karmelitanek.
15. u ś. Marka.
16. u ś. Wojciecha.
18. u OO. Kapucynów.
20. u XX. Bernardynów.
27. 28. i 29. dni krzyżowe, procesyje z Katedry.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

6-1 Ijar.

23-18 Lag-boomer.

L U N A C Y J E.

Nów d. 4 o g. 9 m. 0 rano. Pogoda, wiatr południowy.
Pierwsza kwadra d. 10 o g. 11 m. 24 wieczór. Deszczyk ciepły.
Pełnia d. 18 o g. 3 m. 12 po południu. Oziębia się, dnie pochmurne.
Ostatnia kwadra d. 26. o g. 6 m. 42 wieczór. Zimne i przykre powietrze.

Czerwiec ma dni 30. Jjun. Junius.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
1	S.	Fortunata i Juwentego	20	Ftałałea mucz.
Ew. u ś. Jana w roz. 15. O przyjściu pocies. D. św.				
2	N.	*6 po W.* Erazma b.	21	*5 po Wosk.* Konstan.
3	P.	Klotyldy królowej.	22	Wasyłyja mucz.
4	W.	Kwiryna bisk.	23	Michaiła prep.
5	S.	Florentego męczennika.	24	Symeona prep.
6	C.	Norberta opat. wyz.	25	**Woznosz. Hospod.**
7	P.	Roberta bisk.	26	Karpa apost.
8	S.	Medarda biskupa.	27	Fteraponta jep.
Ew. u św. Jana w rozdz. 14. O zesłaniu Ducha św.				
9	N.	**Zesł. Duch. św.** Fel.	28	*6 po Wosk.* Nykyty p.
10	P.	**Święt.** Małgorzaty.	29	Fteodozyi mucz.
11	W.	Barnaby apostoła.	30	Isaaka prep.
12	S.	*Such.* Onufrego wyz.	31	Jermia ap.
13	C.	Antoniego z Padwy.	1	**Jun.** Justyna m.
14	P.	*Such.* Bazylego w. b.	2	Nykofora patr.
15	S.	*Such.* Wita i Mod mm.	3	Lukitty mucz.
Ew. u św. Łukasza w roz. 6. O potrzebie ludz. i lit.				
16	N.	*1 po Św.* **SSS. Trój.**	4	**Soszez. ś Ducha.**
17	P.	Adolfa biskupa	5	**SSS. Trój.**
18	W.	Marka i Marcella mm.	6	Wyssariona pre.
19	S.	Gerwazego i Protaz.	7	Fteodota jep.
20	C.	**Boże Ciało.** Reginy	8	Fteodora mucz.
21	P.	Aloizego Gonzagi w.	9	Kyrryłła arch.
22	S.	Paulina bisk. wyzn.	10	Tymoftea jep.
Ew. u ś. Łuk. w roz. 14. O wezw. na wielką wiecz.				
23	N.	*2 po Św.* Agrypiny p.	11	*1 po Sosz.* Warftołom.
24	P.	Nar. ś Jana Chrzcic.	12	Onufrya prep.
25	W.	Gwilelma wyz.	13	Akityny prep.
26	S.	Jana i Pawła mm.	14	Eliscja pror.
27	C.	Władysława kr. Węg.	15	**Tylo Chryst.**
28	P.	*Wigil. Serca Jezusa.*	16	Tychona prep.
29	S.	**Piotra i Pawła ap.**	17	Manuita mucz.
Ew. u ś. Łukasza w roz. 15. O zgub. owcy. i groszu.				
30	N.	*3 po Św.* Emilii i Luc.	18	*2 po Sosz.* Leontya m.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

Przez cały miesiąc codziennie odpr. się nab. wieczorne do Serca Jezusowego u PP. Wizytek.

3. u KK. Kapucynów.
9. w Katedrze na Zamku 40 godź. nabożeń., u KK. Augustynianów, Dominikanów i Kamedułów na Bielanach przez jeden dzień.
13. we wszastkich kośc. reg. ś. Franciszka.
16. Odpust u KK. Dominikanów i u Bonifratr.
19. u KK. Kamedułów na Bielanach.
20. Boże Ciało, odpust zupełny przez tydzień u KK. Kan. lat. na Kazimierzu. Procesyje publiczne: we Czwartek rano z Katedry po Rynku, po południu od Bożego Ciała po parafii, w Piątek po południu od Marków, w Sobotę po poł. w parafii św. Krzyża, w Niedzielę rano Dominikańska po Rynku i u KK. Augustynianów na Kazimierzu, po południu od Świętego Floryjana po Kleparzu, w Poniedziałek od ś. Mikołaja po poł. po Wesołej, we Wtorek rano od Bernardynów; po południu od ś. Anny, we środę rano na Zwierzyńcu, po południu u ś. Piotra, we Czwartek rano od św. Szczepana i Franciszkanów, po południu od P. Maryi po Rynku, na zakończenie Konik, obchód narodowy.
24. u św. Jana.
28. 29 i 30 u PP. Wizytek 40 godź. nabożeńst.
29. u św. Piotra.
30. Poświęcenie Katedry na zamku.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

4-1 Siwan.
9. 10-6. 7 Zielone świątki, święto tygodn.

L U N A C Y J E.

Nów dnia 2. o g. 4. m. 34. po południu. Grzmoty i burze stronami.
Pierwsza kwadra d. 9. o g. 7. m. 57 rano. Czas nader przyjemny mimo wiatru.
Pełnia d. 17. o g. 6 m. 14 rano. Deszcze ulewne przeciągłe.
Ostatnia kwadra d. 25. o g. 6. m. 48 rano. Do odmiany się nakłania.

Lipiec ma dni 31. **Jjul.** Julius.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
1	P.	Teodoryka kapłana.	19	Judy apost.
2	W.	Nawiedz. NMP.	20	Meftodia jep.
3	S.	Anatolego wyz.	21	Jułyana mucz.
4	C.	Józefa Kalasantego.	22	Jewsewya jep.
5	P.	Filomei p. i Cyrilli m.	23	Achrypiny m.
6	S.	Izajasza pror.	24	**Rozdest Joan.**
Ew. u św. Łukasza w roz. 5. O obfitym połowie ryb.				
7	N.	*4 po Św.* Jana z Dukli	25	*2 po Sosz.* Fawronyi
8	P.	Jana i Elżbiety	26	Dawida prep.
9	W.	Cyrylla bisk.	27	Samsona prep.
10	S.	Amalii panny.	28	Kyra y Joanna.
11	C.	Pelagii męcz.	29	**Petra y Pawła.**
12	P.	Jana Gwalberta.	30	SS. Apost. 12.
13	S.	Małgorzaty panny.	1	**Jjul.** Kosmy i Dam.
Ew. u św. Mateusza w rozdziale 5. O sprawiedliwości.				
14	N.	*5 po Św.* Bonawentury	2	*4 po Sosz.* Poło. Ryzy.
15	P.	Rozesł. Ap. i Henryka	3	Jakinfta m.
16	W.	NMP. Skapl. i Raym.	4	Andreia arcb.
17	S.	Aleksego w. i Berty.	5	Aftanasia afr.
18	C.	Szymona z Lip.	6	Sysoa prep.
19	P.	Wincentego z Pauli.	7	Ftomy prep.
20	S.	Cesława w. i Kass.	8	Prokopia m.
Ew. u św. Marka w roz. 19. O nakarm. 4000 ludzi.				
21	N.	*6 po Św.* Daniela pror	9	*5 po Sosz.* Pankratya
22	P.	Maryi Magdaleny	10	45 mucz. Nikop.
23	W.	Teofila męcz:	11	Jewfymia m.
24	S.	Krystyny panny.	12	Prokta mucz.
25	C.	Jakóba apost.	13	Hawryiła arch.
26	P.	Anny mat. NMP.	14	Akyły ap.
27	S.	Jukunda męcz.	15	Kyryika mucz.
Ew. u św. Mateusza w roz. 18. O fałszywych prorok.				
28	N.	*7 po Św.* Kunegundy p.	16	*6 po Sosz.* Aftynohema
29	P.	Marty p. Feliksa pap.	17	Mariny mucz.
30	W.	Abdona i Sena mm.	18	Jemełyana m.
31	S.	Ignacego Loioli w.	19	Makaryny prep.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

2. u PP. Wizytek jeden dzień, u XX. Karmelitów zaś na Piaskn przez cały tydzień, w końcu 40 godz. naboż.
4. ś. Józefa Kalasantego, założyciela zakonu XX. Pijarów w kość. Przem. Pańsk. (XX. Pijar)
16. u PP. Karmelitek na Wesołej, u KK. Karmelitów i u ś. Barbary.
18. u XX. Bernardynów.
18. u NMP. uroczysta wotywa na pamiątkę pożaru w r. 1850 o godz. 10.
19. u XX. Missyjonarzy na Stradomiu a w Niedzielę u PP. Szarytek (ś. Łazarza).
14. Poświęcenie kośc. u XX. Augustynianów na Kazimierzu.
22. u XX. Dominikanów.
26. u ś. Anny jeden dzień, u XX. Bernardynów 40 godzinne naboż., a w Niedz. u św. Mikołaja.
28. u ś. Jędrzeja.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

4-1 Tamus.
20-17 Post, zdobycie kościoła.

L U N A C Y J E.

Nów d. 1 o g. 11. m. 8 wieczór. Pogoda, ale w końcu się burzy.
Pierwsza kwadra d. 8 o g. 6 m 51 wieczór. Szare niebo, ale słońce niebo przedziera.
Pełnia d. 16 o g. 9. m 16 wieczór. Parno, ale będzie pogoda.
Ostatnia kwadra d. 24 o g. 3 m. 52 po południu. Niepewna pogoda.
Nów d. 31 o g. 6 m. 3 rano. Stronami deszcze przechodzą.

Sierpień ma dni 31. **August.** Augustus.

D.	Tyg.	Święta rzymskie	D.	Święta ruskie.
1	C.	Piotra w okowach.	20	Jłyi pror.
2	P.	NMP. Anielskiej	21	Symeona prep.
3	S.	Znal. ś. Szczep. i Ly.	22	Maryi Mahdał.
Ew. u św. Łuk. w roz. 26. O niesprawiedl. szafarzu.				
4	N.	*8 po Sw.* Dominika w.	23	*7 po Sosz.* Trofyma
5	P.	NMP. Snieżnej	24	Chrystyny mucz.
6	W.	Przemienienie Pańs.	25	Uspen S. Anny.
7	S.	Kajetana wyz.	26	Jermołaja m.
8	C.	Cyryaka męcz.	27	Pantolejmona m.
9	P.	Kamilla z Lelis.	28	Prochora ap.
10	S.	Wawrzyńca i Filom.	29	Kattynyka m.
Ew. u św. Łukasza w roz. 19. O zburzeniu Jerozol.				
11	N.	*9 po Sw.* Zuzanny p.	30	*8 po S.* Syty Apost.
12	P.	Klary panny.	31	*Zapust. do Uspen.*
13	W.	Hipolita męcz.	1	**Awgust**. Proisch.
14	S.	*Wigil.* Euzebii m.	2	Stefana mucz.
15	C.	**Wniebowz. NMP.**	3	Isaaka prep.
16	P.	Rocha wyz. i Alipiego	4	Sedmy Otrokow.
17	S.	Anastazego bisk.	5	Jewsyhna mucz.
Ew. u ś. Łuk. w rozdz. 18. O Faryzeuszu i Celniku.				
18	N.	*10 po Sw.* Heleny sz.	6	*9 po S.* **Preobra. II.**
19	P.	Rufina wyznawcy.	7	Dometya pr.
20	W.	Bernarda opata.	8	Jemełyana jep.
21	S.	Joanny Fremiot wd.	9	Małftya ap.
22	C.	Symforyana m.	10	Ławrentya m.
23	P.	Filipa Benicyusza w.	11	Jewpła mucz.
24	S.	Bartłomieja ap.	12	Fotya mucz.
Ew. u ś. Marka w rozdziale 7. O głuchym i niemym.				
25	N.	*11 po Sw.* Ludwika k.	13	*10 po S.* Maksyma pr.
26	P.	Zefirina papieża.	14	Michea pror.
27	W.	Przen. S. Kaz. i Róż.	15	**Uspen Bohoro.**
28	S.	Augustyna bisk.	16	Nerukotw. obraj.
29	C.	Ścięcie S. Jana Chrzc.	17	Myrona mucz.
30	P.	Feliksa męcz.	18	Flora y Ławra
31	S.	Raymunda w.	19	Andrea mucz.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

2. we wszyst. kośc. reg. ś. Franciszka.

4. u PP. Domin. na Gródku i u KK. Dominikanów.

5. 40 godz. nab. (3, 4 i 5) u PP. Dominikanek.

6. u KK. Pijarów.

7. u OO. Kapucynów (7, 8 i 9) 40 godz. nab. i u OO. Bonifratów jeden dzień w Niedzielę.

12. 40 godz. nab. (10, 11 i 12) u ś. Jędrzeja.

15. u P. Maryi z oktawą, co dzień z 2 kaz. w końcu 40 godz. nab. i u KK. Augustynijanów jeden dzień.

18. u KK. Dominikanów cały tydzień.

21. u PP. Wizytek.

28. S. Augustyna bisk., założyciela zakonu KK. Augustynianów, odpust zupełny w kościele ś. Katarzyny na Kazimierzu; zaś u Bożego Ciała jako kanoników zakonnych ś. Augustyna przenosi się odpust na Niedz.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

2-1 Abb.

10-11 Post, spalenie kościoła.

L U N A C Y J E.

Pierwsza kwadra d. 7 o g. 8 m. 28 rano. Pogoda stała, niebo czyste.

Pełnia d. 15 o g. 11 m. 57. rano. Deszcze, wiatr południowo-zachodni.

Ostatnia kwadra d. 22 o g. 10 m. 42 wieczór. Deszcze i grzmoty stronami.

Nów d. 29 o g. 2 m. 24 popołudniu. Wszystko się ucisza, pogoda.

Wrzesień ma dni 30. Sentiabr. September.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
Ew. u ś. Łuk. w roz. 10. O zranionym Samarytanie.				
1	N.	*12 po Św.* NMP. Po. Br.	20	*11 po Sosz.* Samuiła p.
2	P.	Stefana króla Węgiers.	21	Ftadea apost.
3	W.	Eufemii panny.	22	Ahaftonyka m.
4	S.	Rozalii panny.	23	Łuppa mucz.
5	C.	Urbana pap.	24	Jewtychia m.
6	P.	Zacharyasza pror.	25	Warftłomea ap.
7	S.	*Wigil.* Reginy panny.	26	Adryana m.
Ew. u ś. Łuk. w roz. 17. O uzdrow. 10 trędowatych.				
8	N.	*13 po S.* **Nar. NMP.**	27	*12 po Sosz.* Pimona p.
9	P.	Gorgoniusza męcz.	28	Mojsea muryna
10	W.	Mikołaja z Tolen.	29	Usiknow. Joan.
11	Ś.	Prota i Jacka mm.	30	Alexandra patr.
12	C.	Gwidona wyznawcy	31	Połoz. Pojasz.
13	P.	Elogiusza biskupa.	1	**Santiabr.** Sym.
14	S.	Podwyż. ś. Krzyza.	2	Mamonta m.
Ew. u ś. Mat. w roz. 6. O służeniu Bogu i mamonie.				
15	N.	*14 po Sw.* Im. NMP	3	*13 po Sosz.* Anftyma
16	P.	Ludomiły i Eufemii.	4	Wawyła Sw.
17	W.	Piet. Fran. i Hildyg.	5	Zacharya pror.
18	S.	*Such.* Józefa z kopert.	6	Cudo ś. Michaił.
19	C.	Januaryusza męcz.	7	Zozonta mucz.
20	P.	*Such.* Eustachiusza b.	8	**Rozdest Bohor.**
21	S.	*Suched.* Mateusza ap.	9	Joakima y Anny.
Ew. u św. Łuk. w roz. 4. O wskrzesz. syna w Naim.				
22	N.	*15 po Sw.* Maurycego.	10	*14 po Sosz.* Mynodory
23	P.	Tekli panny męcz.	11	Fteodory pr.
24	W.	Gerarda bisk.	12	Awtenoma m.
25	S.	Władysława z Gieln.	13	Kornilia Sotnika
26	C.	Józefata bisk.	14	**Wozdwyz. c. k.**
27	P.	Przen. ś. Stanisława	15	Nykity mucz.
28	S.	Wacława męcz.	16	Josafata archiep.
Ew. u św. Łukasza w roz. 14. O uzdrow. opuchłego.				
29	N.	*16 po Sw.* Michała Ar.	17	*15 po Szcz.* Sofii m.
30	P.	Hieronima doktora.	18	Jewmenia pre.

NABOŻEŃSTWA w kościołach Krakowskich.

1. u KK. Augustynianów N. Maryi Panny Pocieszenia.

1. 40 godz nab. (1, 2 i 3) u PP. Norbertanek na Zwierzyńcu.

1. u ś Idziego.

1. u. ś. Floryana Wotywa solenna o godz. 9. rano, po któręj komp. udaje się do Częstochowy.

4. u ś Barbary.

8. u P Maryi, u KK. Domin., u KK Bernard., u KK. Karmelit. 40 godz nab. i u KK. August. z oktawą.

10 u KK. Augustynianów po Wotywie pobłogosławienie chleba, jako w dzień św. Mikołaja z Tolentynu z zakonu Augustyańskiego.

14. u KK. Franciszk, u P. Maryi, u ś. Krzyża 40 god. nab. u Bożego Miłosier. na Smoleńsku i u KK. Cystersów w Mogile cały tydzień.

15. w kościele katedralnym na zamku Wotywa solenna na podziękowanie Bogu za ocalenie kościoła wczasie pożaru dnia 15. Września 1702.

17. u OO. Reformatów.

23. u ś. Wojciecha.

27. w kośc katedral. na zamku.

28. w kośc. zamkowym.

29. na Skałce i u Bożego Ciała.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

1-1 Elul.

30-1 Tischry Nowy rok 5628.

L U N A C Y J E.

Pierwsza kwadra d. 6 o g. 0 m. 51 rano. Pogoda stała.
Pełnia d. 14 o g. 1 m. 53 rano. Niebo szare, deszcz przechodzi.
Ostatnia kwadra d. 21 o g. 4 m. 29 rano. Jeszcze deszcze przepadają.
Nów d. 28 o g. 1 m. 2 rano. Wypogadza się.

Październik ma dni 31. **Oktiabr.** October.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
1	W.	Remigiusza bisk.	19	Trofyma mucz.
2	S.	Aniołów Stróżów.	20	Jewstafya m.
3	C.	Kandyda i Lukrecyi.	21	Kodrata ap.
4	P.	Franciszka Seraf.	22	Foky mucz.
5	S.	Placyda męcz.	23	Zaczaty Joanna.
Ew. u ś. Mat. w roz. 22. O miłości Boga i bliźniego.				
6	N.	*17 po Św.* NMP. Róż.	24	*16 po Sosz.* Ftekły m.
7	P.	Brunona wyz.	25	Jewrosinii prep.
8	W.	Brygitty wdowy.	26	**Joanna bochost.**
9	S.	Dyonizego Areopa.	27	Katystrata m.
10	C.	Franciszka Borg.	28	Charytona prep.
11	P.	Placydy i Fil. pp.	29	Kyryaka prep.
12	S.	Maxymiliana bisk.	30	Hrychorya jep.
Ew. u św. Mateu. w roz. 9. O uzdrowieniu paralityka.				
13	N.	*18 po Św.* Wincen. K.	1	*17 po S.* **Oktiabr. P.**
14	P.	Kaliksta pap.	2	Kapriana S. M.
15	W.	Jadwigi i Teresy.	3	Dyonysya m.
16	S.	Gawła opata.	4	Jereofta jep.
17	C.	Florentego bisk.	5	Chartyna m.
18	P.	Łukasza ewang.	6	Ftomy ap.
19	S.	Piota z Alkantary	7	Serhya Wak.
Ew. u św. Mat. w roz. 22. O wezwanych na Gody.				
20	N.	*19 po Św.* Jana Kan.	8	*18 po Sosz.* Pełahyi p.
21	P.	Przen. ś Wojciecha.	9	Jakowa Alfeowa.
22	W.	Korduli panny.	10	Jewtampya m.
23	S.	Jana Kapistrana.	11	Fyłyppa ap.
24	C.	Rafała archan.	12	Prowa m.
25	P.	Kryspina i Krys.	13	Karpa y Cap.
26	S.	Ewarysta pap.	14	Nazarya m.
Ew. u ś. Jana w roz. 9. O chorym synie królewskim.				
27	N.	*20 po Św.* Winc. i Sab.	15	*19 po Sosz.* Jewtymya
28	P.	Szymona i Judy Tadeu.	16	Łonhina M.
29	W.	Narcyza bisk.	17	Osyi proroka.
30	S.	Marcella pap.	18	Łuki Apost.
31	C.	*Wigil.* Wolfgang b.	19	Joila proroka.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

2. u P. Maryi Wotywa w kaplicy na górze.

4. u KK. Franciszkanów przez cały tydz. w końcu 40 godz. nab. we wszyst. kość. reg. ś. Franciszka przez jeden dzień.

6. u KK. Dominikanów przez cały tydz. procesya z ewang. po rynku, codzień rano i wiecz. nab. z kaz.

15. u PP. Karmelitek na Wesołej.

17. 18 i 19 u KK. Reformatów 40 g. nab.

21. u św. Anny przez tydzień w końcu 40-godz. nabożeństwo.

23. u KK. Bernardynów.

25. u ś. Piotra odkład. na Niedz.

28. u Szarytek na Kleparzu.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

1-2 Tiszri drugie święto.
2-3 Post Gedaliah.
9-10 Sądny dzień.
14-15 Kuczki.
15-16 Drugi dzień Kuczek.
20-21 Palmowe święto.
21-22 Koniec kuczek.
22-23 Radość z prawa.
30-1. Marscheswan.

L U N A C Y J E.

Pierwsza kwadra d. 5 o g. 7 m. 37 wieczór. Deszcz drobny ale zimny.
Pełnia d. 13 o g. 2 m. 44 po południu. Pogoda, wiatr wschodni.
Ostatnia kwadra d. 20 o g. 10 m. 36 rano. Pogoda, ale się chwieje.
Nów d. 27 o g. 2 m. 23. po południu. Deszcz zimny.

ŻYWOT Ś. JANA KANTEGO
wyjęty z Brewijarza Rzymskiego.

Święty Jan urodził się 1397 roku z pobożnych i uczciwych rodziców Stanisława i Anny w miasteczku Kenty, niegdyś Dyecezyi Krakowskiej, i od tego miejsca Kantym go nazwano. Od samego dzieciństwa jaśniał już nadzieją świątobliwości i cnoty, okazując piękne obyczaje, szczególniej powagę i niewinność. Starszy uczył się w Wszechnicy Krakowskiej filozofii i teologii, potem przechodząc przez wszystkie stopnie akademickie, został Doktorem i Profesorem Pisma świętego.— Nauką tą, którą przez długi czas wykładał, nie tylko objaśniał umysły uczniów swoich, ale ich i do prawdziwej pobożności zagrzewał i zapalał, bo ucząc, zarazem i czynił, czego uczył. Poświęcony na kapłana, nauczanie ściślej połączył z życiem doskonałości chrześcijańskiej. Nad obrazą Boga żywo bolał, i aby Go dla siebie i dla ludu przebłagać, codziennie bezkrwawą ofiarę Mszy świętej ze łzami sprawował. Zleconą sobie parafiją w Olkuszu przez niejaki czas pieczołowicie zarządzał, i lubo wszystkie Pasterza obowiązki pracowicie i pilnie wypełniał, zważając jednak urząd ten pełen niebezpieczeństwa, takowy z powodu bojaźliwego sumienia wkrótce złożył, a na żądanie Akademii znowu do nauczania powrócił. Ile mu zostawało czasu od nauczania, ten cały obracał, albo



na pracę około zbawienia bliźnich przez kazania łożoną, albo na modlitwę, na której go Bóg niekiedy nadprzyrodzonych rzeczy widzeniem i rozmową obdarzał. Męką Zbawiciela i bolesną śmiercią Jego tak żywo się zajmował, że na jej rozważaniu całe noce bezsenne trawił, i aby się głębiej w jej rozmyślaniu zanurzył, do Jerozolimy na miejsce święte pielgrzymkę odbył, a męczeństwa pragnieniem ujęty, nie wahał się nawet Turkom ukrzyżowanego Chrystusa opowiadać.— Cztery razy także groby śś. Apostołów w Rzymie, tłomaczkiem potrzeb podróżnych obciażony, pieszo zwiedzał, by uczcił Stą Stolicę Apostolską, jako też, by kary swoje czyszczowe (jak mawiał) odprawioną tam codziennie grzechów swoich spowiedzią opłacił. Raz w drodze idącemu do Rzymu, łotry zabiegli i wszystko odebrali, a gdy pytającym się, czyliby jeszcze czego nie miał przy sobie? odpowiedział, że nie ma, potem przypomniawszy sobie, że jeszcze miał kilka

dukatów zaszytych w płaszczu swoim, wołał za uciekającymi, by się wrócili, że skłamał, oddając im przypomniane sobie dukaty; lecz łotry czystością sumienia tego Męża świętego pobudzone, i tych nie przyjęli, i zabrane oddali. Aby zapobiedz obmowie, przez którą sławie bliźniego ciężką krzywdę wyrządzamy, za przykładem św. Augustyna, napisał na ścianie wiersze, któremi i siebie i innych przestrzegał. Zgłodniałych, sobie ujętemi potrawami nasycał. Nagich, nie tylko kupioną odzieżą, ale zdejmowaną z siebie własną suknią lub obuwiem odziewał, spuściwszy płaszcz na nogi, aby go nie spostrzeżono, że boso do swego mieszkania powracał, Snu krótkiego i to na gołej ziemi, sukni nie dla ozdoby, ale dla pokrycia ciała, pokarmu wreszcie tyle tylko, ile dla utrzymania życia wystarczało, używał. Dziewiczą niewinność, jako liliją między cierniami, w ostrej włósiennicy, biczowaniu i ścisłych postach chował, a nawet przez trzydzieści pięć lat przed śmiercią swoją mięsnych potraw nie jadał. Nakoniec pochylony wiekiem, pełen zasług i pobożności, gdy przeczuł, że się już zbliża kres życia Jego, do którego się od dawna przygotował, aby go żadna rzecz do siebie nie wiązała, co jeszcze miał w mieszkaniu swojem, wszystko ubogim rozdał. Opatrzony Świętymi Sakramentami, pragnąc rozstać się ze światem, a połączyć się z Chrystusem, w wigiliją Jego urodzenia zasnął słodko w Panu r. 1473 a 76 wieku swego, słynny cudami za życia i po śmierci. Zwłoki Jego zaniesiono do bliskiego Akademii kościoła św. Anny i ze czcią pochowano. Szerząca się zaś nieustannie świątobliwości i cudów sława, była pobudką, że lud prawowierny coraz częściej grób Jego nawiedzał i większą cześć mu oddawał. Dlatego pomiędzy pierwszych patronów Polski i litwy policzony został. Nareszcie nowemi cudami wsławionego Klemens XIII. Papież dnia 17. Sierpnia 1767 w poczet Świętych uroczyście zapisał na większą Bogu chwałę.

PUDEŁKO SREBRNE.

Powiastka fantastyczna przez **Aleks. Dumasa**, syna.

O trzy mile od Paryża, w północnej stronie, daje się widzieć śliczny pałacyk w stylu Ludwika XIII.; to jest z cegieł, z wieżyczkami po rogach pokrytemi dachami na kształt lejków, uwieńczonemi wyrzynanemi bukietami z żelaza, szczęśliwego gustu. Nim został pałacem, pałacyk ten był klasztorem; posiadał wszystkie zalety wygódek, do jakich przywykli byli dawni mieszkańcy klasztorów, jeszcze przed wpływem angielskim; nazywano to skromnem schronieniem; takim trybem pierwszy właściciel tej budowli z łatwością zdołał ją przeobrazić w najprzyjemniejsze mieszkanie, jakie tylko życzyć sobie można było.

Z cel 1go piętra pobudowano piękne pokoje dla gości; wschody kamienne z poręczą rzeźbami ozdobną, ogrzane zostały miękkim dywanem; refektarz i mownica łatwo zamienione zostały w salon, salą bilardową i salą jadalną. Kuchnie pierwotne tak doskonale urządzonemi były, żeby wiele na zmianie stracić musiały. Zostawiono je więc nietknięte, jak na to sobie zasługiwały. Nie wiem czy pierwsi właściciele tego mieszkania gościnnymi byli? gdyby zaś w tym względzie zadłużyć się mieli, to obecny właściciel dług ten hojnie zapłacił; bo niepodobna przyjmować z wyższym taktem, szlachetniej i milej. Ale na nieszczęście nie o nim to mam opowiadać, a skromność nie pozwala mi skreśląć to, czego byłem świadkiem. Ale opowiem wam historyjkę, której część działa się w tym domu za poprzedniego dziedzica.

Przed 50ciu laty w miesiącu Wrześniu, znajdowało się kilka osób zgromadzonych w salonie pałacu. Najprzód jedna pani 45cio-letnia, znosząca dosyć filozoficznie swój stan wdowi, opływając w do-

statki, i otoczona przyjaciołmi. Dawniej była piękną i dzisiaj nią jest jeszcze, przytem nosi tytuł margrabiny. Pani ta była gospodynią domu. Obok niej siedziała młoda kobieta, baronowa d'Ange (anioł); piękne imię? nie prawdaż? — lecz jeszcze piękniejsza osoba, to wam zaręczam. Lecz nie spodziewajcie się po mnie opisu jej wdzięków; stary to, a niezmienny obrazek, którego pierwotne kolory wiecznie są: biały, niebieski, różowy; a porównawcze ozdoby: lazur nieba, perły morskie, złoty jak kłos dojrzały, blask śniegu, czarny jak heban, a biały jak lilija. Lubisz brunetki? a więc utwórz sobie twój ideał z młodej kobiety brunetki; wolisz blondynki? zgoda, więc ci powiem, że baronowa moja była blondynką. Widzisz, że jestem łatwym do pożycia, tylko wymagam, ażeby ci się podobała, bo ja istotnie nie wiem, czy ona była brunetką lub blondynką, zresztą to bagatela. Wdzięk może być i blondynem i brunetem, i urok może być blondynem i brunetem; baronowa była i wdziękiem i urokiem uosobionym. Gdzie jest jej mąż? gdzie jest jej kochanek? zapytacie natychmiast; bo my biedni historycy serca, jak tylko wprowadzimy na scenę kobietę piękną i młodą, musimy natychmiast oznajmić, że ona kocha, kogo kocha? jakim sposobem? na co? musimy wedrzeć się we wszystkie przeobrażenia owej miłości, dopókąd nie opuścimy ją albo szczęśliwą, albo umarłą, w ostatnim wierszu księgi naszej. Lecz i tu oszukaliście się, baronowa nie ma ani męża, ani kochanka, a dodam że żadnego nie czuje pociągu ani do jednego, ani do drugiego; jednak nie ręczę za przyszłość.

Tymczasem jest wdową jak margrabina.

Jeszcze trzy inne znajdowały się osoby w salonie: doktor trzydziesto pięcio letni, nazwiskiem Klaudin, stary jenerał nazwiskiem Saint-Brun, i bogaty bankier nazwiskiem Karillak.

Przypatrzywszy się rzeczom sądzę: że jenerał chciałby się ożenić z margrabiną; bankier z Baronową; a doktór gdyby to do skutku przyszło, życzyłby sobie być lekarzem żony bankiera; ale nam nic do tego.

— Pyszna pogoda, zaczęła mówić margrabina, będziecie panowie mieli jutro piękne polowanie.

— Na kogo jeszcze czekacie państwo? zapytał Klaudin.

— Na pana de Montidy.

— Przyjemny młodzieniec, zawołał jenerał.

— A który powinienby przybyć już od godziny, dodała pani d'Ange, wkrótce piąta wybije.

— Dziwna rzecz, nigdy się nie spóźnia. Gdyby mu się tylko co nie wydarzyło?

— Jakże podróżuje?

— Zawsze konno.

— Nie masz niebezpieczeństwa, droga doskonała.

— A on wyborny jeździec.

— Niezawodnie jaki wypadek go zatrzymał.

— Życzycie państwo przejść się na poczekaniu?

— Dobrze, zapewnie.

— Józefie, mówi margrabina do służącego, wchodząc w szeroką drobnym piaskiem wysypaną aleję obszernego zwierzyńca, jak pan Montidy przybędzie, to mu powiedz, że się znajdujemy w bliskości bażantarni.

Rozdzieliwszy się na dwa towarzystwa, przechadzali się. Powrócili o godzinie 6tej, pan Montidy nie przybył.

Zaczęto się niepokoić. O 7mej nie widać.

— Już nie przyjedzie dzisiaj, mówi Margrabina.

Udano się do sali jadalnej, bo zwyczajnie w pałacu obiadowano o 7mej, wtem lokaj odmykając podwoje:

— Pan Julijan de Montidy, oznajmia.

— Ach! to szczęśliwie, zawołała baronowa, przybywasz pan na czas.

Pan de Montidy uścisnął rękę margrabiny, ucałował paluszki pani d'Ange, pozdrowił poufnie doktora, uchylił się z uszanowaniem przed jenerałem, skłonił się bankierowi, którego nie znał, a potem usiadł na czekającem go miejscu.

Pan de Montidy był to młody, elegancki panicz, dosyć bogaty, dosyć przystojny, dosyć dobry.

— Teraz, wytłomacz nam pan cokolwiek, dlaczego o trzy spóźniłeś się godziny? zapytała margrabina.

— Oh! to nie moja wina. Przypatrzcie mi się państwo?

— Prawda, jesteś pan pobladły.

— W tem cała moja wymówka.

— Czyś pan zasłabł?

— Nie, nie zupełnie.

— Cóż więc się stało?

— O mało żem już nigdy nie miał tu przybyć.

— Wytłomacz się pan.

— Po obiedzie; nie życzę nikogo pozbawić apetytu.

— To coś dramatycznego?

— Tak jest.

— Dobrze, ale uprzedzam, że jeżeli tłumaczenie nie będzie dostatecznem, to nas pan surowymi znajdziesz.

Obiadowano wesoło jak to zwyczajnie bywa na wsi między przyjaciołmi, a po obiedzie powrócono do salonu.

— Słuchajmy usprawiedliwienia, mówi margrabina.

— Cóż państwo wznosiliście z mego opóźnienia?

— Że zapomniałeś, rzekła baronowa.

— To nie było prawdopodobnem.

— Że pana jakiś spotkał wypadek.

— Tak, to co innego.

— Więc to prawda? Czyż już niebezpieczeństwo minęło?

— Już.

— Słuchajmy więc.

— Widzieliście kiedy państwo, kogoś spadającego z czwartego piętra?

— Sczęściem nigdy.

— A więc ja widziałem, i to dzisiaj.

— Gdzie?

— Na ulicy Śgo Honoryjusza.

— Ah! mój Boże! któż to był? czy kobieta, czy mężczyzna?

— Kobieta.

— Młoda?

— Dwadzieścia lat.

— Biedna! Czy to wypadek? czy samobójstwo?

— Samobójstwo.

— Czy blisko pana padła?

— Krok naprzód, byłaby na mnie spadła, lecz upadła mi pod nogi.

— Ah! to straszne!

— Oj, za to ręczę.

— Zabiła się?

— W mgnieniu oka.

— Czy wiadomo dla czego cisnęła się z okna?

— Nie. Robiono tysiąc domniemywań przy jej biednem ciele, ale państwo się domyślacie, że mnie to nie bawiło.

— Czy już pan byłeś w drodze jak się to stało?

— Nie. Powracałem do siebie po konia i miałem jechać. Znajdowałem się w towarzystwie jednego z mych przyjaciół; szliśmy prędko. Wtem z wielkim chałasem, wydając krzyk przeraźliwy, pada coś przed nami. Była to kobieta. Otoczono ją. Siły mię odbiegły, czułem że omdlewam; ażeby nie upaść, musiałem o mur się oprzeć; ażeby nie widzieć, musiałem odwrócić oczy. Drżałem, drżeniem nerwowem, powróciwszy do siebie, przez dwie godziny, czułem niezmierny ciężar na piersiach.

— A pański przyjaciel?

— Oh! mój przyjaciel? On był bardzo spokojny.

— Jakto, bardzo spokojny? To co widział nie zrobiło więc na nim żadnego wrażenia?

— Najmniejszego.

— To być nie może?

— To tak jest, jak miałem honor powiedzieć. On jest takiego usposobienia, że go nic nie wzruszy. To on co podjął trupa. Kiedy jedni uciekali, kiedy bez potrzeby drudzy się tłoczyli, kiedy damy krzyczały, kiedy nikt nieśmiał dotknąć tej nieszczęśliwej kobiety; kiedy ja sam ażeby przyjść do siebie, piłem szkalkę wody; on ujął to zgruchotane ciało, po którym krew się sączyła, w swoje ramiona, i zaniósł do najbliższego sklepu towarów, gdzie je złożył, mówiąc: „Jeżeli ta się wywinie z tego, to będzie miała wielkie szczęście.“ Potem poszedł za mną, i w drodze, jak gdyby nic się nie stało, kończył historyjkę, którą przed wypadkiem opowiadać mi zaczął. Żadnej zmiany nie dojrzałem na jego twarzy.

— I prawdziwie tacy ludzie są na świecie?

— Nie masz jak tylko jeden, i ten mnie się dostał, jak się zdaje.

— I pan nazywasz go przyjacielem?

— Dla czego nie?

— Bo on nie godzien przyjaźni.

— Nie ma serca.

— Wiele ma lat?

— Nie starszy ode mnie.

— To jakiś kat?

— Nie sądzę.

— Cóżeś mu pan na to powiedział?

— Nic. We wszystkich wypadkach, gdzie ludzie głowy tracą, jam go widział zawsze spokojnym.

— To jakaś straszna natura?

— I nie ma jak lat 22?

— Tak.

— To niepodobna.

— Jak powróciliśmy do domu, kazał sobie zastawić śniadanie, które spożył z najlepszym apetytem.

— To jakiś Farmazon.

Julijan się zaśmiał.

— Opowiedziałem rzetelnie co on robił, kiedy ja na nogach utrzymać się nie mogłem; jednak przypisuję sobie tyleż męztwa, ile inni posiadać go mogą.

— To on też w tej sprawie, nie dał żanego dowodu męztwa, mówił jenerał, co się znał na męztwie.

— To dowód nieczułości, której nie posiadam, pomimo że jestem lekarzem, powiedział pan Klaudin.

— A ja utrzymuję, że jest sposób poruszyć tego nieczułego, dodał pan Karillak, bankier, który mówiąc był przekonany, że złoto z ust jego płynie,

— Są wzruszenia, które utaić niepodobna. Pana zaś przyjaciel lubi żarty. Jestto jednem słowem udawacz, jak to nazywają pospolitem językiem, dodała pani d'Ange.

— Być może, odpowiedział Julijan, ale w takim razie doskonały udawacz.

— Ja się zakładam, że go wzruszyć potrafię.

— Nie sądzę.

— Czy bogaty? zapytał bankier.

— Nie bardzo.

— Czy się pojedynkował? zapytał jenerał.

— Nigdy.

— Czy już się kochał? zapytała z kolei młoda dama.

— Nie.

— To dzieciak, zawołał bogacz. Żądam dwóch godzin, a za godzin dwie, zburzę go.

— A ja pięć minut, a struchleje i zemdleje dodał wojskowy.

— A ja żądam dwa słowa powiedzieć, a będzie płakał, dodała baronowa.

— A więc, powiada Julijan, jest jedna rzecz do zrobienia.

— Jaka?

— Jeżeli margrabina zezwoli, napiszę, a przyjedzie polować z nami.

— Dobrze, pozwalam, a więc?..

— A więc niech każdy swych sił na nim spróbuje; jeżeli się na chwilkę zachwieje, jeżeli mu tylko raz serce zabije, ja przegram wszystkie zakłady.

— Ale go pan nie uprzedzisz?

— Bynajmniej; każdy swą probę ułoży podług swej fantazyi, ma się rozumieć.

— Ale czy przyjmie zaproszenie?

— Nie ma nic do czynienia.

— Więc przyjedzie?

— Jutro.

— Zgoda.

Julijan wziął pióro, i natychmiast napisał do swego przyjaciela, wręczył list służącemu, który go zaraz zaniósł na pocztę, ażeby ów panicz mógł na 12stą przybyć godzinę.

Cały wieczór przeszedł na badaniu Julijana o tego nadzwyczajnego człowieka: czy ładny? czy mały? czy wysoki? czy brunet? czy blondyn? i t.p.

Na te wszystkie zapytania, Julijan ograniczył się odpowiedzią:

— Nic nie powiem. Zobaczycie państwo.

Każdy więc z osobna mógł sobie podług upodobania wyobrażać tego, który wszystkich tak zajął. W zgodzie z domniemywaniami, które zobopólnie udzielono sobie, postanowiono: że musi być wysoki, szczupły, blady, czarno ubrany, ze świecącymi oczyma, z białemi zębami, z długiemi włosami w tył zarzuconemi, że chodzi, jak chodziły fantastyczne utwory Hoffmana.

Nazajutrz, kiedy w niecierpliwym oczekiwaniu, wszyscy zebrani byli w salonie, służący otworzywszy podwoje, oznajmił.

— Kawaler d'Ilo.

Oczy wszystkich przytomnych zwróciły się ku drzwiom, któremi wszedł człowiek młody, średniego wzrostu, blondyn, z uśmiechem na ustach, z twarzą okrągłą tłustą, ze spojrzeniem pełnem słodyczy, którem, po ukłonie wykwintnego gustu, powlekł po towarzystwie. Małe nogi, piękne lica, białe zęby, koralowe usta, mina bogatego zdrowiem, cera różanna, wzbudziły natychmiast we wszystkich dla niego sympatyczne uczucie. Miał minę chłopca dobrze karmionego, Apolla tłuściocha, nie romantycznego, lecz apetycznego do całusa. Był on żyjącą protestacyją duszy, którą mu przypisywano. Poglądano na siebie z zadumieniem, już kilka błyszczało figlarnych uśmiechów po ustach, i już każdy powziął wewnętrzne przekonanie, że pan de Montidy, żartował sobie ze wszystkich.

Julijan, który się spostrzegł, jak zupełnie sprzeczne wrażenie jego przyjaciel zrobił, powstał, ujął go za rękę, i prowadząc, przed margrabiną rzekł:

— Pozwól mi pani, przedstawić jej najlepszego mego przyjaciela kawalera d'Ilo; który zarazem wytłomaczyć może, że spóźnienie moje wczorajsze, bynajmniej od mojej nie zawisłe było woli.

— Pawda pani, i Julijan zasługuje na pobłażanie, zwłaszcza jeżeli uskarbi go i dla mnie, który nie miałem innego tytułu jak przyjaźń jego, ażebym tak przyjemne otrzymał zaproszenie, jakiem mnie pani zaszczycić raczyłaś.

— Tytuł ten jest dostatecznym, a do tego wy-

znać musimy że wmięszała się niejakaś ciekawość.

I margrabina znając życzenia wszystkich, zaczęła mówić otwarcie, prosząc go siedzieć; co uczynił z skrupulatną elegancyją, człowieka żyjącego w wielkim świecie.

Pani d'Ange nie spuszczała go z oczu. On zaś nie domyślał się bynajmniej, jaką ciekawość wzbudzał.

— Tak, pan Julijan opisywał nam wypadek, którego wczoraj panowie byliście świadkami; wszyscy jesteśmy bardzo ciekawi dowiedzieć się końca.

— Na Boga pani, ja sam nic nie wiem, ale koniec nie powinien być interesujący, skoro kobieta umarła.

— Czyś to pan ją podniósł?

— Tak pani, odpowiedział skromnie d'Ilo.

— Czaszkę miała zgruchotaną?

— Całkiem rozwartą; mózg z niej wypływał jak woda z naczynia.

— Przebacz mi pan, rzekła margrabina blednąc mimowolnie, słysząc to spokojne porównanie, przebacz mi, jeżeli od samego przybycia śmiem pana tą sprawą zatrudniać; lecz od wczoraj u nas nie zajmowano się niczem innem, jak zimną krwią, którąś pan tak szczęśliwie w tym okrutnym wypadku zachował; a co jest cokolwiek sprzecznem, z jego młodocianym wiekiem.

— Wistocie pani, na szczęście moje, posiadam zimną krew.

— Ale wierzaj mi pan, że istotną przyczyną zaproszenia jest przyjaźń pana z panem Montidy, którego tu wszyscy kochamy, a jego przyjaciele są naszymi przyjaciołmi. Pan tak długo jak i on z nami zabawisz, nieprawdaż?

— Jestem na rozkazy pani.

— Dobrze. Jesteś pan myśliwym?

— Cokolwiek.

Julijan zaprezentował każdemu z osobna swego przyjaciela i w dziesięć minut po przybyciu do salonu, pan d'Ilo tak się był obswoił, jak dawny gość.

Piękna była pogoda, zaczęto spacerować po zwierzyńcu.

Miano polować nazajutrz.

W czasie spaceru pan d'Ilo rozmawiał z doktorem i jenerałem.

Bankier i młoda dama, którą znamy, biorąc na stronę margrabinę i Julijana, mówili mu:

— Idzie tu o zakład, wszystkie sposoby są więc dozwolone?

— Wszystkie. Jużeśmy się na to zgodzili.

— Czyż go pan sądzisz po fizyjonomii?

— Bynajmniej, nie.

— Czy zawsze zakład trwa?

— Podwoje go, jeżeli sobie państwo życzą.

Margrabina, Julijan i trzy inne osoby złączyły się z kawalerem i doktorem.

Pani d'Ange śmiało zapytała lekarza:

— O czem pan rozmawiasz z kawalerem?

— O duszy, odpowiedział d'Ilo.

— Czy w nią pan wierzysz?

— Wierzę pani; zwłaszcza gdy widzę przed sobą osobę, któraby doskonałości nie osiągnęła, gdyby obok niej nie krążyły wonne wytryski duszy.

— Boże odpuść mi! to poezyja.

— Poezyja nie, lecz uczucie.

— I niezawodnie kawalerze, znajduje się gdzieś tam w świecie dusza, co panu mocniej jak inne wzbudza owe uczucie?

— Nie, pani.

— Więc pan nie kochasz nic i nikogo.

Kawaler milcząc wpatrywał się w panią d'Ange.

— Czemu mi się pan tak przypatrujesz?

— Bo zapytanie pani mnie zdumiewa.

— Dlaczego?

— Bo pani żądasz ode mnie błachego zwierzenia? Gdybym zadosyć uczynił, cóżbym zaspokoił? próżną ciekawość; bo zapewne nie szlachetne uczucia przyjaźni, gdyż zaledwie dziesięć minut upływa, jak mam honor znanym być od pani.

Pani d'Ange zarumieniła się cokolwiek.

— Jakto, więc jest coś w świecie, co pana zdumiewa

— Dlaczegóż nie?

— Sądziłam że nic w panu nie jest zdolnem do mocnego wzruszenia?

— Któż to powiedział? Wielki Boże!

— Tak sądziłam o panu po tem, co mi opowiadano; po tym wypadku, w którym pan dałeś dowody wysokiej obojętności Jednakże dosyć to zajmujące, widzieć przed sobą na bruku kobietę z roztrzaskaną czaszką?

— Kiedy wypadnie być świadkiem podobnego przypadku wydarzonego osobie nieznajomej, zamiast zmięszać się przez zbyteczną czułość i być nieużytecznym, co jest nader pospolitem, zdaje mi się że litościwiej jest nie tracić głowy, lecz ratować, dopomódz, jeżeli się da.

Podniosłem tę kobietę i uchroniłem ją od natrętnej ciekawości przechodniów. W tem spełniłem

moją powinność. Miałżem, aż do słabości wylewać łzy, ponieważ podobało się tej kobiecie wyskoczyć oknem, i padając, mnie o mało nie zabić? Toby śmiesznem było. Jeżeli chciała umrzeć? to zapewne że w śmierci widziała swe szczęście. Umarła? więc jest szczęśliwą. I dobrze zrozumiana litość radować się każe. Już ja to zauważałem ten pociąg ludzi do manifestacyj serdecznych. Wszystko to płytkie i materyjalne; nie dosięga głębi duszy. Bo ci co na widok pogruchotanych kości, na widok krwi rozlanej o mało nie mdleją, ciż sami ludzie szydzili z głuchych cierpień duszy tejże samej kobiety. Ja nie jestem z tych, to prawda.

— Pan posiadasz nad sobą wysoką moc, lecz ja pana żałuję.

— Dlaczego pani?

— Ponieważ ta moc, to rozumowanie, odwiodły pana od zwyczajnych i prostych rozkoszy tego świata, które mimo wszystkiego są najsłodszemi.

— Mamże minę bardzo nieszczęśliwego? proszę pani?

— Nie. Bo jeżeli zdrowie jest szczęściem, to pan bardzo szczęśliwym być powinieneś, to daje chęć być samolubem.

— Bądź pani tak dobra wytłomaczyć mi co to jest samolub?

— Jest to stworzenie, od którego odbijają się wszelkie cierpienia, co nie dotykają jego osoby. Jestto stworzenie, co oprócz siebie o nic więcej nie dba.

— Tak, oto jeden z tysiąca rysopisów, co się pozwoli do tej niecnoty zastósować. Nieprawdaż, że świat nazwą niecnoty chłoszcze samolubstwo?

— Świat ma słuszność.

— Dobrze pani, przyjmuję tę definicyją, i przystaję na to, że jestem samolubem, bo to pani chciałaś powiedzieć. Ale cóż komu złego czyni ta wada, ta niecnota?

— Wszystkim tym, którym pan mógłbyś być użytecznym, których mógłbyś wesprzeć, których mógłbyś kochać, a którymi się nie zajmujesz.

— Gdzież oni się znajdują? proszę ich wymienić?

— To ludzkość cała.

— Czy pani sądzisz, że ludzkość więcej mną się zajmuje jak ja nią?

— Nie zasługujesz pan na to; wyznaj.

— A więc ludzkość nie dba o mnie. Czyjesz szczęśliwsze jest stanowisko od człowieka, którym nikt się nie zajmuje?

— Szczęśliwsze jest człowieka, którego los, świat cały obchodzi.

— Nie masz mu podobnego, lecz gdyby i był taki, to dowiodę, że jest najnieszczęśliwszym z śmiertelnych; każdy radby mu narzucić swój ideał szczęścia; a pewnie sprzeczny z jego życzeniami; bo marzenia o szczęściu zależą od jestestwa, a nawet od fizycznej budowy marzyciela. A ponieważ szczęście jest rzeczą osobistą, lepiej więc dozwolić każdemu według swej woli zrozumieć go i budować.

— Ale ażeby go zbudować, człowiek potrzebować może pomocy innych; a gdy ta mu nie dopisze, nie dojdzie do celu.

— Tak, zwłaszcza gdyby wymagał od ludzi coś przeciwnego ich namiętnościom, ich interesom, ich przyzwyczajeniom, ich zamiarom. I wyznajmy między nami, że człowiek co szuka szczęścia za pozwoleniem drugich, jest wierutnym głupcem. Nie pojęte i szczytne usposobienia człowieka, zawierają w nim niezliczone skarby, w których całe życie czerpać może. Od niego zależy ograniczyć swe żądze, i powściągnąć ambicyją. Są ludzie, wyznać trzeba, co na pierwsze skinienie, z największą łatwością oddają usługi, które prawie zawsze na złe wychodzą. Bo najprzód wzbudzają niewdzięczność w sercach, które wrazie odmowy mały jedynie wstęt by uczuły; potem dopomagają zadowolnieniu namiętności, któreby same zagasły, bez tej obcej podpałki. Czasami ta szybkość usłużenia jest dowodem samolubstwa, bo wieluż jest ludzi co unikając nieprzyjemności pochodzących z odmowy, łatwo i szybko spieszą się żądaniu zadosyć uczynić, to jest pozbyć się kłopotu.

— Wierzaj mi pani, na dnie każdej rzeczy leży egoizm. Społeczność nasza ucywilizowana, potworzyła sobie różne rzemiosła litości: chirurg urzyna nam nogę, bez zlitowania się; adwokat broni bez znania nas; mamka wykarmia bez kochania. Z tych przypadkowych styczności, może się wyrodzić przez przyzwyczajenie jakaś wzajemna życzliwość, ale to rzadko, a w ogóle mówią, lepiej żeby się nic nie wyrodziło. Najczystsze wreszcie uczucia, spoczywają na samolubstwie. Namiętności najmocniejsze dwóch jestestw, nie są nic innego, jak wymagalność dwóch skupionych egoizmów. W złączeniu dwóch osób bądź małżeństwem, bądź miłością, cóż widzimy? W pierwszym razie: wspólność interesów, wspólność stanowiska towarzyskiego i majątku; w drugim przypadku, pochlebne jest wzbudzić użytecz-

nie uczucie, co wiedzie do szczęścia, o którem się marzy. Tak jest, wszystkie żywioły, co ludzie chcą przyzwać do zbudowania osobistego szczęścia, nie są jak tylko wytryskiem samolubstwa. — Co tu samolubstwa w miłości! uczuciu! które na pierwszy rzut oka zdają się być najdotykalniejszym dowodem wysokiej szlachetności duszy. Najprzód mężczyzna staje się własnością kobiety jak ona jego. Niechże kto najlepszemu człowiekowi powie: „Twój jedyny przyjaciel umrze, ale żyłby, gdybyś mu odstąpił na jeden dzień tylko kobiety którą kochasz.“ Cóż najlepszy mężczyzna zrobi? z pewnością dozwoli umrzeć jedynemu przyjacielowi. Powiedz najlepszej kobiecie: „Mężczyzna którego kochasz, jest wtrącony w niezwalczoną ku innej namiętność, jeżeli jej nie zadowolni, umrze.“ Co odpowie najlepsza kobieta? „Wolę go widzieć trupem, jak ręka w rękę z drugą.“ Wiesz pani jaka jest różnica między samolubstwem a miłościa? Oto że samolubstwo jest miłością samego siebie, a miłość jest samolustwem we dwójkę.

— A więc pan potrafiłeś wynieść się ponad te wszystkie obłędy umysłu ludzkiego?

— Tak jest pani.

— Więc pan nic nie kochasz? nic. Tylko siebie samego?

— I siebie samego nie.

— To lepiej umrzeć?

— Nie

— Dlaczego?

— Bo jestem szczęśliwym.

— Stan w którym pan się obecnie znajdujesz, i który jak mniemasz jest ci dogodnym, nie ma jak tylko jednę wymówkę, to jest: nieograniczoną jakąś boleść w przeszłości.

— Bydź może. Ale tymczasem potrafiłem zostać niewzruszonym, bo w mojem zdaniu na tem zależy szczęście na ziemi. Ograniczyłem życie na potrzebach materyjalnych, i tym sposobem jestem człowiekiem spokojnym, i najmniej niebezpiecznym.

— Jakto?

— Wistocie. W imieniu duszy, ludzie sądzą, że im wszystko dozwolone. Dusza to wynalazła namiętności, a ciało wynalazło wady i ułomności. Lecz wady i ułomności nie szkodzą jak tylko temu co je ma; gdy tymczasem namiętności jednego zaburzają, i muszą zaburzać spokojność innych wielu. Wady ciała mego są: próżniactwo, niewstrzemięźliwość, i nareszcie wielka skłonność ku rozkoszy. Jeżeli nad miarę wypiję, jeżeli nad miarę zjem, jeżeli nad miarę ulegnę zmysłowem rozkoszom, sam cierpię na tem i nikt nie ma prawa mi tego wyrzucać. Najszlachetniejszemi namiętnościami duszy, nazywają: szlachetną ambicyją, nazywają miłość. Jednak człowiek ambitny jest bez litości; będzie kroczył po trupach 20stu ludów, aby dojść do celu; może on wielkie zdziałać rzeczy, ale ileż niewinnych ofiar po swojej drodze posieje. — Człowiek zaś zakochany, jest okrutny, trzeba go się strzedz, uciekać od niego. Miłość, owo szczytne uczucie, służy mu za wieczną wymówkę, i zyskiwa mu rozgrzeszenie do dopełnienia tysiąca zdrożności. Jeżeli kocha moją żonę i ona go kocha, ja co temu nic niewinienem, sam cierpieć muszę, bo muszę się z nim pojedynkować, inaczej mnie wyśmieją. Jak mnie zabije to powie: „Cóż chcecie? była to namiętność silniejsza ode mnie.“ Jednakże człowieka tego który tyle złego nabroić może, będziecie lubili i szanowali, bo w innych stosunkach życia, jest pełen łatwego wylania serca i w rozmowie sypie iskrami miłości swojej; kiedy tymczasem mnie, którego zawsze i wszędzie przyjąć można bez niebezpieczeństwa, któremu mąż małżonkę powierzyć może, ojciec córkę, brat siostrę, ponieważ niekochając nikogo, nikogo nie uwiodę; nazwiecie samolubem i unikać mnie będziecie.

— A więc pan nigdy nie starałeś się o miłość kobiety?

— Nigdy. A potem na co? przychodzi zawsze chwila, że dla mężczyzny wszystkie kobiety są też same. Przysłuchując się słówkom najsentymentalniejszem, frazesom najdowcipniejszym, które ciągle o uszy pięknej odbijają się kobiety; te czułe słówka, te wykwintne frazesa, nie tłumaczą się inaczej jak: „Pani! bądź moją.“ Ubieramy marzenia nasze w nazwiska: namiętności, czułości i miłości; lecz jak raz te wszystkie omamienia znikną, mężczyzna najpoetyczniejszy zdumiewa się nie widzieć w kobiecie, która wzburzyła jestestwo jego, jak kobietę zwyczajną, kobietę jak drugie, lecz ogołoconą z pierwszego uroku, z tego co można nazwać: „nie wiem“ Są nawet chwile, w którychby mężczyzna powziął nienawiść ku kobiecie, coby mu przypominała miłość, którą on niegdyś za jedyny ideał, za jedyny cel życia swego poczytywał.

— Otóż to są dziwne rozumowania. Słysząc je zdumiewam się. Lecz do czegóż cię doprowadzą kawalerze?

— Dokąd jej rozumowania doprowadzą panią;

Listopad ma dni 30. **Nojabr.** November.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
1	P.	**Wszystkich śś.**	20	Artemia mucz.
2	S.	*Dzień Zadusz.* Pegazyi	21	Iłariona prepod.
Ew. u ś. Mat. w r. 18. O dłużnym i złośliwym słudze.				
3	N.	*21 po Św.* Huberta b.	22	*20 po S.* Awerkia jep.
4	P.	Karola Boromeusza.	23	Jakowa Apost.
5	W.	Elżbiety m. Emer.	24	Areftya m.
6	S.	Leonarda wyz.	25	Markiana mucz.
7	C.	Herkulana męcz.	26	Dymytria mucz.
8	P.	4 Koronatów mm.	27	Nestora mucz.
9	S.	Teodora m.	28	Tarentia mucz.
Ew. u św. Mateu. w roz. 22. O czynszowj monecie.				
10	N.	*22 po S.* Opieki NMP.	29	*21 po S.* Anastazyi m.
11	P.	Marcina biskupa.	30	Zenowia.
12	W.	Marcina pap.	31	Stachia apost.
13	S.	Homobona wyz.	1	**Nojam.** Kosmy.
14	C.	Serafiona męcz.	2	**Josafata** arch.
15	P.	Leopolda wyz.	3	Akepsyna mucz.
16	S.	Edmunda bisk. w.	4	Joannyka prep.
Ew. u Mat. ś. w r. 8. O wskrzeszen. córki książęcej.				
17	N.	*23 po S.* Stanisł. K.	5	*22 po S.* Hałaktyona
18	P.	Maksyma i Odona wyz.	6	Pawła Archiep.
19	W.	Elżbiety król. wdow.	7	Mm. 33 Mełyty.
20	S.	Feliksa de Val.	8	**Michajła** arch.
21	C.	Ofiarowania NMPanny.	9	Onysfora mucz.
22	P.	Cecylii panny m.	10	Szesty apos.
23	S.	Klemensa papieża	11	Myny mucz.
Ew. u Mat. ś. w roz. 24. O brzydkości spustoszenia.				
24	N.	*24 po Św.* Jana od krz.	12	*23 po S.* Joanna Myt.
25	P.	Katarzyny panny m.	13	Joanna Złatousta.
26	W.	Piotra Aleks. biskupa.	14	Fyłypa Zapust.
27	S.	Waleryana bisk.	15	Hurya Samon m.
28	C.	Rufina męcz.	16	Mafstea Jew.
29	P.	Saturnina męcz.	17	Hryhorya jepis.
30	S.	Andrzeja apost.	18	Platona mucz.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

1. u ś. Piotra.

2. Dzień zaduszny, procesya na cmentarz od ś. Mikołaja, gdzie w kośc. Zmartw. Pańs. odpr. nab. żałob. z kazaniem.

10. u KK. Pijarów i Dominikanów.

17. u ś. Jędrzeja i u Franciszkanów.

19. u ś. Józefa PP. Bernardynek.

21. u ś. Jana 40 godz. nab. (18, 19, 20 i 21) i u KK Dominikanów.

25. u KK. Reformatów i u ś. Katarzyny KK. Augustynianów.

30. u ś. Jędrzeja.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

28-1 Kislew.

L U N A C Y J E.

Pierwsza kwadra d. 4 o g. 3 m. 47 po południu. Zimno, mroźno, grudno.
Pełnia d. 12 o g. 2 m. 29 rano. Ociepla się, pogoda latowa.
Ostatnia kwadra d. 18 o g. 6 m. 25 wieczór. Ciepło, choć pochmurno.
Nów d. 26 o g. 6 m. 31 rano. Wiatr zimny.

Grudzień ma dni 31. **Dekabr.** December.

D.	Tyg.	Święta rzymskie.	D.	Święta ruskie.
Ew. u ś. Łuk. w r. 21. O znakach na Niebie i ziemi.				
1	N.	*1 Ad.* Eligiusza bisk.	19	*24 po S.* Awdya pror.
2	P.	Chryzol. i Bibia.	20	Prokla i Hrihoria
3	W.	Franciszka Ksaw. wyz.	21	**Wchód Bohoro.**
4	S.	*Post.* Barbary p. m.	22	Fyłymona apost.
5	C.	Saby Opata wyz.	23	Amfytohya jepis.
6	P.	*Post.* Mikołaja b. w	24	Jekataryny m.
7	S.	*Post.* Ambrożego bisk.	25	Klementa papy.
Ew. u ś. Mat. w roz. 11. O poselst. Jana do Chryst.				
8	N.	*2 Ad.* **Niep. Po. NP.**	26	*25 Ad.* Attyppa prep.
9	P.	Leokad. i Waler.	27	Jakowa m.
10	W.	N. M. P. Loretańskiej.	28	Stefana mucz.
11	S.	*Post.* Damaza papieża.	29	Paramona mucz.
12	C.	Aleksandra i Epim. m.	30	Andrea apost.
13	P.	*Post.* Łucyi i Otolii	1	**Dekabr.** Nauma.
14	S.	*Post.* Nikazego bisk.	2	Awakoma pror.
Ew. u ś. Jana w roz. 1. O poselst. Żydów do Jana.				
15	N.	*3 Ad.* Ireneusza mucz.	3	*1 A.* Sofonoa prorok.
16	P.	Euzebiusza bisk.	4	Warwary m.
17	W.	Łazarza biskupa.	5	Sawwy Oswia.
18	S.	*Such.* Oczek. pł. NMP.	6	**Nikołaja Episa.**
19	C.	Nemezyusza m.	7	Amrosia jepis.
20	P.	*Such.* Teofila męcz.	8	Patapia prepod.
21	S.	*Such.* Tomasza apost.	9	**Zaczat Bohor.**
Ew. u ś. Łuk. w roz. 3. O Janie opow. chrz. pokuty.				
22	N.	*4 Ad.* Zenona męcz.	10	*2 Ad.* Myny Jermoh. m.
23	P.	Wiktoryi p. m	11	Dynyła St.
24	W.	*Wigil.* Adama i Ewy.	12	Spiridona jepis.
25	S.	**Boże Narodzenie.**	13	Ewstratia jepis.
26	C.	**Szczepana 1 Męcz.**	14	Ftyrza mucz.
27	P.	Jana ewangelisty.	15	Jełefterya jepis.
28	S.	Młodzianków mm.	16	Ahea prorok.
Ew. u ś. Łuk. w roz. 2. Symeon przepowiada o Jezus.				
29	N.	*1 po B. N.* Tomasza.	17	*3 Ad.* Daniła pror.
30	P.	Dawida króla.	18	Sewast. mucz.
31	W.	Sylwestra papieża wyz.	19	Wonifatia mucz.

NABOŻEŃSTWA
w kościołach Krakowskich.

2. Zaczyna się Adwent i roraty po wszystkich kościołach krakowskich. W Katedrze o godzinie 8. w innych o 6 z rana.
4. u ś. Barbary.
6. u ś. Mikołaja.
8. u KK. Bernardynów z oktawą w końcu 40 godzin. nabożeń., u KK. Franciszkanów jeden dzień.
10. u Kapucynów.
16. Rozpoczyna się Nowenna do Bożego Narodzenia z wystawieniem Najśw. Sakr. rano o wpół do 7; po południu o godzinie 4 u KK. Dominikanów.
19. u OO. Reformatów Wotywa na krużgankach przed P. Jezusem cudownym, na pamiątkę morowej zarazy.
21. u ś. Tomasza (PP. Duchaczek.)
24. Zaśnięcie ś. Jana Kant. u ś. Anny.
25. u KK. Dominikanów, Augustynianów i u ś. Floryana odpust bracki.
26. u ś. Szczepana na Piasku 40 godzin. nabożeństwo (26, 27 i 28).
27. u ś. Jana i u PP. Wizytek.
28. w Katedrze.
31. Na zakończenie roku, solenne nab. o godz. 4 po południu u KK. Franciszkanów.

KALENDARZ ŻYDOWSKI.

22-25 Poświęcecie kościoła.
27-1 Thewet.

L U N A C Y J E.

Pierwsza kwadra d. 4 o g. 11 m. 40 rano. Descz, rozciecz.
Pełnia d. 11 o g. 1 m. 30 po południu. Śnieg pada ale taje.
Ostatnia kwadra d. 18 o g. 4 m. 54 rano. Deszcz ze śniegiem.
Nów d. 26 o g. 0 m. 59 rano. Mróz, wiatr południowo-zachodni.

dokąd życie świata całego dąży; do tej rzeczy, którą filozofowie nazywają spoczynek; którą motłoch nazywa śmierć; którą wierzący nazywają wieczność; niedowiarki nicość; a ja nazywam, koniec.

— Wiesz kawalerze, że kobieta któraby cię kochała, byłaby nieszczęśliwą?

— Tak sądzę. Ale pewny jestem, że żadnej to na myśl nie przyjdzie.

— Kto wie? odpowiedziała pani d'Ange rzucając na niego wzrokiem pełnym powabu.

— Pani masz piękne oczy, napomknął kawaler.

— Kawalerze...

— Pani...

— Coś Pan powiedział, nie jest istotną prawdą.

— Pani wątpisz?

— Nie chcę wierzyć.

— Wolno Pani.

— Gdyby to prawdą było, tobym pana przeistoczyła, tobym zdmuchnęła i ową obojętność, i ową filozofiją, i owe samolubstwo, i nareszcie wszystkie twoje teoryje kawalerze.

— Nie próbuj pani, próżna strata czasu.

— Mam dosyć czasu do stracenia.

— A pani także nikogo nie kochasz?

— Nikogo. Ale ja nie przywłaszczam sobie wolności niekochania, mimo tak niezbitych przez pana przytoczonych argumentów. Odnowiemy tę rozmowę i zobaczymy, kto ostatecznie kogo przekona. Ale potrzeba żeby nam nieprzerywano, a tu co chwila napotykamy przeszkody. Dziś wieczór czekam pana u siebie...

— Dobrze pani.

Najmniejszego ździwienia nie było widać na twarzy kawalera.

— Lecz bądź pan oględnym.

— Ja zawsze milczę.

— O północy opuścisz pan swój pokoj.

— O północy. Zgoda.

— I przyjdziesz pan do mojego apartamentu.

— Przyjdę pani.

Pani d'Ange uścisnęła rękę młodzieńca; lecz ręka ta pozostała spokojną i zimną.

Inni spacerujący zbliżyli się i połączyli z nimi.

— A co? zapytał po cichu jenerał baronowej.

— Jest to człowiek nadzwyczajny, jeżeli jest tem czem się być wydaje.

— Więc pani ustępujesz?

— O nie! Zwycięże ja tę szorstką naturę. Jestem kobietą. O wpół do dwunastej wieczór bądźcie wszyscy u mnie; możecie wszystko usłyszeć. Uprzedź pan margrabinę, doktora, de Montidy i grubego krezusa.

O wpół do dwunastej wszyscy byli zebrani u barowej, która rozogniona wyzywającą filozofią kawalera, gotowa była chwycić za wszelką broń ze swego arsenału; to jest za swój dowcip, swą piękność, i urok kobiety. Czegóż nie zdoła dopiąć kobieta, jak jej miłość własna jest na szwank wystawioną? Baronowa najwykwintniej była ubraną. Siedziała owiana białym materyjalnym płaszczykiem z szerokiemi rękawami, z pod których wyglądały aż po łokcie ramiona białe, sprężyste i okrągłe; nóżki jej ozdobione były zaledwie do palców przyczepionemi mikroskopicznemi pantofelkami, a włosy zwinięte odsłaniały obraz jej kształtnej głowy.

Siedziała oczekując; lecz pewna że zwycięży.

Wpół do dwunastej wybiło.

Rozmawiano przez 25. minut po cichu, ażeby ich nie słyszano, i ażeby usłyszeć mogli, gdyby kawaler przypadkiem uprzedził godzinę. Pięć minut przed 12stą, zostawiono baronową samą, a wszyscy przeszli do drugiego pokoju.

Zegar pałacowy uderzył 12stą.

Nikogo jeszcze; lecz trudno wymagać szczególnej punktualności, bo potrzeba się było spodziewać przeszkód, z powodu niezwykłych ostrożności do utajenia wizyty o tak niewłaściwej porze.

Minął kwandrans.

Baronowa zmarszczyła cokolwiek brwi; jenerał drzwi pomału uchylił.

— I cóż? zapytał ze ździwioną i cokolwiek przegryzkową miną.

— Widzisz pan; jestem sama.

— Pewnie nie śmie przyjść?

— Może patrzy czy wszyscy śpią?

Jenerał zawarł drzwi i wrócił do salonu.

Zdawało się baronowej, że w salonie szepcą i śmieją się.

O wpół do 1szej wstała, i tą razą sama poszła do swych przyjaciół. Kłopot malował się na jej twarzy.

— Zapewne przyszedł, lecz jak głosy usłyszał, nieśmiał wejść.

— Niezawodnie, odejdźmy więc; on się pewnie skrada, jak nas usłyszy wychodzących, to się potem pokaże.

Wszyscy na palcach odeszli.

Trzeba było przechodzić koło pokoju kawalera d'Ilo.

— Czekajcie, mówił Julijan do swoich towarzyszy, wejdę cicho do niego i zobaczę co robi.

I trzymając światło w jednem ręku, pan Montidy wszedł do kawalera, zostawiwszy drzwi otwarte. Widziano go jak szedł na palcach, a wkrótce dał znak, ażeby za nim ostrożnie postępowano. Wszyscy weszli.

— Patrzcie, mówił po cichu Julijan, patrzcie...

I podnosząc światło po nad głowy, ażeby lepiej widziano, pokazał kawalera leżącego w łóżku i pogrążonego w śnie głębokim.

Nazajutrz o godzinie 10tej wszyscy byli zgromadzeni w salonie, w ubiorach myśliwskich.

Kawaler nie postrzegał ciekawości powszechnej zwróconej na niego; miał minę człowieka co dobrze się wyspał, i co dobrze będzie jadł. Nie było w nim widać żadnego pomięszania; zdawało się że nie rozumiał, że wczoraj popełnił niegrzeczność, niestawiając się na godzinę umówioną.

Względem pani d'Ange było to więcej jak niegrzeczność, lecz nie wiem jak tutaj mam się wyrazić. Powiedzieć że ona nie myślała się pomścić, byłoby to kłamać. Któraż kobieta przebaczyłaby mężczyznie, który ją na pośmiewisko wystawił? a ona przecież była na chwilę wystawioną przed swymi przyjaciołmi. Jednakże śmiała się serdecznie z drugiemi na widok mocno śpiącego kawalera; lecz nie trzeba ufać podobnemu śmiechowi

Po śniadaniu, na którym kawaler dziarsko się popisał, urządzono polowanie. Margrabina, baronowa i doktór, co nie polowali, mieli towarzyszyć strzelcom i przypatrywać się opodal wysokiem dziełom obiecanym, a miejsce było potemu.

Baronowa zeszła cokolwiek na stronę, w nadziei że pan d'Ilo przyjdzie ją przeprosić. Istotnie zbliżył się ku niej i zapytał jak noc przepędziła.

Pani d'Ange przypatrywała mu się.

— Czy to przycinek kawalerze? zapytała.

— Przycinek? Pani, nie rozumiem.

— A więc kawalerze, źle noc spędziłam, czekałam...

— Na co?

— Ażeby panu podobało się przybyć na umówioną godzinę, jak to pan przyrzekłeś.

— Oh! prawda, wykrzyknął pan d'Ilo naturalnym tonem. Przebacz mi pani! zupełnie zapomniałem.

Kawaler tłumaczył się z tego zapomnienia, jak człowiek dobrze wychowany, ale nie przywięzując do tego wysokiej wagi; a później skłoniwszy się grzecznie, prosił baronowej o pozwolenie złączenia się ze strzelcami.

— Stało się, przegrałam zakład, mówiła sobie baronowa. Więcej nie mogę nad to, com zrobiła. Nie masz nic w tym człowieku, nawet kawałka mężczyzny. I powlokła oczyma za kawalerem, który spokojnie się oddalał. Było to spojrzenie kobiety, co szuka sposobu do odwetu.

Polowanie trwało do godziny piątej. Potem powrócono do pałacu; obiadowano; a po obiedzie baronowa oświadczywszy wszystkim zakładającym się, że mogą wejść w szranki; bankier zaproponował djabełka.

„Trzeba sądzić człowieka przy grze i winie," mówi przysłowie niemieckie.

— Czy grywasz kawalerze? zapytała margrabina.

— Grywam pani czasami...

— Czy gra pana bawi?

— Przyjemnością gry ma być wzruszenie jakie ona sprawia, lecz mnie gra nie wzrusza.

— Co zobaczymy? mówił sobie pan Karilak, mrugając na gości siadających do tej złotej biesiady, co się zielonym stolikiem nazywa.

— Więc pan nie będziesz nam towarzyszył?

— Tylko w przypadku, gdyby to pani przyjemność sprawić miało.

— Mocno sobię życzę, ażebyś pan z nami się bawił.

— Dobrze, lecz upraszam panią o pozwolenie oddalenia się o godzinie 10tej, bo mocno jestem strudzony.

— Zgoda kawalerze, o 10tej będziesz wolnym.

Kawaler zabrał miejsce między margrabiną i panią d'Ange. Zaczęto grać. W dziesięć minut gra przybrała zadziwiające proporcyje; garściami sypane złoto obiegało, jakby paktol przebiegający po suknie, jak rzeka złota po zielonej łące.

Tymczasem kawaler grając, spokojnie prowadził rozmowę; zdawało się że dla niego gra nie była jak zabawką rąk. On nie grał, lecz igrał z grą.

— Czy przegrywasz kawalerze? zapytała pani d'Ange.

— Nie wiem pani.

— Kawaler wygrywa.

— Wiele?

— Trzysta lujdorów, które mu winien jestem, odpowiedział bankier.

— Widzisz pani, zdaje się że wygrywam trzysta lujdorów.

— Na kwitę, jeżeli pozwolisz kawalerze.

— Dobrze panie, odpowiedział d'Ilo, co karty dawał.

Pan Karillak powstał; wszyscy zagłębili się w uwadzę, 300 lujdorów na kartę, to nie żarty.

— No, mówi poważnie bankier w patrując się w kawalera, który wyciągnął kartę co mu wygrała, no, znowu przegrałem 300 lujdorów więcej, czyli: że winienem 12 tysięcy franków.

— Tak panie.

— Idziemy dalej?

— Jak tylko pan sobie życzysz...

Śledź dobrze gracza najwytrawniejszego, który zawsze jast panem swojego oblicza, gracza doświadczonego co nie mrugnie okiem jak przegrywa, lecz śledź go jak wygrywa, mimowolnie ręka mu zadrży napotkawszy kartę co mu wygrała. Wszyscy mieli oczy zwrócone na kawalera; zdawało się, że to posąg. Urzędnik najemniczy w publicznym domu gry, nie odsłaniałby karty z większą obojętnością.

— Wygrał...

Bankier tą razą zaczął się poruszać; nietylko że nie wygrywał zakładu, ale jeszcze przegrywał swoje pieniądze.

— Winienem 24,000 franków, gram o nie jeżeli kawaler przystanie?

Za całą odpowiedź pan d'Ilo zaczął ciągnąć.

Jenerał zwłaszcza nie rozumiał tej spokojności, on któremu serce biło do pęknięcia jak wygrał lujdora. Trzeba zauważać, że ludzie najdzielniejsi na placu bitwy, często są nieśmiali przy zielonym stoliku. Na mało służy męztwo z tym przeciwnikiem z tektury, którego biegu nic wstrzymać nie może, przeciw temu milczącemu niebezpieczeństwu, którego zwalczyć nie jest wstanie ani rozum, ani siła, a które honor człowieka przekłada na chwilę na wspak, bo z serca spuszcza mu go do kieszeni.

— Kawaler jeszcze wygrywa, zawołała margrabina, należy mu się 48 tysięcy franków.

— Tak jest. To piękny zysk, oddaj pan grę, bo przegrasz.

— Jakaż twa wola kawalerze? zapytał bankier.

— Winieneś mi pan 48 tysięcy.

— Tak.

— A więc grajmy o 52 tysiące; jeżeli wygram to rachunek będzie okrągły, jeżeli zaś przegram, to pan przynajmniej coś więcej wygrasz jak własne pieniądze.

Frazes ten wyrzeczony był nadzwyczajnie zimno; Sphinx z granitu grający w karty w pustyni, nie byłby obojętniejszym, jak kawaler.

— Zgoda panie, idzie o 52 tysiące franków.

W trzech kartach stanął rachunek okrągły, kawaler wygrał 100 tysięcy franków.

— Basta, powiedział kapitalista cokolwiek pobladły, gdy tymczasem pan d'Ilo był tak samo hożo różowym, jak w chwili przybycia.

„Basta“ Krezusa, znaczyło dla kawalera: „Skończmy na tem.“ A dla widzów: „Ostatecznie, nic tego człowieka wzruszyć nie jest zdolnem; wyznaję, że mnię zwyciężył.“

— Na mnie więc kolej, pomruknął sobie jenerał, ani mrugnąć nie chcesz kawalerze, ja cię mrugać nauczę; ja...

I wstając, powiedział głośno do bankiera:

— Masz pan słuszność nie grać więcej, bo zawsze pan przegrasz.

— Dlaczego?

— Bo kawaler oszukuje.

I w mgnienin oka, jenerał zebrawszy pakiet kart, cisnęł je w twarz panu d'Ilo.

Scena ta była tak gwałtownie niespodzianą, że kobiety krzyknęły, a mężczyzni zerwawszy się wpadli między jenerała i znieważonego.

— Jenerale! zawołała margrabina surowo, czy pan oszalałeś? I obracając się ku panu d'Ilo rzecze:

— Zaklinam cię na Boga kawalerze! miej zimną krew.

— Ależ ja ją mam pani, odpowiedział kawaler, najmilej uśmiechając się, co wszystkich uspokoiło. Jednej rzeczy tylko żałuję, że jenerał rzucając mi karty w twarz, dotknął i panią baronową, którą mógł skaleczyć.

I nachyliwszy się ku pani d'Ange:

— Do mnie należy rządać przebaczenia pani, skoro jenerał jest tak wzruszony, że o tem zapomniał.

I obracając się do jenerała:

— A więc pan mówisz, że ja oszukiwałem?

Wciągu tego jenerał oczyma uspokoił przytomnych, którzy wreszcie zrozumieli, że tu idzie jeszcze o zakład

— Tak jest panie, mówiłem i powtarzam.

— Czy pan widziałeś?

— Widziałem.

— A więc nie mogę sobie dozwolić wręcz przeczyć człowiekowi pańskiego wieku i pańskiego stanowiska, zwłaszcza w przytomności pani margra-

biny, która mnie przyjmować raczy po pierwszy raz w domu swoim.

— A więc pan wyznajesz?

— Nie, bynajmniej; nie mówię żeś pan skłamał, i nie mówię że oszukiwałem, odpowiedział śmiejąc się kawaler.

— A więc cóż pan mówisz?

— Nic nie mówię.

— A więc mój panie, jesteś nikczemnik.

— Dlaczego?

— Bo odebrawszy podobną zniewagę, jaką ci wyrządziłem, inaczej mówić powinieneś?

— Jakże?

— Powinieneś pan żarządać ode mnie satysfakcyi, i pojedynkować się ze mną.

— Pojedynkować się z panem?

— Tak jest.

— A więc, ponieważ podobało się panu powiedzieć że ja oszukuję, cisnąć mi karty w twarz, i wywołać przed damami widowisko nie bardzo delikatnego gustu; potrzeba koniecznie, żebym ja pana zabił, albo pan mnie?

— Tak panie.

— Dobrze, dobrze, zgoda, przystaję; urządźcie to tam panowie jak uważacie.

W tej chwili 10ta godzina uderzyła.

— Przypominasz sobie pani margrabina, żeś mi pozwoliła opuścić towarzystwo o godzinie 10tej?

— Tak jest kawalerze, jesteś wolny.

Kawaler ukłoniwszy się wyszedł, jak gdyby nic się nie przytrafiło.

Jak wyszedł:

— I cóż? zapytał Julijan, jak o nim sądzicie?

— Dotąd nie widziałam nic nad niego, odpowiedziała pani d'Ange.

— Co za pyszny gracz! mówił bankier.

— I wielkiego męztwa, dodał jenerał, ale to nie skończone.

— Cóż pan myślisz jeszcze zrobić?

— Posunąć sprawę do ostateczności. Człowiek może pozostać nieczułym na manewra pięknej kobiety, mówił jenerał, spoglądając na pania d'Ange; na rządzę złota, dodał patrząc na bankiera, i na zniewagę jaką mu wyrządziłem. Ale wobec śmierci to inna rzecz.

— Jakto wobec śmierci? więc pan chcesz go zabić?

— Uchowaj Boże, ale chcę żeby tak sądził.

— Ani drgnie, mówił Julijan.

— Cóż pan chcesz zrobić? zapytała baronowa.

— Doktór pójdzie zobaczyć się z nim.

— Dobrze.

— Powie mu, że po jego wyjściu, ażeby odwrócić od dam myśl pojedynku, przyznałem się do winy, i przyrzekłem go przeprosić.

— Doskonale.

— Ale że jutro rano o 6tej godzinie, nim ktokolwiek w pałacu wstanie, na plac się udamy; pan de Montidy będzie mu sekundował, a doktór mnie; dwóch świadków wystarczy.

— Dobrze.

— Że będziemy się bili na pistolety o pięć kroków, a jeden tylko pistolet nabity.

— Cudownie.

— Rozumiecie państwo, że w żadnym pistolecie nie będzie kuli. Będzie miał pierwszy strzał jako obrażony; a jak później ujrzy pod nosem lufę mojego pistoletu, to straci cokolwiek ze swoich różowych kolorów, to ja wam za to odpowiadam.

— Spiesz się czemprędzej doktorze, bo za kwandrans będzie spał.

Doktór wyszedł.

W pięć minut powrócił.

— Jakaż odpowiedź?

— Przyjmuje.

— Bez wahania?

— Bez najmniejszego? Tylko powiedział, że przekładałby bić się o 11tej, bo przywykły sypiać do 10tej godziny.

— A więc do jutra.

— Do jutra.

Nazajutrz o 5tej godzinie, pan de Montidy wszedł do stancyi kawalera, i obudził go.

— Nie mamy czasu do stracenia, ubieraj się żywo.

Pan d'Ilo przecierał sobie oczy.

— Ah! jak dobrze spałem, mówił.

Wyskoczył z łóżka, i ubierając się nie wspomniał o tem co mu tak rano wstać kazało.

O wpół do 6tej opuścił pałac z Julijanem, i już stanęli na placu pięć minut przed 6tą. Jenerał z doktorem prawie w tym samym czasie przybyli.

Kawaler wyraźnie poziewał; i kiedy świadkowie nabijali, czyli raczej udawali że nabijają, usiadł pod drzewem, zamknął oczy, ażeby przynajmniej jeszcze minutkę przespać.

Niktby się nie domyślył, że ten młodzieniec przyszedł tam bić się na śmierć.

Julijan odmierzył pięć kroków zarysował dwie linije i przybliżając się do swego przyjaciela.

— Bierz pistolet, mówił, a staraj się wybrać dobry.

Pan d'Ilo ujął pierwszy lepszy z dwóch pistoletów, które mu doktór podawał; jenerał wziął drugi.

Kawaler zapytał gdzie ma stanąć.

— Tu, odpowiedział Julijan i sam go ustawił.

— Kto strzela pierwszy? jeszcze zapytał.

— Pan, odpowiedział doktór, bo jesteś obrażony.

Kawaler podziękował skinieniem głowy, podniósł ramię do celowania, lecz nie mógł się wstrzymać od długiego ziewnięcia.

— Przepraszam panów, że tak ziewam, ale upadam ze snu.

W tejże chwili uderzył kurek, i słaby, suchy tylko usłyszano łoskot spalonego kapiszona.

— Patrz, mówił, to ja co wybrałem zły.

I zamknął oczy, jak człowiek co stojąc śpi.

Jenerał wyciągnął ramię.

— Umrzesz panie, powiedział mu poważnym głosem.

Pan d'Ilo nic nie odpowiedział.

Jenerał dotknął cyngla, kapiszon spalił.

Kawaler otworzył oczy.

— Czy zaczynamy jeszcze raz? zapytał.

— Nie, odpowiedzieli świadkowie, honor jest zadowolniony.

— A więc ja pójdę spać, powiedział pan d'Ilo, i istotnie ziewając jeszcze mocniej, poszedł drogą ku pałacowi.

Doktór, jenerał i Julijan szli za nim.

— Przegraliśmy, powiedzieli, wchodząc dwaj pierwsi margrabinie. Jest to nadzwyczajny człowiek.

I opowiedzieli co się stało.

Po śniadaniu jenerał zbliżył się do kawalera i wobec wszystkich powiedział mu:

— Panie! pozwól pan mi przeprosić go za wczorajszą scenę, i wytłumaczyć mu, co się tu dzieje od dwóch dni. Przyjaciel pański utrzymywał przed nami, że nic nie jest wstanie wzruszyć pana. Baronowa, pan Karillak i ja założyliśmy się, że my znajdziemy sposób. Przegraliśmy, wyznajemy, i żądamy przebaczenia za sposoby, jakich użyliśmy. Ale upraszamy pana, ażebyś nam wytłumaczył, czemże się to dzieje, że jesteś wyższy nad uczucia, które jeszcze nami staremi władają?

— Żądacie państwo koniecznie wiedzieć?

— Prosimy.

— Jak prawdę opowiem, to nie będziecie wierzyli?

— Jest to więc do nieuwierzenia?

— Mnie to się zdaje bardzo naturalnem, ale wszyscy nie są jak ja..

— Słuchajmy, mów pan.

— Zgoda. Jenerale daj mi swą rękę.

Jenerał usłuchał. Pan d'Ilo ujął tę rękę i przyłożył do swej piersi.

— Cóż pan czujesz? zapytał.

— Nic.

— Serce moje nie bije?

— Nie.

— Wcale?

— Wcale. Zkądże to pochodzi?

— To pochodzi po prostu ztąd, że ja serca nie mam.

— A cóżeś pan z nim zrobił? zawołała baronowa jakoś przelękniętą.

— Pani, darowałem go.

— Komu?

— Jednemu z przyjaciół, co nie miał dosyć swego

— Pan żartujesz?

— Bynajmniej.

— Darowałeś twoje serce?

— Tak pani.

— Z jakiejże przyczyny?

— Z przyczyny wielkiej boleści, jaką uczułem niegdyś po śmierci mojego ojca. Przekonałem się wówczas, że człowiek najszczęśliwszy będzie ten, co nie będzie miał serca; i kazałem moje wydobyć jako organ bardzo szkodliwy. Od owego czasu, jak państwo widzieliście, jestem zupełnie nieczuły na to wszystko, dla czego serca innych tak gwałtownie biją.

Gdyby kawaler nieopowiadał tego z najzimniejszą krwią, to każdyby sądził że zwaryjował.

— I któż panu wyjął serce?

— Jeden chirurg bardzo zdolny.

— Niepodobna!

— Obacz pani; oto są ślady tej operacyi; i odsłaniając pierś białą, gładką i czystą jak kość słoniowa; pan d'Ilo wskazał bliznę wyrytą na niej w krztałcie krzyża, potem skłonił się, pogrążając w osłupienie wszystkich, przed którymi tak niezwykłą wykonał spowiedź.

W kilka dni po tej scenie, kawaler powróciwszy do Paryża, siedział spokojnie w swoim pokoju, i czytał, wyciągnąwszy nogi ku kominowi. Elegancki ten pokój wybity był materyjami indyjskiemi z wielkiemi bukietami kwiatów na białem tle, i należał do pawilonu, który młodzieniec zamieszkiwał na ulicy Ouest przy pałacu Luxemburskim i przy jego ogrodzie ogołoconym już z liści pierwszemi zimnami jesieni.

Ulica Ouest dziś jest smutną, lecz w owych czasach jeszcze smutniejszą była. Pawilon harmonizował ze smutkiem ulicy. Złożony był z apartamentu dolnego, pierwszego piętra i coś na kształt belwederu; otwierał się na ulicę drzwiami o dwóch zielonych wrotniach, na dole miał dwa okna okrągłe, i trzy okna dosyć wysokie na pierwszem piętrze. Część najlepiej zemieszkalna, znajdowała się ze strony ogrodu. Czas był ponuro-siwy dnia tego. Kiedy-niekiedy słońce co chciało się pokazać, obłyskiwało długim żółtawym promieniem burą mgłę odziewającą Paryż. Kilka wróbli migotało się między gałęziami, pod któremi stała statua kamienna Wenery wstydliwej bez dwóch palców i z stłuczonym nosem.

Taki to miał widok pan d'Ilo, kiedy zaniechawszy czytanie, zwrócił głowę ku temu ogrodowi zamkniętemu oczerniałemi murami, na ktorych grzbiecie mięszał się mech z potłuczonemi od butelek szyjkami, stanowiącemi fortyfikacyją ogrodu. Opodal wysokie, spokojne i nieruchome domy zamykały widok. Wszystko to nie wzbudzało płochej wesołości. Był to jeden z tych dni jesiennyoh, co się zaczynają późno, kończą się żywo, a jednak są dłuższe od dni najdłuższych wiosennej pory. Było około 2ej godziny. Czytanie miernie go bawiło, przestał je zupełnie, i zaczął się bawić z ogniem na kominku. To ważne zającie trafnie malowało głębią jego myśli, jeżeli tylko co myślał.

Służący oznajmił mu Julijana.

— Na honor, dobrześ zrobił żeś przyszedł, powiedział mu witając go kawaler.

— To musisz się mocno nudzić?

— Coś tak. Czemuż winienem twoją wizytę?

— Najprzód chęci widzenia cię, a potem mam inną przyczynę.

— Słucham.

— Idę od baronowej d'Ange.

— Jakże się ma?

— Bardzo dobrze. Jakże ci się podobała?

— Zdawała mi się ładną, ale wyznam żem ją mało zauważał.

— A jednak przyjacielu, ona bardzo często o tobie mówi.

— Prawdziwie?

— Tak jest.

— Historyja, którąś o twojem opowiadał sercu, bardzo ją wzruszyła.

— Potem?

— Potem — niecierpliwa zobaczyć cię.

— Czy przysyła po mnie?

— Nie. Lecz lepiej zrobi...

— Jakto?

— Sama przyjdzie.

— Pod jakim pozorem?

— Pod pozorem, że jest damą pobożności, i na początku zimy zbiera jałmużnę dla biednych.

— Kiedyż przyjdzie?

— Jutro.

— Czy mówiła, ażebyś mię uprzedził?

— Nie. Ale ja sam cię uprzedzam.

— Dobrze, więc jutro nie wyjdę.

— Teraz... to nie wszystko.

— Prawda. Masz minę, że mi chcesz coś powiedzieć, ale się wahasz?

— Mam ci rzecz jednę powierzyć, i zarządać usługi.

— Mów.

— Kocham panią d'Ange.

— Jak dawno?

— Od dwóch miesięcy.

— Czyś jej już o tem mówił?

— Nie jeszcze.

— A więc nie wiesz czy ona cię kocha?

— Nie, wątpię... tem bardziej...

— Tem bardziej...

— Oko człowieka, co kocha, jaśniej widzi od innych, tem więcej że zdaje mi się, że ona kogo innego kocha... a tym innym jesteś ty.

— Ja?

— Ty.

— Zanadto ona dobrze mnie zna, ażeby podobne szaleństwo popełnić miała.

— Dla tego właśnie że to iest szaleństwo, więc go popełnić gotowa U kobiet często miłość nie jest nic jak upór. Zawsze sobie wbijają w głowę człowieka, co ich unika; zwłaszcza takie jak baronowa, co mają za sobą młodość, piękność i majątek; takie nie rozumieją wahania się mężczyzny.

Obojętność mężczyzny uważają za wyzwanie; miłość ich własna obudza się; i ażeby uczucie to zamieniło się w miłość, odmaż mu tylko własną. Baronowa naznaczyła ci godzinę, ty nie przyszedłeś; powiedziałeś że nie masz serca; dowiodłeś że jesteś na wszystko nieczuły; ona nie poprzestała na pierwszej przegranej, i jak widzisz rozpoczyna ogień.

Twoja zimna krew, pewność że sam nie będziesz kochał; Bóg sam wie jaką nadają ci potęgę do zawrócenia głowy tej kobiecie. Gdyby ona kochać cię miała, ja będę nieszczęśliwym... umrę może; przyszedłem więc cię prosić, ażebyś nienadużywał twojej wyższości.

— Bądź spokojnym. Nie patrzebowałeś robić tego kroku.

— Dziękuję ci kochany przyjacielu.

— Nie masz za co dziękować, upewniam cię.

— Margrabina jest w Paryżu na dni kilka.

— Ah!

— Czy pójdziesz do niej?

— Zapiszę się u niej.

— Ciągle o tobie mówi.

— I ona także?

— Ale w innej myśli. Jesteś jej postrachem. Ma cię za upiora. Bo też przyznać należy, że twoja historyja o sercu, jest nielada. Jak to się stało, żeś mi nigdy o tem nie wspominał?

— Na co?

— Słuchaj, między nami, czy jesteś szczęśliwym?

— Bardzo szczęśliwym.

— A ten, któremu darowałeś serce twoje, jestże szczęśliwym?

— Jest, jak się zdaje.

— Jednakże jedno z dwojga. Jeżeli jest się szczęśliwym bez żadnego serca, dwa serca nie powinnyby dawać szczęścia.

— To dowodzi jednej rzeczy, to jest że natura była za skąpą; a do zupełnego szczęścia, albo potrzeba posiadać dwa serca, albo żadnego, albo czuć podwójnie, albo nic nie czuć.

— Być może. Ale cóż to za przyjaciel, któremu ten nadzwyczajny zrobiłeś podarunek?

— Walęty.

— Ten co pojął za żonę pannę d'Amy?

— Ten sam. To się stało w sam dzień jego ślubu.

— Jakimże sposobem?

— Mój ojciec umarł; byłem w rozpaczy. Walęty miał się żenić i pływał w rozkoszy. Mnie nieszczęście, jego zaś szczęście dusiło. „Serce to męczarnia“ mówiłem mu. „Nie ma się dosyć jednego“ odpowiedział mi. Ofiarowałem mu moje, ażeby miał dwa, to jest w czem pomieścić radość swoją. Przyjął. Przyjaciel jego, jakiś chemik niemiecki, o wysokiem czole, a śpiczastej głowie, przyszedł tu i uśpił mnie jakimś tajemniczym napojem; jak się obudziłem, byłem uspokojony, bo nic nie czułem. Walęty tańczył jak szalony, deklamował, śpiewał, śmiał się; widział tam słońce, gdzie ja nie spostrzegłem tylko cień; nazywał ludzkość swoją siostrą, żebrakom ciskał pieniądze; tysiące wreszcie płatał breweryj. Jednem słowem miał dwa serca, a ja żadnego.

— A potem?

— Potem po dziesięć razy przychodził mi dziękować; wdzięczność ta zaczęła mię nudzić; ale już dwa miesiące jak go nie widziałem i widzieć sobie nie życzę. Nie wiem jak się to dzieje, że on jeden jest tylko z ludzi, w przytomności którego nie jestem zupełnie spokojnym.

Podczas tej rozmowy wieczór nadszedł, i tylko czerwonawa łuna od komina rysowała w cieniu dwie sylwetki rozmawiających.

Tak było cicho w tym pokoju, że wszystko zdawało się być umarłem; gdy na nowo wszedł służący i oznajmia:

— Kawalerze! jest jakiś pan w przedpokoju, co sobie życzy z panem pomówić.

— Jak się nazywa?

— Pan Walęty.

— Walęty?

— Ot właśnie ten sam, mówił pan d'Ilo do Julijana; a zaś do służącego:

— Poproś go.

— Ale ten pan życzyłby sam na sam pomówić z panem.

Montidy wstał.

— Bądź zdrów, powiedział przyjacielowi.

— Przyjdź na obiad powiem ci co mi objawił Walęty.

Jednemi drzwiami wyszedł Julijan, a drugiemi służący poszedł szukać Walętego.

Pozostały sam jeden na chwilę kawaler, uczuł dreszcz jakiś przebiegający go od stóp do głów; rozpalił ogień, który już gasnął.

Pan Walęty wszedł. O ile szara godzina dozwoliła mu się przyjrzeć, taki widok przedstawiał: Czarno był ubrany, i mimo że młody, chód jego

przypominał chód starca. Wokoło czoła ołysiałego i przeoranego dwoma, lub trzema przedwczesnemi zmarszczkami, spadały suche, twarde, niedawno czarne, a dzisiaj na wpół siwe włosy; oczy jego w zmużonych zawarte powiekach, zdawały się już gasnąć; broda rosnąca jak przypadkiem, otaczała mu jak krzewiem blade, i na wpół przywarte usta; jak gdyby wydobywając się, jakiś potężny ból roztłoczył i skrzywił mu wargi. Dorzuć do tego widoku: nadzwyczajne zaniedbanie ubioru; nie to zaniedbanie co dowodzi nędzę, lecz to co dowodzi zupełną obojętność, lub niezwykłe zaprzątnienie umysłu; a zobaczysz człowieka, którego brudny szalik zaledwie pokrywa wychudłą szyję, którego pomięte mankietki opadają na długie i chude ręce, i który pochylony kolanami naprzód, jak gdyby się uginał pod jakimś niewidomem ciężarem, nie jest już jak powstałym z łoża boleści paralitykiem.

Człowiek ten trzymał w ręku małe ozdobami wyrzynane pudełko srebrne.

— Poznajesz mnie kawalerze? zapytał pana d'Ilo wchodząc.

— Z trudnością, mój kochany Walęty, cóż to za zmiana? siadaj i opowiedz mi co się przydarzyło.

Walęty usiadł, albo raczej upadł na krzesło, które mu podał kawaler.

— Oh! jestem bardzo nieszczęśliwym, powiada, patrząc się na ognisko, które mu oświecało dwie ciężkie łzy, spadające po wklęsłych policzkach.

— Cóż ci się stało?

— Remigija mnie opuściła!

— Twoja żona?

Walęty skinął głową na znak że tak, bo nie miał siły mówienia.

— Jakto opuściła? zawoła znów kawaler.

— Uciekła.

— Ale powróci?

— Nie. Już on ją nie odprowadzi pewno..

— Kto on?

— Jej kochanek.

— Jakto? miała kochanka?

— Tak, to okrutne. Ja co ją ubóstwiałem, a ona nie myślała nigdy mnie kochać.

I dwie nowe łzy spłynęły za dwoma pierwszemi; jak te tajemnicze źródła co się wydobywają po kropelce z wysuszonej łysej skały..

— Oh! com ja się nacierpiał, kawalerze, mówił ten biedny człowiek, dowiadując się o jej występku, wśród zupełnego szczęścia mego; o mało nie oszalałem, o mało nie umarłem... Czemuż nie umarłem?

— Czas cię uspokoi.

Walęty kiwnął głową.

— Nigdy!

Słowo to rozpaczy dwa razy może w świecie nie było wymówione z podobnym dźwiękiem rozpaczy.

— Patrz, moje włosy wypadły, te co nie zbielały; moje policzki zaklęsły; człowiek już się nie podnosi z podobnej klęski. A więc odnoszę ci..

I Walęty wskazywał na pudełko srebrne.

— Co mi odnosisz? zawołał z trwogą kawaler.

— Przecież wiesz?

— Nie rozumiem.

— To coś mi dał.

— Moje serce?

— Tak.

Zdawało się kawalerowi, że uczuł elektryczne wstrząśnienie w piersiach.

— I moje serce znajduje się tu w tym pudełku?

— Tak.

— Kto go tam włożył?

— Ja.

— Jakim sposobem?

— Jak mocno zachorowałem dowiedziawszy się o ucieczce Remigii, matka moja przyzwała lekarza; ten widząc moje prawie obłąkanie, szukał przyczyny tej choroby. Poczuł dwa serca w mojej piersi; i gdy mnie zaczął badać, co to znaczy, wszystko mu wyznałem. Zapowiedział mi on stanowczo, że mnie wyleczyć nie jest wstanie, dopókąd będę posiadał w piersi mojej obcy organ, który zamiast raz, dwa razy cierpieć mi każe. Z tej to przyczyny u mnie tak szczęście jak i troski zdwajały się. Oprócz tego między tobą i twojem sercem trwały jakieś tajemnicze związki, bo czasami biło mocno w mojej piersi, z przyczyn pewnie mnie nie dotyczących się, bo moje serce milczało.

I tak naprzykład niedawno, nie wiem co ci się przytrafiło przez dwa wieczory i jeden poranek, bo serce twoje nadzwyczajnie manewrowało. Musiał nastąpić jakiś nadzwyczajny wypadek w twojem życiu; i to jest jeden powód więcej do zwrócenia ci serca, bo dosyć miałem własnych trosków, ażebym twoje jeszcze przyjmował. Jednem słowem operacyja dobrze się udała. Ułożyłem serce twoje jak najostrożniej w tem srebrnem pudełku, i odnoszę ci go. Jeżeli chcesz moje, mówił dalej Walęty

z gorzkiem uśmiechem, to ci go chętnie dam, bo mnie pewnie zabije.

Oh! Bóg mię ciężko skarał, żem chciał posunąć szczęście po za granice niezłomnych praw ludzkości.

Kawaler zamyślony przypatrywał się prawie ze smutkiem, temu pochylonemu człowiekowi.

— Bądź zdrów, powiedział wstając Walenty, nie mam ci nic więcej do powiedzenia; chcąc dobrze, wiele złego mi narobiłeś; nie twoja w tem wina, dziękuję ci za dobrą chęć.

— Cóż poczniesz teraz?

— Nie wiem. Ale więcej już mnie nie zobaczysz. Pójdę prosto przed sobą tak daleko, aż już żadnego nie zobaczę człowieka.

I biedny stary-młodzieniec podał rękę kawalerowi, który wstając widział ten gatunek widma obumarłego z boleści. Pan d'Ilo jak sam pozostał, długo wpatrywał się w pudełko obejmujące jego serce; już po dwa albo trzy razy miał go otworzyć, ale się cofnął, bo za każdą razą jak sięgnął ręką, uczuł drgnięcie, którego sobie wytłumaczyć nie umiał. Nareszcie zostawił go gdzie było i zamyślił się.

Jak pan de Montidy powrócił, kawaler tak był w myślach zagłębiony, że nie usłyszał, jak drzwi otworzył.

Opowiedział mu co się stało, i dwie godzin później, nie było na nim widać śladu tego wrażenia, które wreszcie nie mogło być jak chwilowem. Wieczór obadwaj przyjaciele wyszli. Pan d'Ilo powrócił późno. Dosyć był strudzonym, i zaraz zasnął; jednakże w nocy coś ciekawego się stało. Śniło mu się, że widział matkę swoją, która na niego kilkakrotnie wołała. Kto inny, któremuby się śniła podobna rzecz, zerwałby się na równe nogi, lecz to tak wielce nie dotknęło naszego bohatera. Widział matkę, i głos jej dobrze słyszał, lecz bez wzruszenia, według zwyczaju, jak w innych rzeczach, tylko posłyszał taki łoskot w pokoju, że musiał otworzyć oczy. Usiadł na łóżku, przysłuchując się w ciemności zkąd ten łoskot pochodzi, i zawołał: „Kto tam?“ — zdawało mu się słyszeć od strony komina coś podobnego do powtarzanego bicia młotkiem. Zapalił lampę, i zajrzał w stronę zkąd szmer słychać było. Pudełko srebrne stało na miejscu, gdzie go zostawił, i nie było wątpliwości, że łoskot z niego pochodził. Tak więc, kiedy kawaler spał mimo objawienia matki, serce odłączone od niego, biło jak to było jego powinnością, tłukąc się o boki swego więzienia, jakby się było tłukło o boki piersi, w którejby się znalazło zamkniętem.

Zadrżał kawaler, on którego dotąd nic nie wzruszyło.

— To niesłychane, szeptał w patrując się w pudełko, że tak powiem, ożywione życiem jego; bicie pulsu coraz słabiej słyszeć się dawało.

I już zupełnie zagasło.

—Muszę z tem skończyć, mówił, biorąc lampę w jednę, a w drugą rękę pudełko, zeszedł do ogrodu oświeconego księżycem w pełni; odbicie się ponuro-niebieskiego firmamentu posianego świetnemi gwiazdami, malowało drzewa czarnemi barwami.

Rzadkie liście przyczepione jeszcze do gałęzi, zwionięte wiatrem nocnym, padały jakby z westchnieniem na stwardniałą ziemię. Wokoło panowała cichość. Natura zdawała się tak być uśpioną, jak gdyby więcej obudzić się nie miała. Gdyby z domu sąsiedniego dostrzeżono kawalera w podobnem ubraniu, błąkającego się, pochylonego, sądzonoby, że to lunatyk. Zwrócił swe kroki ku małej szopie, gdzie ogrodnik składał swoje narzędzia, i ująwszy za motykę, zaczął kopać dół. W tej chwili wiatr smutno jęczał między gałęziami drzew. Jak dół został wykopanym, pan d'Ilo złożył w nim pudełko srebrne, które był zostawił podczas pracy przy lampie; pokrył je ziemią i przydeptał nogami, ażeby zakryć ślady kopania. Potem powrócił położyć się w łóżko, mówiąc:

— Trzeba się spodziewać, że tą razą będę spokojnie spał.

Istotnie zasnął snem, który już niczem nie był mąconym. Jak dzień nastał, kawaler spał jeszcze, a jak się zbudził o 10tej godzinie, zapomniał i sen swój, i wypadek, który był jego skutkiem. Zaledwie coś marzył, że pani d'Ange odwiedzić go miała. Szczęściem, że Julijan przypomniał mu o tem listownie. Istotnie o godzinie 2ej baronowa przybyła.

— Wizyta moja powinna pana mocno zadziwić, mówiła, lecz ludzkość ma swoje odrębne prawa, których inne cnoty teologiczne nie posiadają. Przedewszystkiem oświadcz mi pan otwarcie, czy pan wierzysz w ludzkość? jeżeli nie wierzysz, to odchodzę.

— Wierzę, skoro pani nią się zajmujesz.

— Jak to? uzyskałażbym już tyle potęgi nad panem, ażebyś już zaczął wątpić nad wątpliwością? Co za zmiana? Czyż to tylko ta jedna?

— Pozwolisz mi pani być z nią otwartym?

— Pozwalam.
— Wszystko jej powiedzieć?
— Powiedz pan.
— A więc pozwól mi pani swej ręki?
— Oto jest.
Kawaler poniósł ją do swych ust; baronowa cofnęła się cokolwiek. Wówczas kawaler odjął jeden bilet tysiąc-frankowy od pakietu biletów, które leżały na kominku, i włożył go w jałmużniczkę pani d'Ange mówiąc:
— Dla ubogich.
— Kończ pan.
— Pani, nie jest się szczęśliwym, jak przez serce.
— Pan mówisz?..
— Mówię, że po za rozkoszami serca, nie ma nic prawdziwego w tym świecie.
— Pan żartujesz.
— Nie. Wszakżeż toż samo utrzymywałaś pani niegdyś?
— Tak, ale...
— Ja to powtarzam. Słuchaj baronowo: czyż ludzkość sama panią tu przywiodła?
— Dla czegóżbym przyszła?
— Rumienisz się pani?
— Bo mi pan mówisz rzeczy... niepojęte.
— Pozwoliłaś mi pani wszystko powiedzieć.
— Do pewnego punktu.
— A więc już więcej nic nie powiem, a jednak...
— Jednak...
— Powiedziałbym pani rzeczy zajmujące.
— O sercu?
— Tak jest.
— Kiedy pan go nie masz?
— Kochasz pani kogo?
— Nikogo.
— Na cóż więc pani służą: jej piękność, jej młodość, jej serce?
— Nie będę nigdy kochała, tylko jak będę kochaną.
— A gdybym powiedział, że cię kocham baronowo?
— Tobym nie uwierzyła.
— Że serce twe musi być dla mnie.
— Kawalerze...
— Dla biednych, odpowiedział kawaler, po raz drugi składając jałmużnę.
— Masz pan dziwny sposób składania ofiary.
— Cóż to szkodzi, aby tylko biedni korzystali.
— Mówiłeś pan więc...

— Widzisz pani, że sama powracasz. Mówiłem, kończył dalej kawaler, uklęknąwszy przed panią d'Ange, mówiłem, jeżeli pani kochać mnie nie będziesz, cóż się ze mną stanie? mówiłem baronowo że marzyłem czarującą i szczęścia bez granic przyszłość z tobą. Jesteś młodą, i ja nim jestem. Jesteś wolną, ja zaś nic nie żądam, jak zostać twym niewolnikiem. Słuchaj pani, daj się przekonać. Życie jest tak krótkie. Mamyż prawo marnować czas w wątpliwościach i bojaźni? Wierzmy lepiej we wszystko, a o tyle zyskamy na losie zawistnym. Jakich dowodów miłości żądasz ode mnie? Chcesz życia mego? Błahy to dar. Bo cóż łatwiejszego jak poświęcić swe życie dla tej, którą się kocha. Wszyscy zakochani ofiarują swe życie w tym przypadku. Ale ty pani panuj nade mną, według twej fantazyi; nie będę już poglądał jak przez twoje oczy; nie będę sądził jak przez twój umysł; będę twoim niewolnikiem; twoim odcieniem, tą rzeczą uczynną i posłuszną, którą każda kobieta potrzebuje mieć pod ręką.
Słowa te wymówione były z zapałem zachwycającym, ze wzruszeniem widocznem, a tak niespodzianem, że przez jednę chwilę baronowa sądziła, że kawaler oszalał.
— To pan co tak mówisz? zapytała.
— Tak jest, ja baronowo.
— I to do mnie pan mówisz?
— Do pani samej. Nie sąż to słowa, które pani przekładasz nad te, które niegdyś mówiłem?
— A gdybym ja była tyle słabą i uwierzyła?..
— Oh! wtedy **byłby** najszczęśliwszym człowiekiem w świecie.
— Kto?.. byłby?..
— Julijan, odpowiedział spokojnie pan d'Ilo.
— Jak to Julijan?
— Tak, bo to on co mówi przez usta moje.
— Nie rozumiem.
— Julijan panią kocha.
— Któż panu to powiedział?
— On sam. Wczoraj przyszedł oznajmić mi wizytę pani; a ponieważ nie śmiał oświadczyć pani swej miłości, jam to spełnił za niego.
Baronowa wstała rozczerwieniona, i rzekła tonem pogardzającym:
— Nikczemny!
— W imieniu nieszczęśliwych, posłuchaj mnie pani.

I kawaler biorąc resztę biletów bankowych z paczki, gdzie już dwa razy czerpał, połączył je z pierwszymi.

Łza zabłysła w oczach baronowej. Kawaler odwrócił głowę, ażeby jej nie widział.

— Tak, bardzo byłam nieroztropną, szemrała baronowa d'Ange, lecz kara przeszła moją winę. Wyrządzić podobną zniewagę kobiecie, która panu nic nie winna, to nie tylko brak serca, ale dowód okrucieństwa.

— Wysłuchaj mnie pani cierpliwie, a przebaczysz mi. Znałaś pani co za człowiek jestem; obejście się moje u margrabiny dowiodło tego. Nieczuły na wszystkie uczucia, które innych upajają, nie zdolny jestem czuć i miłości, i nie chcę wzbudzać jej. Ze wszystkich osób które znałem, znajdując się już w tym wyjątkowym stanie, pani jesteś sama co obudziłaś we mnie wrażenie, któremu w mojem położeniu nie umiem nadać znaczenia. Bądź co bądź, zamiast być przyczyną dla pani najmniejszej boleści, będę się starał odwrócić ją, jeżeli to będzie w mojej mocy. To jest wszystko, co po mnie wymagać można. Widziałem panią wielkiem zagrożoną niebezpieczeństwem.

— Niebezpieczeństwem?

— Tak, powtarzam. Nie tajny mi jest powód który panią tu sprowadza. Dostrzegłem na początku wizyty, że nie sama ludzkość była jej przyczyną. To co między nami i wobec pani na wsi zaszło, wzbudziło w pani żądzę, zaostrzoną ciekawością i przekorą, ujarzmienia tego człowieka, którego nazywają kawalerem d'Ilo. Jest to małe przepędzenie czasu dla kobiety nie zajętej, a której potęga jest niewątpliwą. Potem odniósłszy to małe zwycięztwo, dozwoliłoby się kawalerowi porozpaczać trochę, wiele nawet, jeżeliby to być mogło, będąc zapewnioną naprzód. że się zostanie nieczułą na jego prośby, jak on niegdyś był nieczułym na zachęcenia, co nie miały innego bodźca, jak wygranie mizernego zakładu. Była to gra niebezpieczna pani, bo cię wciągała w walkę, w której zawsze zostałbym zwycięzcą; gdzie serce twoje ujęte między twoją miłością własną a moją obojętnością, rzuconemby zostało na rozkazy moich fantazyj. Szczęście że tego nie chciałem. I dla ciebie pani, dla ciebie tylko samej, wywiodłem cię natychmiast z błędu. A ponieważ przybyłaś tu pani poić się malowidłami uczuć i poezyi, mówiłem do ciebie językiem człowieka co kocha, wprawdzie nie dla siebie, lecz dla innego. Jesteś pani na drodze dla jej szczęścia wskazanej. Julijan panią kocha; spróbój pani go kochać; a jeżeli serce może istotnie używać rozkoszy w tym świecie, używajcie ich razem wy, co tak słusznie na to zasługujecie.

— Wdzięczna jestem kawalerze za troskliwość pana o mój spokój i o moje szczęście, i za sposoby, których użyłeś do osiągnienia tego zamierzonego celu. Tem bardziej mi to pochlebia, że nie zagłębiasz się w żadne sympatyje, i dla nikogo tak daleko nie zaszedłeś, jak dla mnie. Prawda, że życzyłam sobie zwyciężyć niezłomną obojętność pana, lecz nie jedynie dla zadowolnienia mojej miłości własnej. Bez pychy, ale sądzę się wyższą nad te małe i ciasne ambicyje. Jest to w naturze kobiet wywoływać podobne szermierki; ale byłam powodowaną poważniejszą myślą. Życzyłam wydobyć pana z owej głębokiej niewiary, a zarazem przyciągnąć ku sobie to szczęście, które miałam ci dać poznać. Nazwiesz pan to samolubstwem; niech i tak będzie. Powiem jednak, że uczucie którem powzięła dla pana, szybko i bez mej wiedzy wzrosło, lecz zostało wysokiem i szlachetnem. Kobieta jest uderzoną albo widokiem męztwa jakiego dałeś pan dowody, albo wysoką wyrozumiałością, jaką pokazałeś; gdyby nawet to męztwo wynikło li-tylko z niebytności serca, i gdyby ta wysoka wyrozumiałość nie miała za podstawę jak tylko sofizmata odludka. Nie kocham pana de Montidy i kochać go nigdy nie będę; ani domyślałam się miłości jego. Co do ciebie kawalerze, zmienisz kiedyś twój sposób widzenia, jesteś za młodym, ażebyś wiecznie miał być pogrążonym w owej obojętności, z której może zanadto się przechwalasz. Dusza ma swoje pory roku; nie może być obraną z plonu i spustoszoną, bez poprzedniego kwitnięcia. Nie ma tam śmierci, gdzie nie było życia. Będziesz kochał, życzę ci, bo tak być musi. Niech Bóg da, ażeby ta kobieta, która ten cud przemiany spowoduje, godną była kochania, i nie kazała ci cierpieć przez tęż samą obojętność. Dziękuję ci za moich ubogich, ci przynajmniej coś zyskali na tej wizycie. Bądź zdrów kawalerze, bądź szczęśliwym, w jakiemkolwiek znaczeniu rozumiesz szczęście.

I tu pani d'Ange podała rękę panu d'Ilo, i nim ten mógł jej odpowiedzieć, opuściła dom.

Dwie godziny po tej rozmowie, kawaler jeszcze siedział zamyślony przed ogniem. Wyrazy, które usłyszał, brzęczały mu około głowy, jak jednostajny

szelest lotu bąka. Wistocie odkrywał on myśl nową w tych słowach nowych, ale nie był zdolnym ustalić ją sobie w głowie, ani pojąć zupełnie. Do tego pojęcia brakło mu tej wyrozumiałości, którą samo tylko serce daje. Prawdą jest, zasiała w nim coś niezwykłego; pracowało to w nim, jak ziarno co wrzucone w ziemię nieuprawną, chciałoby zejść, lecz nieużyteczne jego usiłowanie, czuje tylko lekko poruszona ziemia.

Pan d'Ilo wyszedł dla rozrywki. Poszedł do Julijana, któremu, on niedowiarek, nie miał męztwa oznajmić, że go nigdy pani d'Ange kochać nie będzie.

Poszedł do Walentego, on obojętny, wyszukiwał wyrazów zdolnych do ukojenia ran tej schorzałej duszy.

Jakież było zadziwienie jego, jego który nigdy niczemu się nie dziwił, wchodząc do przedpokoju Walentego, kiedy usłyszał śpiewy, śmiechy i brzęk szklanek.

— Czyż tu już nie mieszka pan Walenty?

— Tu, panie.

— Któż tak hałasuje?

— On, i jego przyjaciele.

— Czyż nie doznał wielkiego zmartwienia?

— Tak panie, wczoraj.

— Wczoraj! powtórzył kawaler, przypatrując się człowiekowi, co mu dał tę odpowiedź; odpowiedź, której ostatnie słowa zamykały całą biblijotekę filozofii.

— Wczoraj! cóż to za boleść, co umiera między wczoraj i dzisiaj? — i oddalił się.

— Czy pan nie wejdzie?

— Nie, nie jestem dosyć wesołym do trosków twego pana.

Powrócił do siebie. W stanie nieopisanym, w którym się znajdował, sądził samotność za niezbędną. Część nocy przeszła mu w ciszy rozmyślań, w których przyczyny i cele zbliżały się kiedy-niekiedy widome i dotykalne; jak te widma fantasmagoryczne, któremi bawią dzieci, jak owe widma oddalały się i przepadały w ciemności, kiedy kawaler przytrzymać je usiłował.

Jednem słowem obudził się wcześnie nazajutrz, on, co dosypiał do 10tej godziny; a ponieważ słońce wstawało czerwone i złote na niebie przeźroczystem, jak kryształ szafirowy; zszedł do ogrodu odetchnąć rannym powietrzem, i przymięszać cokolwiek świeżej natury do snu wcale różnego od snu przeszłej nocy, bo mu się po wielekroć razy objawiły ujmujące lica baronowej. Obszedł parę razy ogród, unikając ciągle zwrócić swój wźrok ku miejscu, gdzie serce było zagrzebane. Czuł, że go coś ciągnie w tę stronę, ale walczył z tym pociągiem.

Ogród był nagi, bez najmniejszego śladu życia. Pan d'Ilo usiadł na kanapce darniowej, niegdyś zielonej, dzisiaj rudawej, i powlekał wokoło niepewnymi oczyma.

Przypadek wie co robi. Błądzący wźrok młodzieńca zatrzymał się między drzewami, co stanowiły jak kratę przed nim; po za niemi ujrzał kląb jasno-zielonej murawy na wiosnę tylko znanej, ugwiaździony kwiateczkami różowemi i białemi, wyszłemi z ziemi wiliją, i lekko kołysanemi zimowym wiatrem.

— To ciekawe! mówił sobie pan d'Ilo, i szedł prosto ku kwiatom. W miejscu, gdzie one zeszły, ziemia była świeżo poruszoną; poznał miejsce gdzie zagrzebał kuferek srebrny, obejmujący serce jego; wtem dał się słyszeć na drzewie, dźwięczny głos ptaszyny, która się nie ulękła przytomności człowieka.

Zdawało mu się, że ziemia koło niego się obracała; nie był pewnym, czy widział, czy słyszał; rozpostarł dłoń nad oczyma, i przypatrywał się na nowo.

Kwiaty były tam. Wszystko umarło w ogrodzie, one same żyły. Pochylił się nad nie, i ujrzał kroplę rosy, jak dyjament błyszczącą. Dla tego ta kropla dyjamentowa przypomniała mu łzę, którą widział wczoraj roszącą oczy baronowej? Nie możemy tego powiedzieć; to tylko wiemy, że pan d'Ilo ukląkł przed kwiatami, pozbierał je po jednemu, i z największą ostrożnością ułożył je najuważniej w pudełeczku lazurowem, opieczętował szczelnie, ażeby ani woni, ani blasku nie straciły; i zasłał je od siebie baronowej, mówiąc:

— Biedna kobiete! wszakże jej to winienem.

Baronowa odpowiedziała:

„Przybywaj kawalerze i wytłomacz mi upominek, „który od ciebie odbieram. Lękam się popaśdź „w błąd, gdybym uwierzyć miała temu, co mi serce „mówi.“

Pół godziny później, pan d'Ilo był u baronowej.

— To pan mi przysłałeś te kwiaty?

— Ja.

— Dla czego?

— Bo sądzę pani, że one z ciebie życię wzięły.

— Jakto?

— Ze słów twoich wczorajszych, ze łzy coś uroniła.

— Gdzież wzrosły te kwiaty?

Kawaler opowiedział wszystko, co się przez te dni parę stało.

Baronową radość opanowała.

— Jestto napomnienie Opatrzności, mówiła mu, widzisz, że się jeszcze może coś krzewić w sercu, najwięcej opuszczonem, najwięcej suchem, najwięcej zagrzebanem. Kwiaty te, zeszłe tym sposobem, są wyobrażeniem widomem rozkoszy, w jakich twe serce kwitnąć jeszcze zdolne. Odwagi kawalerze, jesteś młodym. Za jednę doświadczoną boleść, masz-że zagrzebać całą twoją przyszłość. Jest szczęście w życiu. Przywołaj twoje serce z wygnania; wierz, kochaj, a będziesz szczęśliwym; ja ci to mówię i biorę to na siobie; chcesz? Od wczoraj jesteś innym mówisz? Bo to potrzeba płakania, śmiania się, cierpienia i uciechy jak u drugich, czuć ci się daje; to nareszcie potrzeba życia w stanowisku człowieka; bo prędzej czy później Bóg karze zuchwalca, coby się od praw odwiecznych wyłamywać zechciał. Wierz mi przyjacielu, dla czego w błąd miałabym cię wprowadzać? Cóż ci mam powiedzieć? Kocham cię! Czyż to dosyć? Miej serce a ujrzysz jak cię to słowo uszczęśliwi, bo jestem młodą, piękną i kocham cię szczerze.

Kawaler był jak odurzony; lecz co było pewnego, że baronowa już po części została panią jego woli.

— Już to nie kwiaty, co zbierać trzeba, lecz twe serce powrócić ci. Idź. Zaczekam na ciebie modląc się. Powróć, powróć powiedzieć mi że mnie kochasz, a szczęśliwa przyszłość do nas należeć będzie.

Z roztwatemi oczyma, wzruszony drganiem nerwowem, kawaler opuścił dom baronowej i udał się do siebie. Przybywszy do ogrodu, dał rozkaz, aby go samego zostawiono; zaczął wydrapywać ziemię rękami, dopókąd paznokciami nie napotkał brzegów kuferka. Wtedy ujął go, uniósł do swego pokoju i zamknął się. Długo wpatrywał się w pudełko, nie śmiejąc otworzyć. Nareszcie oderwał wieczko, i rozdzierając sobie piersi gorączkowemi rękoma, zanurzył serce wołając:

— Wejdź więc we mnie, skoro ona tego chce.

Wstrząśnienie było nadzwyczajne, młodzienic zaledwie miał czas i siłę ugnieść pierś rękoma, ażeby serce znowu nie wyskoczyło. Za chwilę zdawało mu się, że wszystko około niego zmienia kształt, i widok. Zaczął się śmiać śmiechem serdecznym; oczy napełniły mu się obficie łzami, które sączyły mu się po licach, jak woda ze źródła. Zdawało mu się, że umrze. Zaledwie miał czas do otworzenia drzwi i zawołania na służącego, który nadbiegł natychmiast.

— Co się panu stało? zapytał ten człowiek, widząc w podobnym stanie swego pana.

— Nic mój przyjacielu, oprócz że jestem szczęśliwym. Jesteś mi przychylnym? nie prawdaż?

— Tak, panie.

— Kochasz mię?

— Pan jesteś o tem przekonanym.

— Bo widzisz, teraz... mówił dalej pan d'Ilo, oddychając zaledwie, teraz potrzebuję być kochanym, bo ja... ja wszystkich kocham.

I objąwszy służącego ramionami, uściskał go z całej siły.

— Jak to dobrze uściskać kogoś, zawołał.

— Ależ panie! straciłeś pan głowę?

— Eh, nie. Znalazłem moje serce.

I potem kawaler opuścił pokój, i biegł jak student, co się wyrwie ze szkoły, ku mieszkaniu baronowej.

Służący nie zrozumiał co się działo, i lękając się nieszczęścia, począł za nim gonić; lecz pomimo że miał dobre nogi, pan miał je jeszcze lepsze.

Przybywszy o sto kroków od domu pani d'Ange, zastał zgromadzenie kumoterek, w niespokojnym i rewolucyjnym stanie. Wśród zgromadzenia powóz zatrzymany, i dwa szczególnie panujące głosy nad innemi chałasami.

— To twoja wina, jesteś łotr, piszczał płaczący głos starej kobiety.

— Trzeba go było zostawić w domu, odpowiedział głos woźnicy.

— Cóż to jest? zapytał kawaler zajmująco.

— To ten brutal, co strzaskał łapkę mojemu pieskowi, odpowiedziała stara, pokazując panu d'Ilo swego psa, którego obejmowała ramionami, wyjącego boleśnie mimo karesów. Łapka zwierzęcia wisiała cała zakrwawiona.

Na ten widok kawaler pobladł, krzyknął mocno, i upadł za wznak zemdlony.

Służący nadbiegł w chwili kiedy padał, kazał go odnieść do domu bezprzytomnego.

Posłał poszukać doktora, który zbadawszy chorego, potrząsnął znacząco głową.

Skoro tyko kawaler otworzył oczy, rozkazał natychmiast szukać baronowej.

Lekarz ten rozkaź usłyszał.

— Cóż się panu zdarzyło? zapytał.

— Pan d'Ilo odpowiedział mu, że zobaczywszy pieska skaleczonego, zemdlał.

— Nic innego? zapytał lekarz.

— Nic.

— Cóż pana boli?

— Serce.

— Musisz pan być bardzo czułym?

— Zdaje się. Czyż jestem niebezpiecznie słabym?

— Nie. Co jest za osoba, na którą pan oczekujesz.

— Kobieta.

— Którą pan kochasz?

— Oh, tak doktorze, kocham.

— Dobrze. Odpocznij pan cokolwiek do jej przybycia.

Doktór wyszedł i zatrzymał się w salonie, przez który baronowa przechodzić musiała. Przybyła wkrótce cała blada i zmięszane.

— Cóż się tu dzieje? zawołała.

— Kochasz pani kawalera? zapytał lekarz.

— Tak jest, panie.

— Znasz go pani oddawna?

— Na cóż te zapytania?

— Bo w życiu kawalera musiało coś zajść niezwykłego Widok pieska ranionego, jakkolwiek jest rozczulającym, nie sprowadza zwyczajnie podobnej choroby, jaką on jest dotknięty.

— Więc jest mocno chorym?

— Odpowiedz pani. Znasz pani co szczególnego w życiu pana d'Ilo?

— Znam panie — i w kilku słowach baronowa opowiedziała historyją kawalera.

— Wiesz pani, zaczął doktór głosem poważnym, ja nie mogę pani dozwolić wejścia do kawalera.

— Dlaczego? wielki Boże!

— Ponieważ ten pan Walenty, zwracając kawalerowi serce, zwrócił mu go w stanie mocno cierpiącym.

— Serce kawalera jest spuchnięte, i najmniejsze wzruszenie zabije go.

— Mój Boże! zawołała baronowa, jestem więc przeklętą!

W tej chwili usłyszano osłabiony głos kawalery, który mówił:

— Jesteś tam, usłyszałem cię baronowo! Wejdź, zaklinam cię.

Nie masz na świecie siły, któraby potrafiła wstrzymać kobietę, co usłyszy podobny głos człowieka, którego kocha.

Baronowa otwarła drzwi, i biegła do łóżka chorego. Kaweler roztworzył wyciągnięte ku niej ramiona, i zawołał:

— Jak jesteś dobra! Oblicze jego zajaśniało uśmiechem niebieskim, skłonił głowę ku poduszce, westchnął z niewypowiedzianą rozkoszą, szepcząc:

— Biedny mały piesek!

— Cóż pani powiedziałem? wyrzekł doktór, kładąc rękę baronowej na sercu kawalera.

Wistocie, serce to nadzwyczajnie bić przestało; a jednakże zdawało się, że kawaler nie był jak tylko uśpionym, tak oblicze jego zostało spokojnem i błyszczało szczęściem i niewzruszoną pogodą.

Dzisiaj pani d'Ange jest starą kobietą o siwych włosach, cokolwiek sparaliżowaną, lecz jeszcze przyjemną, która pokazując w pudełku srebrnem kilka ususzonych kwiatów, chętnie opowiada każdemu co słuchać zechce, historyją, którą przeczytaliście.— Prawda, jest troszkę waryjatką ta biedna baronowa. Choroba ta trwa od jej młodości, i w skutek wielkiego cierpienia sercowego. Jakby na dopełnienie tej historyi, którą zresztą opowiada z największą przytomnością, dodaje te słowa:

„Tak się stanie wszystkim, co będą usiłowali przewrócić porządek natury, i zmienić wolą najwyższego. Jeżeliby Bóg osądził, że ludzie potrzebowaliby dwóch serc, albo żadnego, toby ich zadowolnił, zamiast dając każdemu tylko jedno serce. To co Bóg zrobił, dobrze zrobionem jest!“

Panna de La Faille.

Zdarzenie prawdziwe, opowiadane przez Fryderyka Soulié.

Tłómaczone z francuzkiego.

Oto jest historyja wierzytelna, a razem naturalna panny de La Faille, o której tak różnie mówiono. Wypisałem ją z manuskryptów pana Moisas adwokata, i z not procesu przed Parlamentem paryzkim prowadzonego, gdzie pan Moisas bronił sprawy panny de La Faille.

W roku 17... w Tuluzie, zawarł się między panem de Garran, a familią de La Faille związek, który kazał się domyślać, że familie te ściślejszym jeszcze węzłem połączone zostaną. Istotnie de Garran kapitan Artyleryi w pułku... był to młodzieniec dobrej miny; noszący przyzwoicie szlify w ogniu, na paradzie, i na balu; mówiący z wielką łatwością i dobrze, lecz nigdy o sobie; znał swój stan lepiej, jak ci, co sobie więcej pracy zadawali; uczony jak człowiek talentu i dowcipu; a nadewszystko szlachcic czystej rasy w mieście, gdzie po dwóch wiekach szlachectwa, uchodzi się za dorobkowicza.

Ze swojej strony pan de La Faill sędzia, z natury umysłu bojaźliwego, a duszy prostej, nie pozwoliłby zmienić syllaby w kodeksie torturowym, a jednakże torturować nikogo nie kazał. Oprócz tego był człowiekiem taktu; nie mówiący nigdy w świecie o procesach, a w Trybunale o rzeczach światowych. Był wdowcem i miał tylko jednę córkę, imieniem Klementyna.

Panna de La Faille była osobą mającą tak doskonałą taliją, że podobną kobietę nazywają piękną, mimo że jest brzydką; lecz daleko od tego, Klemyntyna miała twarz tak czystej i miłej piękności, że ta kazała zapominać o jej wspaniałej budowie; zdawało się że wszystko powiedziano, kledy wspomniano o jej anielskiej twarzy.

Wszystkie stosunki przyzwoitości zdawały się zapewniać małżeństwo między panem de Garran, a panną de La Faille. Równego byli urodzenia, jednakowy posiadali majątek, i stósowny wiek. W chwili jak mówimy, Klementyna miała lat piętnaście, Jerzy dwadzieścia i pięć.

Jednak niektóre damy co miały pretensyją do przenikliwości, utrzymywały: że między niemi panowały różnice opinii i uczuć; co przywiodą albo zerwanie małżeństwa, albo wielkie nieszczęścia po małżeństwie. Utrzymywały bowiem, że charakter stały Jerzego nie harmonizował z gorącemi zapędami duszy Klementyny; że niezawodnie pan de Garran, człowiek wysokiego taktu, znajdzie się czasami dotknięty żywością wyrażeń panny de La Faille, i jej niejakiemś ominieniem wstydliwej skromności, która liczy za powinność, i nie jest w istocie, jak tylko wykwintną taktyką, czyli kokieteryją kobiety. Ale damy te sądząc że odgadnęły te dwa charaktery, zatrzymały się tylko na powierzchni; bo żadna nie pojęła, że to Jerzy co miał duszę namiętną i umysł wyniosły, a Klemyntyna umysł lękliwy, a duszę pokorną.

Jednakże zgadnięto, że małżeństwo wkrótce miało nastąpić. Już de Garran zażądał u ojca ręki panny de La Faille i został przyjętym. Już zaczął używać publicznie praw zadeklarowanego pretendenta. W każdą niedzielę po mszy w kościele Daurade, kazawszy odprowadzić kompaniją swemu porucznikowi, Jerzy zbliżał się do pana de La Faille i Klementyny; po przywitaniu podawał jej ramię, i familijnie szli na publiczne spacery. Było to coś nader miłego a razem poważnego, jak widok tego połączenia.

Miłość cnotliwa, zawarta w dwóch czystych duszach, połączona z pięknością tak ujmującą; młoda dziewica prawie dziecko, wsparta, pod okiem ojca, na ramieniu nierównież młodego człowieka, ale już męztwem odznaczonego i zdolnego zapewnić szczęście małżonki; był to słodki widok, jedną z tych harmonij co wywyższa ludzkość, i wynagradza za jej stronę ułomną; był to obraz razem wstydliwy i namiętny, który wskazywano sobie w familijach, lecz marzyć podobnego nie śmiano Ślub ich był oczekiwany w mieście prawie jak uroczystość publiczna.

Pewny zezwolenia pana de La Faille, pewny mi-

łości Klementyny, nie śmiejąc więcej już o niej wspominać; Jerzy miał zarządać pozwolenia swej matki, co mieszkała w Paryżu; kiedy jeden nędzny wypadek, z tych wypadków co mogą zabić szczęście całego życia, jednem słowem rozkaz ministra co wysyłał pułk do Indyj, zburzył wszystkie nadzieje, i zniszczył tak dobrany związek.

Jednego rana przybywa de Garran do pana de La Faille, który znajdował się z Klementyną, i oznajmił im tę piorunującą nowinę.

Boleść Jerzego była rozpaczającą; boleść Klementyny okrutną i głęboką. Pan de La Faille sam był jak odurzony. Po gwałtownem uczuciu tego strasznego nieszczęścia, starano się stawić mu czoło.

Jerzy zażądał przyspieszenia ślubu, i uprowadzenia Klementyny, jeżeli ona sama zezwoli towarzyszyć mu. Pan de La Faille nie przypuszczał nawet, jak mógłby się z nią tak nagle rozstać, i tak młodą wysłać o tysiące mil od kraju, w klimata zabójcze; wystawioną na własną lub męża śmierć, a później ogołoconą z przytułku i podpory. Ani myśleć o tem.

Jerzy chciał się podać do dymisyi i opuścić stan wojskowy; ale trzeba było znać mało pana de La Faille, który podobne przedsięwzięcia brał za szał młodzieńczy, i zapowiedział, że miałby się za odpowiedzialnego przed familiją de Garran za krok podobny.

Nareszcie Jerzy próbował, jak ostatniej nadziei, wymódz na surowym sędziu zezwolenia na ślub, z warunkiem, że Klementyna zostanie przy ojcu przez te dwa lata jego nieobecności. Ale pan de La Faille ani chciał słyszeć o tej nowej umowie, bo od pierwszego słowa już był powziął postanowienie niezłomnę. Kiedy nadeszła chwila, że mógł cokolwiek rozumowania wmięszać do rozpaczy Jerzego i Klementyny, przedstawił im, że są młodzi i mogą poczekać; że dwa lata w życiu zaledwie liczą; że to rozłączenie będzie próbą ich wzajemnego przywiązania; nareszcie, że taka jest jego wola. Trzeba było uledz. Jerzy uległ ze strachem. Klementyna ze smutkiem nadnaturalnym, jakoby szukała pociechy w walce zwycięzkiej z nieszczęściem, i dawała dowód heroicznej miłości Jerzemu, rozdzielając się z nim i czekając na niego dwa lata.

Pan de La Faille działał jak człowiek rozumny, narzucając im swą wolą; ale chybił i sercem i taktem nie chcąc ich, zapewniwszy się o posłuszeństwie, samych na chwilę zostawić. Nie zrozumiał, że były między niemi rzeczy do spełnienia acz niewinne, ale których on słyszeć nie mógł; kilka słów do wymówienia, kilka łez do uronienia; święte wzruszenia świętej miłości młodej i czystej, dla których dusza wymaga tyleż tajemnicy, jak dla najgorętszych zapałów; może jakaś cicha przysięga; oczy utopione w oczach; może ręka w ręce: może „Ty“ wymówione po pierwszy i ostatni raz; może te słowa:

— Klementyno będziesz mię wiecznie kochała?

— Będę cię wiecznie kochała Jerzy.

Może mniej jak to wszystko; ale do tego potrzeba było samotności i tajemnicy.

Nie wiem, ale zdaje mi się, że w chwili tak głębokiej rozpaczy, powinien był zezwolić na to pożegnanie mistyczne dwóch dusz zbolałych.

Nie zezwolił, a oni pozostali pogrążeni w niemem milczeniu.

Gdy nadeszła chwila rozłączenia, Jerzy, utłoczony wszystkiem, czego wynurzyć nie mógł, zapominając o świętych powinnościach honoru, wyrzekł cicho jakoby rozkaz i jakoby prośbę, te słowa do nieszczęśliwej Klementyny:

— Dziś o północy w ogrodzie.

Spojrzała na niego, i widziała go zbladłego, chwiejącego się; tym samym tonem odpowiedziała:

— Przyjdę.

Po spokojności z jaką się rozłączyli, pan de La Faille powinien był odgadnąć, że się jeszcze zobaczą. Brakło mu wyrozumiałości duszy, i niepowziął żadnego podejrzenia.

Wieczorem Klementyna zeszła do ogrodu. — Szczęśliwa prawie, trzeba wyznać, że ma sobie coś do wyrzucenia, chciwa wzruszeń miłości tajemniczej; może to naganne, bo ona nie znała innej zbrodni, jak być nieposłuszną ojcu. Jerzy przeciwnie przyszedł z żalem, bo znał niebezpieczeństwo podobnego rendez-vous. Drżąc spotkali się; przez chwilę nie wiedzieli od czego zacząć. Nareszcie zaczęli rozmawiać o ich okrutnem położeniu, i o samotności w jakiej żyć muszą. Układali sobie przyszłość, tak, że czynności ich dwuletnie, i wszystkie dnie po dniu wyrachowanemi zostały.

Ułożyli sobie godziny w nocy, o których jedno o drugim myśleć ma; zapominając oboje, że w tamtych odległych krajach dzień jest o tej porze, kiedy noc u nas. Nareszcie przyrzekli sobie zawsze jedno drugim się zajmować; co ułatwiało możebność jednoczesnego myślenia. W czasie tej rozmowy, księżyc pokazał się na firmamencie; noc była spo-

kojna i woniejąca. Usiedli pod drzewem obciążonem pączkami kwitnącemi, wkrótce mimowolnie rozmawiać przestali. Klementyna poddała się temu milczeniu z zachwyceniem. Jerzy nie mógł go zwyciężyć. Siedzieli blisko przy sobie na małej ławeczce, dotykając się. Klementyna nieruchoma, z spuszczoną głową, płakała bez boleści. Jerzy drżał; serce mu biło. Wpatrywał się w swoją piękną narzeczoną; blask księżyca twarz jej oświecał; padł przed nią na kolana i zawołał:

— Kochasz mnie Klementyno?

— Bóg mi świadkiem, że więcej jak życie.

Ta prosta odpowiedź, to odwołanie się do Boga, zbawiło niewinną; bo Jerzy jakby przeczuciem przejęty zawołał, wstając:

— A więc, adieu! adieu!

— Już! wymówiła smutno Klementyna.

— Tak być musi, odpowiedział Jerzy; rozum mię odbiega przy tobie! Oh! nie zatrzymuj mnie... Nie patrz się na mnie tem wzrokiem... Rozłączmy się niewinni, a z pogodnem znajdziemy się czołem.

Bezwątpienia, Klementyna nie zrozumiała ani wyrazu trwogi na jego twarzy, ani drżenia jego głosu; lecz w wynurzeniu miłości poznała, że nie jest na wysokości tego namiętnego czucia. Wobec tego obłąkania, ulękła się pokazać za zimną; i kiedy Jerzy jedyny ognisty na jej ustach wycisnął pocałunek, jakby natchnięta zawołała:

— Oh Jerzy! gdybym w grobie leżała, podobny całus przywróciłby mi życie.

Po tych słowach rozłączyli się.

Cztery lata minęło, jak Jerzy wylądował w Brest od kilku dni, i udał się do Paryża do swojej matki, 5go Czerwca 17... Ostrzegł ją był o swym powrocie przez swych przyjaciół. Skoro go ujrzała, była to dla niej radość czysta i zupełna, bez mięszaniny przestrachu i podziwień; bo Jerzy był rannym, dostał się do niewoli i uchodził za umarłego. Szczęście Jerzego było nierówniež wielkie; jednakże po pierwszych chwilach tylu nawalnych uczuć przy podobnem połączeniu, pani de Garran spostrzegła szczególny smutek w spojrzeniu i głębokie roztargnienie w odpowiedziach Jerzego; badała go, lecz zrazu wzdrygał się odpowiedzieć, i dopiero na usilne domaganie się matki, wyznał przyczynę tej szczególnej melancholii.

— Jest to dziecieństwo, moja matko, szaleństwo niegodne człowieka, ale ponieważ sądzisz że mój smutek pochodzi z przyczyn ważnych, winienem cię uspokoić, nawet gdybym za śmiesznego miał uchodzić. Wystaw sobie, że przechodząc koło kościoła S. Germana na łące, ujrzałem go cały odziany czarnym kirem, i uozdobiony do bogatego pogrzebu. Wszakże jest to rzecz tak zwyczajna, że nie zdolna zwrócić uwagi dziecięcia; jednakże widok ten gwałtownie me serce wzruszył; i nie wiem dla czego, zdawało mi się w tem wyczytywać fatalne oznajmienie wielkiego nieszczęścia. Uśmiechasz się matko i masz słuszność. Trzy lata niewoli i okrutnych cierpień, uczyniły mię łatwym do smutku, i wszystkiego się lękam od chwili jak jestem szczęśliwym.

— To uczucie mi dowodzi, ze kochasz to szczęście, skoro lękasz się go utracić, odpowiedziała matka; ale przyzwyczajenie używania go, wkrótce cię uspokoi. Co się tyczy tego pogrzebu, to zapewne będzie pięknej pani de Servins, żony prezydenta izby podatkowej, umarłej wczoraj po trzech-dniowej słabości.

— Piękna pani de Servins, musiała być bardzo piękną, skoro ją tak nazwano?

— Rzeczywiście, odpowiedziała pani Garran, piękność jej była nieporównaną; wszędzie się nią wsławiła. W Tuluzię mówiono toż samo o niej, mówiąc: piękna panna de La Faille.

Odkrycie nagłe nieszczęścia tak wielkiego, nie zrobiło widocznego na Jerzym wrażenia. Patrzał się na matkę więcej zdziwiony, niż przestraszony, i prosił żeby powtórzyła co powiedziała. Pani de Garran przypomniawszy sobie, że on zamieszkiwał Tuluzę, i mógł znać Klementynę, ostrożniej odpowiadała; lecz skoro powtórzyła nazwisko panny de La Faille, Jerzy padł u nóg jej bez zmysłów, jak człowiek uderzony w serce ciosem nieprzewidzianym a śmiertelnym. Oczy mu biegały jak w konwulsyjach; bladość śmiertelna twarz mu pokryła; oddech mu się zatrzymał; głucho się dusił; i byłby skonał, gdyby ta gwałtowna rozpacz nie wydobyła się w okropnych krzykach i strasznych łkaniach.

Trzeba było przebiegłej miłości macierzyńskiej, ażeby ułagodzić tę rozpacz bez granic. Mówiąc wiele o Klementynie, zdołała zwrócić jego uwagę. I rzecz dziwna, że nie tyle z jej śmierci, jak z jej zdrady pocieszać musiała biednego syna. Wytłumaczyła mu i zaręczała, że jak wieść o jego śmierci doszła do Francyi i do nieszczęśliwej Klementyny, ona po długiej walce, po wielu łzach, po wielkim

oporze musiała uledz niezłomnej woli ojca. Mówiła to tak naturalnie, że wynajdując tę historyjkę, mówiła prawdę. Cisnęła mu jak balsam zbawienny do duszy to mniemanie: że rozpaczała po jego śmierci, że małżeństwo przymuszone, było niezawodną przyczyną przedwczesnego zgonu tej młodej i pięknej pani de Servins. I to tym wykwintnym taktem kobiecym przypuszczając śmierć poniesioną z jego powodu, osłodziła nareszcie jego ciężkie gorycze.

Jednakże nasłuchawszy się długo swej matki, napłakawszy się długo w jej objęciach, Jerzy popadł w milczenie. Nie jak człowiek co poddał się swemu losowi, lecz z wyrazem człowieka, co powziął jakiś zamiar; doskonalił go, i którego ostatecznie wykonanie postanowił. Pani de Garran śledziła z niespokojnością wzruszenia duszy, na twarzy swego syna. Gdyby spoglądał na nią wzrokiem cichej rozpaczy, ulękłaby się myśli samobójstwa; lecz po jego zmięszaniu odgadła, ze tem się nie zajmował; inaczej byłby spokojnym. Wieczorem wziął wiele złota; dostrzegła że za wiele na kupienie broni, może dosyć tylko na podróż. Zamilkła, wiedząc dobrze że sprzeciwiać się rozpaczy, jest to ją podniecać.

Jak noc nadeszła, Jerzy wyszedł z hotelu de Garran; zaszedł do kościoła S. Germana na łące, dowiedział się od zakrystyjana służbowego, gdzie pochowano panią de Servins. Udał się do wskazanego cmentarza, i obudził stróża. Nie mało stróż się zadziwił, widząc po minie kogoś należącego do wysokiej klasy, wymagającego po nim zbrodni świętokradztwa.

Jerzy żądał od niego odkopania ziemi, którą przysypane było ciało Klementyny, powierzenia mu trumny do otwarcia jej, ażeby raz jeszcze ujrzał oblicze tej, którą tyle kochał. Mieli między sobą długie i okrutne zatargi, bo złoto które pełnemi ofiarował garściami, nie mogło zwyciężyć ani bojaźni, ani skrupułów biednego grabarza.

Była to dla nieszczęśliwego młodzieńca chwila rozpaczy bez granic. Kiedy przedajność, na którą liczył do swego grobowego zamiaru, skutku nie wzięła, w owej więc rozpaczy czerpał sposoby do zwyciężenia przeszkód.

Upadł do nóg stróżowi cmentarza, błagał go ze łkaniem rozdzierającem serce, oblewał mu ręce łzami, tarzał mu się pod nogami, kalecząc głowę o kanty sprzętów; szalał, wściekał się, straszył i prosił, aż grabarz człowiek duszy twardej i zużytej zapłakał, i w litości tego człowieka dostąpił pociechy, której złoto wymódz nie zdołało.

Jak się ułożyli, poszli na cmentarz; stróż z łopatą i obcęgami a Jerzy z latarnią w ręku. Gdyby to co opowiadamy, nie było czynem dowiedzionym, trudno byłoby wierzyć.

Jaśniejący księżyc oświecał tę okrutną ceremoniję; ani jedno słowo nie było wymówionem między Jerzym a jego wspólnikiem, dopókąd wydobytej trumny nie złożono nad brzegiem dołu.

Jedna straszna okoliczność zatrwożyła Jerzego, to jest pierwszy sztuk młotka, którym stróż uderzył trumnę, ażeby ją rozbić. Oskarżył go, że się wziął po brutalsku, bo psy przebudzone łoskotem zaczęły szczekać. Zażądał drżącym głosem łagodnego rozdzielania desek od trumny bez hałasu.

Grabarz go usłuchał, i wkrótce ciało Klementyny złożonem zostało na murawie, okryte całunem śmiertelnym.

Stróż siedząc na ziemi ze spuszczonemi w grób nogami, wlepiwszy oczy w Jerzego, co stał skamieniały obok tego ciała zastygłego, nie mógł się wstrzymać i powiedział mu:

— To ona, oto jest!

Ale Jerzy zdawał się zapomnieć po co przyszedł. Nie usłyszał go; oczyma kołowatemi nic nie widział; umysłowo nic nie rozumiał. Była to zupełna nieobecność siebie samego.

Grabarz zalękniony, że żadnej nie odbiera odpowiedzi, lękając się ażeby za dotknięciem nie zachwiał się i nie upadł; ażeby ocucić go z tak długiego otrętwienia, podniósł róg całunu, i odsłonił twarz tej, dla której Jerzy tyle dokonał, ażeby ją jeszcze raz zobaczyć. Moc żadnego talizmanu nie wywołałaby skutku tak czarodziejskiego.

Na widok tej ukochanej głowy, której nieporównane wdzięki i śmierć sama uszanowała, wszystko pękło i stopniało w sercu nieszczęśliwego. Padł na kolana obok trupa płacząc i jęcząc; mówił jej o miłości; oskarżał się być przyczyną jej śmierci, i błagał przebaczenia; opowiadał jej czasy przeszłe i nadzieje stracone; i do mówienia jej uniósł ciało, oparł o kolano i boleśnie w nią się wpatrywał.

Obłąkanie to nie miałoby końca bez jednej myśli, co mu przebiegła przez głowę; jedno wspomnienie, jak błyskawica przepruło tę chmurę boleści, i razem zadzwoniły mu ostatnie słowa wymówione przez te wystygłe usta.

Wykrzyknął w szalonem powzięciu najszaleńszej

nadziei; objął Klementynę w swe ramiona, i wycisnął na jej ustach pocałunek, któren jak mówiła, miał ją do życia przywołać.

Po tym całusie zadrżał konwulsyjnie, zaśmiał się śmiechem serdecznym; powstał gwałtownie jak piorun, trzymając zawsze trupa w ramionach; rzucając okiem przestraszonem wokoło, uciekł przeskakując groby, przeskakując wszelkie zawady, krzycząc radośnie, lub jęcząc z dziką boleścią.

Nadludzkim biegiem schronił się przed pogonią stróża, który go stracił z oczu unoszącego swą zdobycz jak tygrys. Wówczas biedny grabarz starając się zatrzeć wszelkie ślady świętokradztwa, złożył w dół próżną trumnę, przysypał ziemią, i powrócił do domu przestraszony swą zbrodnią, i oczekiwał dnia z niespokojnością.

Pięć lat minęło od tej fatalnej nocy; już stróż cmentarza postradał obawę, ażeby uprowadzenie ciała pani de Servins, jaki nieszczęśliwy wpływ na los jego wywrzeć miało.

Była to rocznica śmierci Klementyny. Pan de Servins jej mąż klęczał nad grobem; opodal grabarz z uczuciem głębokiego wyrzutu sumienia wpatrywał się w niego z boleścią, że pozwalał tak cnotliwemu smutkowi wynurzać się nad pustym grobem. Obadwaj byli głęboko zanurzeni w myślach, skoro usłyszawszy szmer mały, podnieśli głowy i ujrzeli kobietę.

Kobieta ta była to Klementyna, była to pani de Servins, żona tyle opłakana, trup pogrzebany.

Pan de Servins zerwał się z krzykiem; nieszczęśliwy stróż padł na ziemię bez zmysłów. Lecz i kobieta zobaczyła człowieka co tak gwałtownie jej się ukazał. Krzyknęła ze strachem i uciekła jak szalona. Cisnął się w pogoń pan de Servins, lecz nie zdołał doścignąć; ujrzał ją tylko przed bramą cmentarza, wsiadającą do bogatego powozu, który dwa pyszne uniosły konie.

W godzinę po tem spotkaniu, pan de Servins znajdował się jeszcze w izbie grabarza, który nieodpowiedziawszy na żadne pytanie, skonał w najokropniejszych konwulsyjach. Wśród dnia naczelnik policyi uwiadomił pana de Servins, że podług raportu agentów policyi, powóz mający liberyją wskazaną przez niego, zatrzymał się przed mieszkaniem pana de Garran. Nazajutrz na żądanie pana de Servins otworzono i zrewidowano grób, gdzie była pochowana Klementyna, i znaleziono trumnę próżną i rozbitą.

W tym samym czasie pani Julija de Garran, młoda i piękna osoba, którą Jerzy z Indyj sprowadził, gdzie ją poślubił, w stanie nieopisanego pomięszania udała się blada i drżąca do apartamentu swego męża i długo z nim pozostała. Wyszła uspokojona, i nic w życiu zwyczajnem pana i pani de Garran nie zostało zmienionem. Piętnaście dni minęło bez wzmianki o tym wypadku; jednakże pan de Servins otoczył ich szpiegami. Dowiedział się, że popłynął z nią na okręcie, którego odszukał dziennik; zapewniony niezbitemi dowodami, wytoczył proces panu de Garran i jego mniemanej żonie, o nieuważnienie nieprawego ślubu, który zawarli. Memoryjały zostały wystósowane w fakultecie medycznym, utrzymujące, że letarg może naśladować śmierć. Ci co tę utrzymywali opiniją, zostali okrzyczanemi przez swoich współzawodników za niedołężnych nieuków. Wyliczono godziny, w których pani de Servins miała żyć w tym stanie, lecz żaden autor nie przytaczał przykładu tak długiego letargu.

Pan de Garran zdawał się żałować pana de Servins; i kiedy opowiadał że podobieństwo jego żony do panny de La Faille mocno go uderzyło, ale nie aż do utraty rozumu; mówił to tonem tak naturalnym, że wszyscy sądzili, że albo pan de Servins oszalał, albo że to całe oskarżenie nie było jak tylko odegraną komedyją.

Sprawa nareszcie wytoczyła się przed sądem i pani de Garran musiała stawać i odpowiadać na zapytania sędziów. Znalazła się w obliczu pana de Servins; zdawała się nierozumieć tego co on utrzymywał. Pan de La Faille, co przybył z Tuluzy, zaczął płakać, ujrzawszy to cudowne podobieństwo; nie wiedział jak mówić do tej kobiety, którą mniemał swą córką, a która tak stanowczo tego się wyparła.

Sędziowie zdumieni spoglądali na siebie niepewni, zmięszani. Pani de Garran opowiadała całe swoje życie. Była sierotą i zamieszkiwała Indyje; przedłożyła akta dowodzące, że panna de Merval, urodzona w Pondicheri, poślubiła pułkownika de Garran.

Dzień sądu, w którym wyrok miał zapaść, nadszedł; oskarżenia i obrony, wszystko wyczerpanem zostało, i członkowie parlamentu, co sąd składali,

zdawali się skłonnymi uwolnić pana de Garran i jego żonę od tej szczególnej napaści, kiedy wszedł pan de Servins, trzymając dziecko za rękę.

Pani de Garran siedziała w tej chwili koło swego obrońcy pana de Moisas; a ponieważ natłok był wielki, wsparła twarz swoją na rękach, ażeby ją ukryć przed chciwą ciekawością tłumu; więc nie widziała pana de Servins wchodzącego. Wtem uczuła małe rączki, co twarz jej odsłonić usiłowały, i usłyszała smutny głos dziecięcia:

— Mamo! pocałuj mnie!

Pani de Garran podniosłszy szybko głowę, widzi przed sobą dziecko, poznaje go, i bez wymówienia jednego słowa, bierze go w swoje objęcia i pokrywa mu usta łzami i całusami. Małżonka i córka milczała, lecz matka się zdradziła.

Od tej chwili jednakże proces się nie skończył, ale wziął inny obrót. Adwokat pana de Garran zarządał ze swej strony unieważnienia ślubu pana de Servins i panny de La Faille, ślubu, który śmierć rozerwała.

— Nie żądajcie, zawołał w swej gorącej obronie, nie żądajcie od grobu coście mu raz oddali. Zostawcie tę kobietę temu, co dokonał że żyje; to życie do niego należy; wy nie macie prawa jak do trupa!

Wszystko to było napróżno. Klementyna żądała schronić się do klasztoru; nie dozwolono; solenny wyrok nakazał jej powrócić do mieszkania pierwszego męża.

W kilka dni po wyroku przybyła wprawdzie, ubrana w bieli, blada z rozpaczy i postanowienia. Wchodząc do salonu, gdzie ją czekał pan de Servins otoczony całą familiją, padła lodowata i skostniała na podłogę. Skoczono ku niej, lecz aby tylko usłyszeć te słowa:

— Przynoszę ci to, coś stracił.

I skonała.

Pan de Garran, na którym trucizna takiej mocy nie miała, i ratowany przez matkę, nie umarł aż na drugi dzień.

KILKA SŁÓW
o
Stefanie Czarnieckim.

Ucisk wojsk Szwedzkich, dumne wodzów ich przewodzenia, ubodły czułość mieszkańców Polski, waleczne od Częstochowy odparcie pokrzepiło nadzieję, głos Czarnieckiego zagrzał odwagę. Staje przy królu i ojczyznie sławny Tyszowiecki związek, Jerzy Lubomirski sprowadza Króla, Czarniecki zbiera małą odważnych garstkę. Wódz roztropny i biegły widząc szczupłość swych szyków, powszechne przez klęsk tyle zrażenie, potęgę i biegłość nieprzyjaciela, obiera jedyny sposób walczenia, którym mógł i nieprzyjaciela trapić i nie narażać rzeczy powszechnej; z niewypowiedzianym pospiechem przenosi się z pocztem swym wszędy, trwoży, urywa i gromi. Tak naprzód pod Gołębiem nie mogąc wstrzymać potęgi Karola, rozsypuje swe wojsko, zbiera je znowu, ciągnie na odsiecz Zamościa, który Duglas wódz Szwedzki oblegał. Odstąpił Duglas, Czarniecki nie staczając z nim bitwy, z dziwną szybkością ile koń wstrzymać mógł w boju, pędzi za Karolem, pochwytuje nad Sanem tylną straż, całą prawie wycina, i wszystkie sprzęty stołu królewskiego zabiera.

To powodzenie dając naszym odwagi i serca, Szwedów mniej już śmiałemi czyniło, nie postępowali jak z bojaźnią i ustawiczną czujnością, trudzili i ludzi i konie. Nie pokazywał się Czarniecki, gdzie go oczekiwali najwięcej, gdzie się go spodziewano najmniej, tam z zasadzek z wydaniem okrzyku podobnego Tatarom napadł i gromił; tak pod Rudnikiem ledwie król Szwedzki siadł do stołu



w domu plebana, gdy niespodzianie pokazali się Polacy. Karol tyle tylko miał czasu, by się ucieczką ratować. Mnożyli się coraz nieprzyjaciele Polski. Wiarołomny lennik Elektor Brandeburski niczem nieobrażony, napada kraje nasze. Nieustraszony tą nową nawalnicą Czarniecki, puszcza się naprzeciw połączonym ich siłom, i pod Kozienicami znosi ośm chorągwi Niemieckich i Szwedzkich tak, iż nie było ktoby królowi o klęsce tej doniósł, ztamtąd spiesząc dniem i nocą zachodzi drogę Margrabiemu Brandeburskiemu pod Warką. Wezbrana wiosenną powodzią rzeka Pilica płynęła między dwoma wojskami. Czarniecki lekkim chorągwiom pod Wąsowiczem mostem iść każe, sam zaś odziany szubą, którą był dostał w zdobyczy, „Polacy! zawołał, nie przeszkodziło morze Szwedom, by kraj nasz napadli, pokażmy, że i nas nie wstrzymają wody, by z kraju najezdnika wypędzić. Za mną bracia!“ To mówiąc, spiął ostrogami konia, i pierwszy rzuciwszy się w rzekę, w pół godziny trzy tysiące wojska bez szwanku wpław przeprowadził. Z równym pospiechem i natarczywością wpadłszy na nieprzyjaciela, po dwugodzinnej bitwie zniósł go i rozprószył. Książę Fryderyk, Margrabia Slipenbach i Ebrenstein, ministrowie króla Szwedzkiego, uciekając manowcami, przez trzy dni ukrywając się o głodzie w rozwalinach zamku Czerskiego, nocą uszli do Warszawy.

Półmiski soczewicy.

(Fantazyja z francuzkiego.)

Ezaw wynalazł.

Znacie zarówno ze mną przygodę owego zapalonego miłośnika legumin.

Historyja, co nieoszczędza miłości własnej, już od dawna orzekła swe zdanie o tym starożytnym Ezawie.

Słaba głowa, dobre serce, mówi przysłowie. Ezaw zaś w ten sposób oceniony został: Dobry człowiek, lecz mało rozumu.

Za soczysty półmisek sprzedać wszystkie swoje przywileje!

A cóż za głupie wyrachowanie! Szkaradny smakoszu! A pfe panie, jakże to nieładnie!

W ten sposób wszyscy szydzą z Ezawa.

— My ludzie stateczni dziewiętnastego wieku, nie popełnimy podobnego szaleństwa, krzyczą jednym chórem mędrki tegocześni.

My tego wcale...

— Otóż to właśnie w czem się mylicie.

— A to dla czego?

— Tak i owak, i na różne inne sposoby. Wszyscy albo niemal wszyscy sami o tem nie wiedząc, jesteśmy Ezawami.

— Chciałbym wiedzieć dla czego?

— Czy jeszcze wątpisz?

— Tak jest.

— Trzeba ci dowodów?

— Żądam ich.

— Oto są.

* * *

Nie chcę bynajmniej nadużywać mojej wyższości, przeto też nie będę ci wspominał o pewnym środku lekarskim na wszelkie cierpienia wytrębywanym przez dzienniki.

Będzie temu dwa lub trzy lata, jak wytoczono proces trudniącym się wyrobem i sprzedażą rzeczonego arcanum, i dowiedziono im, że to ich lekarstwo, przez które zarabiają milijony, było czem?..

Oto mąką ze soczewicy!!!

Cóż powiesz o tej dobrodusznej publiczności?

Jak Ezaw mój przyjacielu! jak Ezaw!

* * *

Ale to jeszcze niczem.

Rozszerzmy widnokrąg naszych badań, a zobaczysz co ujrzymy.

Ten jegomość zowie się Godin.

Jest to istota niepożyteczna drugim, szkodliwa sobie samemu, żyjąca jedynie dla pozoru.

Celem mydlenia oczu, dręczy się bezustannie, podżyna sobie szyję przyprawianemi kołnierzykami, lub kark łamie na wyścigach konnych.

Pije nie mając pragnienia, jé nie czując głodu, czuwa będąc śpiący, gra nie mając środków na przegranie, niszczy kieszeń i zdrowie.

A w zamian czego?

Oto w zamian za śmieszny rozgłos, poczynający się na Magdalenie, a kończący przy ulicy Montmartre.

Czyliż sądzisz przypadkiem, że ten mały Ezaw, który oddaje tyle dostatków za półmisek soczewicy próżności, nie jest sto razy śmieszniejszym od swego pradziada?

* * *

Idzie o zamęźcie pewnej panienki.

Czyż będą się troszczyć co powie na to jej serce?

Bynajmniej.

Wyszukają dla niej tarczę herbową, wyrównywającą herbom jej świetnej rodziny.

Szczęście, jeśli ta tarcza nie będzie podszytą reumatyzmem i różnemi katarami!..

Ale Hozyjusz zadowolony!..

Smutny to półmisek soczewicy ta zamiana zaspokojonej i uradowanej dumy, za szczęście całego życia!..

* * *

A cóż mówi ten wzór protektora?

Pan X... ma śliczną żonkę...

Mógłby ją kochać, ponieważ cały świat, który go otacza kocha ją, chociaż on tego nie widzi. A jednak kokieta bez dowcipu, bez włosów, bez piękności osiodłała tego głupca.

Dla tej to kokiety poświęca swą czułość i posag żony, pieszczoty swoich rumianych i złotowłosych bobaczków, swoją spokojność, stanowisko, a w potrzebie i honor!

Cóż za to wszystko w zamian odbiera?

Oto, pogardę i poniżenie, albowiem nie chcą nawet odegrać na jego korzyść komedyi: Udane miłostki i fałszywe oświadczenia.

Skubią go nieoszczędzając, oszukują za pomocą perukarza na rogu ulicy...

Czyliż sądzisz, że pan X... ma prawo naigrawania się z Ezawa?..

Czyliż handel tamtego nie był sto tysięcy razy lepszym od handlu jego?..

* * *

Wybadaj proszę tego kandydata, który skazuje się na miesiące, jeśli nie na lata, natarczywych i mozolnych zabiegów, a to dla dostąpienia szczęścia, iżby się mógł żywcem zamknąć pod sklepieniem instytutu.

* * *

Zapytaj te wszystkie odczarowane sławy — gra, prawie zawsze nie warta świecy.

* * *

Rzuć okiem w około siebie, wszędzie pełno znajdziesz przykładów, zewsząd kiełkują, przytłaczają nas, Ezawy i zawsze Ezawy; my niczem innem nie jesteśmy, tylko Ezawami!..

Jeden półmisek soczewicy wypycha drugi.

MŁODY RZEŹBIARZ W DORTRECHT.

W połowie XVIgo wieku żył w Holandyi młody znakomity rzeźbiarz imieniem Franciszek Baeker. Kształcił go ojciec jego Melchior Baeker, lecz wkrótce syn przewyższył go wielce w cenionej bardzo naówczas sztuce rzeźbiarstwa. Mieszkał w ojczystem swem bogatem mieście Dortrecht. Wszystkie kościoły w Dortrecht były w posiadaniu kosztownych naczyń, pięknych ozdób i płaskorzeźb jego lub ojca jego wyrobu. Ozdabiał rzeźbą broń rycerzy i żył w powszechnie szanowanych dostatkach. Ojciec jego częste odbywał podróże do Niemiec. Wtem nadszedł czas reformacyj, a Melchior poległ pewnego dnia w jednej z potyczek, które wszczęły się z powodu zewsząd powstającej nowej nauki wiary. Jego stara krew katolicka zawrzała, i nie mógł się powstrzymać od wzięcia udziału w obronie wiernych synów Kościoła. Franciszek kochający ojca, gorzko śmierć jego opłakiwał, i potępiając nieco lekkomyślne dotąd prowadzone życie młodociane, uznał potrzebę ustatkowania się na przyszłość, zarządzania mądrze swym domem, a następnie pokładania całej nadziei jedynie w Bogu, i w swoich własnych siłach.

Żyjąc zawsze w dobrym bycie, spodziewał się, że znajdzie skrzynię ojcowską dobrze zaopatrzoną. Lecz po otwarciu takowej znalazł ją próżną. Z tym większym przeto zapałem wziął się do pracy, nie wychodząc z domu swego w Grawenstrand, jak tylko na godzinkę jedną wieczorem, rysując i rzeźbiąc bez przestanku, i niespoczywając, jak tylko jedynie w niedziele i dni świąteczne.

Po skończonym roku żałoby, ożenił się przyzwoicie, pojmując za towarzyszkę życia młodą, pobożną i dobrą dziewicę, o której był przekonany, że potrafi żarządzać gospodarstwem. Roboty w mieście wystarczały mu, nie podróżował wcale, będąc zadowolonym stanem swoich interesów. Po czterech latach małżeństwa, został ojcem trojga pięknych dzieci.

Lecz wojny religijne na nowo ciężki cios zadały sztukom; ustał zarobek biednego Franciszka. W tych dniach zamieszania i trwogi, żaden z panów nie

kazał opatrywać rzeźbą rękojeści swej szpady, ani też sztyletu. Co się tyczy naczelników bandytów, ci nie mieli potrzeby udawania się do sztukmistrzów, znajdowali wszystko czego sobie tylko życzyli w rabunkach miast i klasztorów, a jeśli niszczyli to co im nie było do użytku zdatne, to z drugiej strony umieli zachowywać dobre bronie i przedmiota wartości, któremi się wzbogacali po kryjomu.

Franciszek prędzej niż się tego spodziewał spostrzegł wyczerpanym swój zapas, i wkrótce, jak mówi Szymon Goulard, nie wiedział gdzie się obrócić, by życie utrzymać.

Pewnej nocy, gdy po długiem rozmyślaniu nad swoją nędzą i obecnem położeniem zasnął, miał szczególny sen, który gdyby licznemi świadectwami nie był stwierdzony, zdawałby się być utworem fantastycznym. Śniło mu się, że przechadzając się po za obrębem miasta Dortrecht w pobliżu bramy kolońskiej, spotkał nieznajomego z wyrazem przychylności na twarzy, którego nigdy przedtem nie widział. Byłże to jego anioł opiekuńczy? Nieznajomy rzekł do niego:

— Znam dobrze, Franciszku, zły stan twojego położenia. Jeśli chcesz posłuchać mej rady, sądzę że ta dostarczy ci sposobu wydostania się z zawikłanych interesów, w których się znajdujesz. Idź do Kempen; znajdziesz w tem mieście koniec twych cierpień.

Nieznajomy zniknął, nie wdając się w dalsze szczegóły, a Franciszek raptem przebudził się. Żywo poruszony snem, chociaż nie przywiązywał do niego nic więcej prócz wątpliwej wiary, nie chciał mieć sobie do wyrzucenia zaniedbanie przestrogi, która mogła się stać dla niego środkiem ocalenia. Prócz tego nie miał nic do czynienia. Skoro przeto tylko zaświtało, nie śmiąc jeszcze przyznać się przed żoną że udaje się w drogę pobudzony do tego snem, pod pozorem nadziei niejakich obstalunków, śmiało puścił się w podróż.

Co tylko przybył do Kempen znużony podróżą, począł rozmyślać, że krok jego mógł być głupstwem. Znajdował się w miejscu, gdzie nie znał nikogo, i gdzie nawzajem nie był znany; przechadzał się aż do wieczora po Kempen, a nikt na niego nie zwrócił uwagi, i nie przemówiwszy do nikogo ani słowa.

— Zostałem igraszką mojej imaginacyi, rzekł w końcu do siebie, i zasługuję na to co mnie spotyka.

Kiedy ze smutną i zniechęconą twarzą poszedł szukać miejsca na spoczynek, zatrzymał się nagle przed nim jakiś dobroduszny człowiek, który wzruszony jego widocznem zmartwieniem, zapytał się czegoby szukał, i coby mogło być przyczyną smutku na twarzy jego wyrytego.

— Mój nierozsądek, odpowiedział Franciszek, i słusznie się za to karzę, rumieniąc się przed tobą.

Natenczas opowiedział bez ogródki swój stan. Starzec rozśmiał się z całego gardła.

— Ach, jak to zabawne, odpowiedział, tak mój dobry przyjacielu, jesteś łatwowierniejszym odemnie, lecz gdyby można sobie zdać sprawę ze wszystkich myśli, które nam przechodzą przez głowę, gdyby przyszło nam słuchać wszystkich snów, to bym i ja dziś powinien być w podróży, gdyż i ja również miałem przecudny sen. W tym śnie radzono mi, że jeśli chcę poprawić moje położenie majątkowe, które reformacyja bynajmniej nie uporządkowała, to powinieniem iść do Dortrecht; oznajmiono mi, że znajdę tam w Gravenstrand, dom wybudowany, z kamienia, do którego wstępuje się po czterech schodach, z których dwa są potrzaskane; na tyle tego domu jest ogród w kształcie nieregularnym; w głębi tego ogrodu pomiędzy dwiema gruszkami jest krzak głogu z białym kwiatem, a u stóp tego mogę odkopać znaczny skarb. Widzisz, że sen ten jest bardzo dokładny, bardzo wyrazisty, i bardzo zachęcający. Inny byłby już tam pospieszył, ale ja nie jestem tak głupi! iść do Dortrecht w skutek mianego snu; do Dortrecht, gdzie dotąd nigdy noga moja nie postała! ha, ha, ha!

Poczciwy człowieczek śmiał się i mówił do woli, Franciszek strzegł się przerywać mu. Zdumiony bowiem został, że w opisie szczegółów przez starca, który nigdy nogą w Dortrech nie stąpił opowiedzianych, poznał swój własny dom i ogród, jedyną spuściznę przez ojca mu pozostawioną. Był o tyle panem samego siebie, że nie dał poznać tego, co się naówczas działo w jego sercu; podziękował człowieczkowi za dobrą radę, przyrzekł mu że będzie w przyszłości rozsądniejszym, i że się zastósuje do jego postępowania.

Przepędził w lichej karczmie noc niespokojną, i powrócił nazajutrz rano do Dortrecht, z pospiechem, który sobie łatwo wyobrazić możecie. Skoro tylko wstąpił do domu, pobiegł natychmiast do ogrodu, począł kopać pod rzeczonym głogiem, i znalazł tamże zamknięte w małej szkatułce pięćdzie-

siąt tysięcy złotych holenderskich w złocie, które ojciec jego tam ukrył, nie mając czasu z powodu nagłej śmierci, tajemnicy tej mu wyjawić.

Dopiero wówczas, gdy się ujrzał bez trosków, opowiedział żonie swej całe swoje szczególne zdarzenie. Wieść tamtych czasów donosi, że przyszedłszy tak cudownym sposobem do dobrego bytu, nie zapomniał poczciwego staruszka z Kempen aż do końca jego życia, jeszcze lat dziesięć od tej chwili trwającego, udzielał mu corocznie małą płacę, która przyczyniła się do osłodzenia ostatnich chwil jego.

NOWA SUKNIA WIELKIEGO KSIĘCIA.

(Powieść fantastyczna z duńskiego Andersena.)

Był kiedyś pewien Wielki Książe, który tak się kochał w nowych ubiorach, że całe swoje dochody na sprawianie tychże poświęcał. Jeżeli czynił przegląd wojska, szedł na przechadzkę lub do teatru, to tylko jedynie dla tego, by się przedstawić w świeżem ubraniu. Co godzina zmieniał suknie, a jak się mówi o panującym: „on jest na Radzie Państwa“ tak o nim mówiono: „Wielki Książe zatrudniony jest ubiorem.“ Stolicą jego było to miasto nader miłe i pełne zabaw, a to dzięki mnogości obcych, którzy tam przebywali; jednego dnia przecież przybyło tam dwóch oszustów, którzy mieniąc się być tkaczami, oświadczyli że umieją sporządzać materyją najpiękniejszą w świecie. Nie tylko że kolory i rysunek tejże miały być nad podziw piękne, lecz co większa, iż suknie z niej zrobione, miały posiadać tę własność cudowną, że każdemu, który tylko był niezdolnym do sprawowania swego urzędu, lub był umysłu ograniczonego, stawały się niewidzialnemi.

— Otóż to suknie nie do opłacenia! pomyślał Wielki Książe; dzięki im, będę mógł rozpoznać osoby niezdatne do urzędowania, będę mógł odróżnić zdolnych od niezdolnych. O! materyja ta jest mi niezbędnie potrzebną.

Wskutek tego udzielił naprzód znaczną summę dwom oszustom, a to dla postawienia ich w możności wzięcia się natychmiast do roboty.

Rzeczywiście urządzili oni dwa warsztaty, udali że pracują, chociaż nie było żadnego na takowych przyrządu. Bez ustanku żądali dostarczania sobie najlepszego jedwabiu i najczystszego złota; to jednak wszystko chowali do kieszeni, pracując aż do północy przy próżnych warsztatach.

— Muszę się przecież raz przekonać, jak daleko zaszli z robotą, rzekł do siebie Wielki Książe.

Ale pamiętając na to, że osoby ograniczonego umysłu i niezdolne do pełnienia swych obowiązków, nie są wstanie dojrzeć tkaniny, poczuł w sobie obawę osobiście się o tem przekonać. Nie było to bynajmniej z powodu, aby wątpił o sobie, jednakże osądził że będzie lepiej posłać kogoś obcego dla rozpoznania roboty pierwej, nim sam ją osobiście ujrzy.

Wszyscy mieszkańcy stolicy słyszeli już o cudownej własności tkaniny, a zatem wszyscy z niecierpliwością oczekiwali chwili, aby rozpoznać czy sąsiad ich jest umysłu ograniczonego, lub niezdolny do pełnienia obowiązków urzędu.

— Poślę do tkaczy mojego starego poczciwego ministra, pomyślał Wielki Książe, on to bowiem najlepiej osądzi co warta tkanina, gdyż odznacza się tak rozumem, jako też i wielkiemi zdolnościami.

Poczciwy staruszek minister wszedł do sali, w której dwaj oszuści pracowali około próżnych warsztatów.

— Wielki Boże! pomyślał sobie, wytrzeszczając oczy, ja nic nie widzę. Ale nie rzekł ani słowa.

Dwaj oszuści prosili go, aby bliżej przystąpił, zapytując się, jak mu się podoba rysunek i barwy. Jednocześnie pokazywali mu swoje warsztaty, w które stary minister utkwił swój wzrok; jednakże nic zobaczyć nie mógł, a to dla tej prostej przyczyny, że nic na nich nie znajdowało się.

— Mój Boże, pomyślał w duchu, miałżebym być na prawdę ograniczony? niechaj nikt tego nie domyśli się. Czyż miałbym być istotnie niezdolnym? Nie śmiem przyznać, że tkanina jest dla mnie niewidzialną.

— A więc cóż o tem mówisz? zapytał jeden z tkaczy.

— Prześliczna, arcypiękna! odpowiedział minister wkładając okulary. Ten rysunek i te barwy... tak, powiem Wielkiemu Księciu, że jestem niemi zachwycony.

— To dla nas szczęście, rzekli dwaj tkacze; i jednocześnie zaczęli mu pokazywać barwy i rysunki urojone, nadając im najrozmaitsze nazwy. Stary minister słuchał z największą uwagą, aby powtórzył Wielkiemu Księciu wszystkie te objaśnienia.

Filuty żądali ciągle pieniędzy, jedwabiu i złota, nadzwyczaj wielkiej ilości tychże potrzeba było do sporządzenia tkaniny. Rozumie się że wszystko to chowali do kieszeni, a warsztaty pozostały próżne, oni zaś ciągle pracowali.

W jakiś czas potem Wielki Książe posłał innego godnego urzędnika, aby obejrzał tkaninę i przekonał się, czyli prędko będzie ukończoną. I tego nowego wysłańca toż samo spotkało co i ministra, patrzał a patrzał bez przerwy, ale nic ujrzeć nie mógł.

— Nieprawda, jak cudowna tkanina? zapytali go dwaj oszusty pokazując i tłumacząc prześliczny rysunek i piękne barwy, które nieistniały.

— Przecież nie jestem głupcem! pomyślał poseł. A więc nie jestem zdolny piastować mój urząd? A to zabawnie... muszę się strzedz, aby go nie postradać.

Poczem chwalił tkaninę i objawił najwyższy podziw, co do wyboru barw i rysunku.

— Ach, to nieporównanie wspaniałe, rzekł Wielkiemu Księciu.

I całe miasto mówiło tylko o tej nadzwyczajnej tkaninie.

Nakoniec Wielki Książe chciał ją osobiście obejrzeć póki jeszcze zostawała na warsztacie. W towarzystwie tłumu wyborowych osób, między któremi znajdowali się również i dwaj poczciwi urzędnicy, udał się do zręcznych filutów, którzy ciągle pracowali bez używania nici jedwabnych lub złota, ani też jakiegobądź rodzaju innej nici.

— Prawda, jak to wspaniałe? rzekli dwaj poczciwi urzędnicy, rysunek i barwy godne są Waszej Wysokości.

I wskazywali palcem próżne warsztaty, tak jakby inni mogli na nich cośkolwiek dojrzeć.

— Cóżto znaczy, pomyślał Wielki Książe, ja nic nie widzę. To okropnie. Miałżebym być głupcem? Czyż byłbym niezdolny do rządzenia? Nic gorszego nigdy nie mogłoby mi się przytrafić!

Poczem nagle wykrzyknął:

— To cudowne! Oświadczam z tego względu zupełne moje zadowolenie.

Poruszył głową na znak zadowolenia, i patrzał na warsztaty, nie śmiąc wyjawić prawdy. Wszystkie osoby jego towarzystwa równie przypatrywały się jedni po drugich, nic jednak nie spostrzegając, i wszystkie powtarzały za Wielkim Księciem: „Jak to wspaniałe!“ Radzili mu nawet, ażeby przywdział nową tkaninę w czasie najpierwszej wielkiej uroczystości publicznej.

— To prześliczne! to arcywspaniałe! to godne podziwu! wykrzyknęły wszystkie usta, a zadowolenie stało się powszechnem.

Dwaj oszuści dostali ordery, i otrzymali tytuły szlachectwa.

Przez całą noc, poprzedzającą dzień uroczystości, czuwali i pracowali przy świetle szesnastu świec woskowych. Mozół jaki sobie zadawali, był dla wszystkich widoczny. Nakoniec udali że zdejmują tkaninę z warsztatów. Krajali ją w powietrzu wielkiemi nożycami, zszywali igłą bez nitki, poczem oświadczyli że ubiór gotowy.

Wielki Książe w towarzystwie swoich adjutantów poszedł oglądać ubiór, a oszuści wznoszą ręce do góry, jakby coś w nich trzymali, rzekli:

— Oto spodnie, oto suknia, oto płaszcz. Wszystko tak lekkie, jakby pajęczyna. Nie ma żadnej obawy, aby ciężyło na ciele, i na tem to właśnie polega cała zaleta tej tkaniny.

— Słusznie, odpowiedzieli adjutanci, choć nic nie widzieli, albowiem nic do widzenia nie było.

— Gdyby Wasza Wysokość raczyła się rozebrać, rzekli oszuści, to przymierzemy suknie przed wielkiem zwierciadłem.

Wielki Książe rozebrał się, a oszuści udawali że mu przedkładają jednę sztukę po drugiej; objęli go w pół ciała, jakby coś przywiązywali; miał to być ogon. Wielki Książe obracał się na wszystkie strony przed zwierciadłem.

— Wielki Boże! jak to pięknie leży! co za krój

elegancki! wykrzyknęli wszyscy dworzanie. Co za rysunek! co za barwy! co za kosztowny ubiór!

Wielki mistrz ceremonii nadszedł.

— Baldachin, pod którym Wasza Wysokość ma towarzyszyć uroczystości, przygotowany przed bramą czeka, oświadczył.

— Bardzo dobrze, jestem gotów, odpowiedział Wielki Książe. Sądzę, że mi do twarzy w tym stroju.

I jeszcze raz obrócił się przed zwierciadłem, aby lepiej przekonać się o skutku świetności swojego ubrania.

Szambelani, których obowiązkiem było dźwigać ogon, udawali że podnoszą coś z ziemi; następnie podnieśli ręce do góry, nie śmiejąc wyznać, iż nic wcale nie widzą.

W czasie gdy Wielki Książe szedł dumnie z orszakiem uroczystym pod swoim wspaniałym baldachem, wszyscy ludzie po ulicach i w oknach wykrzykiwali:

— Co za wspaniały strój! Jakże ten ogon jest piękny! Jak śliczny i doskonały krój!

Nikt nie mógł się przyznać do tego, że nic nie widzi, gdyż byłby został okrzyczanym za głupca, lub niezdolnego do sprawowania swoich obowiązków. Jeszcze nigdy ubiór Wielkiego Księcia nie sprawił tak powszechnego podziwu.

— Mnie się przecież zdaje, że on nie ma żadnej na sobie sukni, rzekło małe dziecię.

— Boże Wszechmocny, wysłuchaj głosu niewinności! odezwał się ojciec.

A wkrótce szemrano w tłumie, powtarzając słowa dziecięcia.

— Jakieś dziecię mówi, że Wielki Książe nie ma na sobie wcale żadnej sukni!

— On nie ma na sobie sukien! wykrzyknął nakoniec lud cały.

Wielki Książe zmartwił się tem nadzwyczajnie, bo zdało mu się, że mają słuszność. Pomimo tego jednak wmówił sam w siebie postanowienie dotrwania aż po końca, w raz rozpoczętem dziele, bez względu na wszelkie wydarzyć się mogące następstwa.

Poczem podniósł się jeszcze dumniej, a szambelani nieśli dalej ogon, który wcale nie istniał.

BLANKA MALIGHIERI.

Powieść historyczna.

Na balkonie pałacu siedziało dwoje dziewcząt, spoglądając na Wielki Kanał (Canale grando). Był to jeden z tych cudownych poranków wiosennych, modre fale Lagunów obijały się z łoskotem o schody kararyjskie pałacu Malighierich. Była to Blanka Malighieri ostatnia dziedziczka tego niegdyś tak bogatego i potężnego rodu Malighierów, która siedziała na balkonie obok swej przyjaciołki i towarzyszki. Piękność jej, czysty obraz wenecyjanki z obliczem przejźroczystej bieli, tak jak je Tycian w swoich obrazach Wenery i Madonny uwiekuistnił.

Jej wielkie czarne oczy pokryte długiemi rzęsy, pociągały każdego wyrazem czułości w nich malującej się. Jej wysokie pełne myśli czoło, otaczały w rzęsistych splotach spadające krucze włosy. Piękną i ujmującą postać, podnosił dobrany a kosztowny ubiór, jaki Wenecyjanki wysokiego rodu do pierwszej szlachty należące, nosić były przywykły.

Obcisły kaftaniczek z niebieskiego aksamitu okrywał jej piersi; złoty pas okalał delikatny stan, a z boku na złotym łańcuszku wisiała złota misternie wyrobiona torebka bogato drugiemi kamieniami wysadzana, z pod pasa spływała aż do nóg złotożółta jedwabna spodnica, wzniesiona z lewej strony złotemi klamrami.

Była młodą, piękną, wysokiego rodu i bogatą, a jednakże nie zdawała się być szczęśliwą. Młodzi Nobili, którzy w swoich odkrytych lub zamkniętych gondolach około pałacu Malighieri przepływali,

powstawali na jej widok, spoglądali z podziwem i tęsknotą w górę ku tej bogatej dziedziczce, i pozdrawiali ją pełni uszanowania.

Ona zaledwo lekkiem skinieniem głowy im za to dziękowała, lecz nikogo ani spojrzeniem, ani też uśmiechem nie raczyła obdarzyć.

Przyjaciołka, co około niej siedziała, spoglądała, na nią przez długi czas ze współczuciem, tak jednakże, że Blanka tego nie spostrzegała. Nakoniec uderzyła na mandolinie, którą w ręku trzymała, kilka cichych akordów, a gdy i to nie zdołało przebudzić Blanki z jej zadumy, zagrała pełnym tonem jednę z tych zachwycających melodyj, któremi przepełniony jest Wielki Kanał i Lido w czasie pięknych wiosennych i letnich nocy.

Pieśń ta wyrwała Blankę z zadumy, i wzdrygnąwszy się, jakoby dopiero co przebudziła się, zwróciła swe oczy, które dotąd jedynie w głąb jej duszy zaglądały, na przyjaciołkę.

— I cóż, rzekła Róża z uśmiechem, gdzież były twoje myśli, o czemże tak dumasz?

— O niczem, odpowiedziała uśmiechnąwszy się smutno, rozkoszuję się Wenecyją. Patrz jak gondole cichaczem około nas przesuwają się, tak cicho, tak niewidocznie, jak westchnienia, które co tylko zrodziły się, a już znikają. Patrz, ta przesuwająca się czarna łódź, jeszcze na chwilkę pozostawia za sobą białą smugę na modrej wodzie, potem bałwany pokrywają takową, i wszystko skończone. Tak się to dzieje z życiem, tak dzieje się z miłością i ze szczęściem! Wszystko jest przemijającem, i nic nie jest trwałem, prócz cierpień żywota!

— Znowu się smucisz, rzekła Róża, powiedzże mi dla czego?

— Dla czego?.. odpowiedziała zamyślona. Sama tego nie pojmuję. Może to blask słońca tak mnie zasmucił. Myślałam bowiem o tych pięknych kwiatkach, które rozwijają się jedynie dla tego, aby po krótkiej chwili opaść i zniknąć.

— Nie Blanko, kwiaty nie umierają z zachodem słońca, żyją one jeszcze długo, pomimo że słońce schroniło się od dawna do mokrego swojego grobu. Rozjaśnij czoło moja luba, masz przecie tyle do tego powodów.

— Mam rówież tyle powodów do smutku.

— A to dla czego? cóż cierpisz?

— Mój Boże, wykrzykła gwałtownie Blanka, wiem dobrze i znam wszystkie środki pociechy! Los rozsypał na mnie wszystkie swe dary w pełnej obfitości. Codziennie mi to powtarzasz, że jestem młodą, bogatą...

— I piękną, dodała Róża, piękność wszystko przemaga. Wszyscy cię kochają. Najuboższy gondolier zowie cię z dumą, jak i całe miasto: Gwiazdą Wenecyi.

— A jednakże nikt tego nie spostrzega, jak smutnie i ponuro ta gwiazda sobie samej przyświeca! To wieczne a codzienne ubóstwianie nudzi mnie. Może sądzisz że te błahe podchlebstwa, te wzdychania i powtarzane przysięgi miłości, mogą mnie omamić? Otóż to właśnie co mnie zasmuca, a nawet często łzy mi wyciska. Wyszukuję z pomiędzy tych poczwarek i przychylnych uśmiechów, serca, serca szczerze bijącego, a jednakże szukam go nadaremnie. Podziwiają mnie wszyscy, ale nikt nie kocha prawdziwie!

Szyderczy uśmiech przebiegł twarz Róży.

— Czy widziałaś się dzisiaj z Ludwikiem? zapytała po chwili.

Blanka zadrżała, a twarz jej cała stanęła w płomieniach.

— Zkąd ci to na myśl przychodzi? szybko odrzekła. Już od dnia wczorajszego nie widziałam go; nie był dotąd u mnie.

— A więc, zawołała Róża ze śmiechem, o nim przecież nie możesz mówić, żeby cię nadto podziwiał, i żeby cię nudził swemi podchlebstwy. Zdaje mi się, że mógłby być grzeczniejszym względem ciebie.

— Właśnie to co mnie cieszy, że nie jest takim jak inni. On nie trzyma się więzów etykiety, on chce i musi być wolnym, tak jak ów młody orzeł wznoszący się ku niebu. On nie ubiega się za próżnością, lecz dąży do wyższości, i żeby to osiągnąć, poświęca wszystkie swoje siły, całą odwagę młodości. On dąży ku słońcu, a ziemia jest dla niego niczem.

— Gdyby tylko, rzekła Róża z uśmiechem, słońce to nie opaliło mu skrzydełek, a wtedy...

— Cicho! odezwała się Blanka, cicho

Powstała szybko i postać jej nabrała powagi niezwykłej. Oczy jej błyszczały jakby promienie słońca, a blask szczęścia odbijał się od jej oblicza.

— On nadchodzi, rzekła po cichu, on idzie, słyszę chód jego. Odejdź Różo, już tak dawno jak się z nim nie widziałam... Zostaw mnie z nim sam na sam.

Róża zabrawszy mandolinę, odeszła bocznemi drzwiami balkonu, a przez ten czas Blanka głównym wchodem weszła do salonu.

Młody wysmukły mężczyzna w ubiorze oficera marynarki weneckiej, przystąpił do niej, podając z uśmiechem a przytem oziębłem spojrzeniem rękę.

Blanka chwyciła ją porywczo i spojrzawszy mu w oczy rzekła:

— Przecież przyszedłeś — a w mowie jej dał się poznać wyrzut oziębłości z jego strony. — Już tak długo cię nie widziałam.

On spojrzał na nią z uśmiechem.

— Nie tak długo kochana siostro, spokojnie odrzekł, przed paru dopiero godzinami wyszedłem z domu.

— Cóż mnie to obchodzi, że byłeś w domu, gwałtownie wykrzykła, lecz ja ciebie już od dnia wczorajszego nie widziałam. Czy słyszysz Ludwiku, już od wczoraj!

— Dla czego miałem przyjśdź do ciebie, rzekł śmiejąc się, czy miałem jaką czynność? czy miałem ci co powiedzieć?

Blanka zadrżała, a lica jej zbladły. „On nie ma mi nic powiedzieć?“ pomyślała. Jednakże utrzymała uśmiech i rzekła po przyjacielsku:

— Ja tylko chciałam cię obaczyć.

— Mnie obaczyć? odpowiedział z uśmiechem, nie wielka to rozkosz siostro. Nie jestem bożkiem, jestem niczem; przytem westchnął gorzko, a lica jego zachmurzyły się.

— Czemże więc jesteś? zapytała Blanka czule.

— Niczem więcej, jak biednym podporucznikiem floty weneckiej, odpowiedział z westchnieniem i począł przechadzać się szybkim krokiem po pokoju.

Blanka jakiś czas milczała, zwróciwszy na niego swoje piękne czarne oczy, z których niewymowna czułość i miłość tryskała.

On tego nie poznawał, lecz kiedy się do niego zbliżyła i rękę na jego ramieniu z lekkim przyciskiem położyła, wzdrygnął się cały.

— Cóż cię tak dręczy Ludwiku? zapytała go zcicha. O! nie odwracaj się, nie potrząsaj drogą twoją głową, mnie bowiem nie zdołasz oszukać, ani się przedemną ukryć. Patrz, każda zmarszczka ocieniająca twoje czoło, przeszywa boleśnie moją duszę, i dręczy mnie po całych dniach. Każde twoje westchnienie, jakkolwiek skryte, odbija się we mnie jakby wykrzyk bólu, wydając głośne echo w mojem sercu, tak jak najmniejszy szmer w pałacu Doży, grzmotnym łoskotem odpowiada. Powiedz mi co ci brakuje i co cię zasmuca?

— Nic bynajmniej siostro, odpowiedział odwrócony.

— Ale jeżeli odgadnę, to mi się przyznasz, nie prawda?

— Przyrzekam ci to.

— Chodź, usiądź przy mnie, rzekła przymilając się i prowadząc do sofki stojącej w środku salonu pod żyrandolem z kryształu górnego. Siądź proszę tutaj, ja zaś siądę przy nogach twoich.

Wsunęła go łagodnie między poduszki, i usiadła u nóg jego na małym taborecie.

— Tyś szczególna siostro, rzekł do niej. Dumna i piękna Blanka leży u nóg moich. A to dla czego?

— Aby wygodniej spoglądać ci w oczy, aby słowa twe i dźwięk twej mowy schwycić natychmiast po wydobyciu się z ust twoich, i nie pozwolić iżby powietrze cośkolwiek z tego porwało. A teraz pozwól mi odgadywać, co ciebie tak martwi. Czy masz jakie życzenie, jaką tęsknotę serca, do czegoś, cobyś pragnął posiąść. Może za pięknym pałacem, za szablą damasceńską, bogato przystrojoną gondolą, lub za czemś podobnem?

— Jakże srogą jesteś! — wykrzyknął z goryczą — przypominasz mi moje ubóstwo.

— Twoje ubóstwo, Ludwiku? Czyż nie jestem twoją siostrą? Czyż całe moje mienie nie należy do mego brata?

— Gdybym to był istotnym twoim bratem, ale zostałem nim jedynie wskutek długoletniego przywyknienia, wskutek razem przepędzonego dziecieństwa. Nie mam prawa do twojego imienia, do twojej miłości. Nie mam żadnej własności, prócz mojego ubóstwa. Ale nie to jest, co mi dokucza. Złoto, drogie kamienie, szable damasceńskie i pałace, nie nęcą mnie, ani też czynią pożądliwym.

Ona patrzała w milczeniu trwożliwym wźrokiem jakiś czas ku niemu.

— Ludwiku, rzekła zcicha, czyż to nie miłość, co cię dręczy?

On rozśmiał się głośno, ale śmiechem suchym, pozbawionym nadziei, który zakrwawił jej serce.

— Nie! wykrzyknął, miłość przystoi jedynie zniewieściałem sercom i tchórzowatym umysłom. Mężczyzna usuwa się z jej więzów. Nie, ja jeszcze nigdy nie kochałem i nie życzę sobie doznać miłości.

— Jeszcze nigdy nie kochałeś? powtórzyła zwolna. Nawet mnie nie kochałeś?

— O! co się tyczy ciebie, rzekł łagodnie, głaszcząc ją po twarzy, ciebie kocham z całego serca, tak jak gdybyś była rzeczywistą moją siostrą, i póki życia mi starczy, będziesz mi drogą.

— Ty lubisz mnie, ale nie kochasz, rzekła po cichu. Pozwól mi dalej zgadywać. Jesteś chciwy zaszczytów, dręczy cię chęć sławy?

Wzgrygnął się, a oczy jego zabłysły niezwykłym ogniem.

— Tak jest! krzyknął z zapałem, odgadłaś, nie mogę znieść, aby tak bezczynnie życie prowadzić! Jestem jakby ptak uwięziony, który ze związanemi skrzydłami, czai się w nizkim krzaczku, i smutnie spogląda na to, jak jego silni bracia wznoszą się ku szczytom wysokich skał. Tego znieść nie mogę!

Podniósł się nagle, porwał za rękę i poprowadził siostrę na balkon.

— Patrz! krzyknął namiętnie, tam w porcie zgromadziły się okręta, jutro ze świtem wypływają na nieprzyjaciela. Pięknej naszej wyspie Kandyi znów zagrażają Turcy. Wenecyja posyła tam liczną flotę dla oswobodzenia Kandyi. W otwartym boju morskim chce walczyć z Turkiem o swoją posiadłość. Tam można wywalczyć sławę i zaszczyty, a mnie nie wolno się tam udać. Muszę tu pozostać, aby pilnować portu, muszę w bezczynnym pokoju oczekiwać, gdy przez ten czas bracia moi idą do walki i zwycięztwa. A dla czegóż to wszystko? bo jestem jeszcze za młody, mówią, bo brakuje mi jeszcze parę lat do pełnoletności, aby zostać godnym piastować rangę kapitana na jednym z naszych okrętów. O! Boże! wielki Boże! ze szczytów tych masztów uśmiecha się do mnie sława, a mnie nie wolno ubiegać się o nią!

Umilkł i spoglądał ponurym wzrokiem ku okrętom, które właśnie co z Lido wpłynęły w Wielki Kanał. Wspaniały to był widok patrzeć na te prześliczne okręta wojenne, które na kształt wędrownych fortec przybywały. Sztandar Wenecyi skrzydlaty lew ś. Marka powiewał na wszystkich masztach. Z otworów okrętowych wyzierały groźne armaty. Na pokładach stały gęste rzędy żołnierzy morskich w błyszczących mundurach. Wokoło Wielkiego Kanału wybrzeże było zasłane ludźmi, którzy zgromadzili się tłumnie, aby korzystać z czarownego widoku i powitać dumę Wenecyi, jej flotę.

W tej chwili zabrzmiały uroczysto dzwony z wieży ś. Marka, katadra Panny Maryi della Salute odpowiedziała takowym odgłosem swoich dzwonów, a jednocześnie odgłos ozwał się z trzystu wież weneckich, i napełnił powietrze pożegnalną pieśnią dumnej Rzeczypospolitej ku swym wojownikom, których wysyłała, aby przysporzyć wszechwładnej matce nowej sławy i potęgi. Morze szumiało przy tem swymi spienionymi bałwanami, i wznosiło do góry olbrzymie okręta wojenne, tak lekko jakby to była zabawka, i igrało żartobliwie z tysiącami gondoli, które z kanałów przybiegły, i jakby chmura owadów brzęcząc około lwów nagromadziły się.

Na raz jeden czarna rzesza gondoli rozdzieliła się, rozbiegły się jakby na komendę na obie strony portu. Z Wielkiego Kanału przypłynął na złotym bucentaurze Doża z panami radnymi, ubrany w długą złotem tkaną suknię, mając na głowie złotą rogatą czapkę, stał w dumnej postawie Doża Contarini na brzegu okrętu. Za nim w długich spływających czarnych ubiorach magnateryja, panowie wielkiej rady, i powszechną obawę sprawiający członkowie Rady Trzech z czarnemi larwami na twarzach, pełni tajemnicy i niedocieczeni, postrach ludu weneckiego. Karać w ciemnościach nocy, mścić się tajemniczo, jest zadaniem tych trzech mężów, sam nawet Doża drży przed nimi, wiedząc że jedno skinienie ręki jest dostateczne do odebrania mu życia, gdyby to z dobrem Wenecyi być uznali.

W tej jednak chwili powszechnej radości nie zamilkła radość ludu nawet na widok okropnych Trzech. Patrzą na swego Dożę. Twarz jego jest odkrytą, pała od radości i dumy. Wznosi ręce do góry i wita się z ludem; w tej chwili zabłysło we wszystkich otworach okrętowych, a grzmiące działa odpowiadają na pozdrowienie Doży.

— Chodź, rzekł Ludwik drżącym głosem wciągając napowrót Blankę do komnaty, nie mogę na to patrzeć, serce mi pęka. O! gdybym mógł się z nimi udać, oddałbym całą krew moją, aby módz zdobyć sobie pierwsze laury, i nieznane moje imię sławą okryć, a ojczyznie ramie moje ofiarować...

— A może poświęcić dla niej życie, przerwała mu szybko Blanka.

— A choćby i tak było, mówił dalej, czyż może być co piękniejszego nad śmierć wojownika, gdy wpośród swych braci, towarzyszy broni, okrzykiem zwycięztwa głuszony przy odgłosie trąby polegnie. Śmierć taka wartą jest, aby dla niej poświęcić życie.

— Ludwiku, rzekła łagodnie przytulając się do niego, czyż nie pomnisz wcale na mnie i moją boleść, wrazie gdybym cię utracić miała?

Zlekka potrząsnął głową.

— Zapłakałabyś a potem o mnie zapomniała. Przytulisz się do serca małżonka, który cię wkrótce pocieszy.

— Boże, mój Boże, zcicha wyrzekła i zakryła wybladłą twarz rękami.

— Tak moja siostro, rzekł Ludwik usiłując przybrać głos spokojny i żartobliwy, już niedługo będziesz mogła opierać się natarczywości wielbicieli. Gwiazda Wenecyi będzie przecież raz musiała przyświecić miłością jednemu ze szlachty weneckiej. Pomówmy teraz o tem poważnie. Przyznam ci się, że często mnie to boli, że jeszcze nie jesteś zamężną. Jesteś tak piękną, rozsądną i bogatą, a są to bardzo piękne łakome rzeczy dla twoich konkurentów. Najszlachetniejsi synowie najpierwszych rodzin, których imiona wciągnięte są do złotej księgi, starają się o twoją rękę i miłość. Wybierz zpomiędzy nich, uczyń to dla mnie siostro.

— Dla ciebie to uczynić? i na cóż ci się to przyda?

— Chcę ci powiedzieć, rzekł uroczyście, przypomnij sobie ową godzinę, pamiętną godzinę, gdyśmy przed niewielu miesiącami znajdowali się przy łożu śmiertelnem twej matki. Ty klęczałaś płacząc obok niej, ja stałem pełen żalu obok ciebie. Naraz podniosła się cudownie wzmocniona na poduszkach, i przywołała mnie głośno do siebie. Czyli pamiętasz to?

— Dobrze sobie przypominam, wyrzekła Blanka, podczas kiedy łzy spływały jej wolno po licach, ja ukryłam głowę moję w jej wezgłowia, w tej chwili podniosłam się i spostrzegłam moją matkę, jak wzrokiem błogosławionej ku niebu spoglądała; widziałam usta jej do modlitwy złożone; następnie wzięła moją rękę, ścisła ją w swojej łagodnie i rzekła zcicha... O! przerwała Blanka, nie mogę już dalej!

Ludwik objął ją łagodnie ręką za szyję i przycisnął do siebie.

— Powiem ci co mówiła: „Umieram Blanko, lecz zostaję spokojną, wiedząc że ci pozostawiam przyjaciela, brata, który zawsze wiernie i starannie przy twoim boku pozostanie.“ Następnie ujęła mnie za rękę, położyła na twojej i spojrzała znów do nieba z tym uśmiechem niebiańskim, z tym spokojem Boskim na twarzy, które jej przez całe życie towarzyszyły, i z tym uśmiechem przeniosła się do wieczności.

— Matko! moja matko! zapłakała Blanka, czemuż opuściłaś swe dziecię? pozostawiłaś je osierocone i samotne na ziemi.

— Nie płacz Blanko, rzekł Ludwik poważnie, wspomnij sobie słowa matki. Nie jesteś sierotą, albowiem twój przyjaciel, twój brat jest przy twoim boku, i nie pierwej cię opuści, póki w miejsce jego nie obierzesz sobie małżonka. Podej mi rękę Blanko, przyrzecz mi, że nie zechcesz nadal uporczywie odpychać od siebie słodszych uczuć i posłuchać szeptów miłości, skoro raz do serca ci zapuka.

— Mówisz, żebym to uczyniła dla ciebie? szepnęła mu Blanka.

— Tak jest i dla mnie. Los twój niepokoi mnie, tak jakby był mój własny, bo kocham cię prawdziwie, jak na brata przystoi. Jesteś córką kobiety, która całe życie dobrodziejstwa mi czyniła, która zajęła się biedym osieroconym chłopakiem, wychowała go jak własnego syna, która mi dozwoliła nazywać się matką, mnie biednemu, którego własna matka opuściła. O! Blanko! czy pojmujesz cierpienie, wiedzieć że są ludzie na świecie z nami związkami krwi połączeni, a nie znać ich jednakże, nic o nich nie wiedzieć, nie znać nawet ich imienia. O! cóż to za srogie, srogie cierpienie!

— Uspokój się Ludwiku, bądź odważnym, bądź mężem...

— Jestem nim, odrzekł gwałtownie, lecz są rzeczy, które najdzielniejszego męża przygniotą. Słuchaj: gdy jestem samotny w mojej komnacie, natenczas zdaje mi się nieraz, jakobym słyszał szeptanie: „Jak się zowie twój ojciec, twoja matka, gdzie się znajdują?“ Zrywam się, a gorzka boleść przeszywa mi łono. „Gdzie oni przebywają!“ wykrzykuję głośno i dumam i szperam póty, póki nie owładnie mnie uczucie, jakby mury się na mnie waliły i swym ciężarem gniotły. Natenczas ciasno mi w komnacie, zdaje mi się, jakbym był obłąkany, spieszę na Plac ś. Marka, szukam największego gwaru i tłoku, badam niespokojnie, a jednak pełen nadziei, każdą twarz męzką i przy każdej myślę sobie: „Czyż to nie może być twój ojciec?“ Patrzę z obawą przechodzącym kobietom w oczy, i znowu się pytam sam siebie: „Czyż to przypadkiem nie twoja matka?“ Tam oto ta dama w kosztownych klejnotach, za którą idą służący w liberyi kapiącej od złota: „Czy ona przypadkiem nie jest moją matką? nie jestżem dziedzicem jej nazwiska, a ztąd uprawniony pyszny jej herb za moją wła-

sność uważać?“ A pomyślawszy to, serce mi rośnie od radości, spieszę ku niej, gdyż może rozpozna w mej twarzy rysy mojego ojca. Przecież mógłby się cud miłości przytrafić, że matka mogłaby sama przez pociąg przyrodzony dziecię swe poznać.

Mówiąc to patrzał osłupiałym wźrokiem w powietrze całkiem dziwnym wewnętrznym marzeniom oddany. Stał podobny do lunatyka. Nie słyszał że Blanka ze łkaniem i czule wzywała go po imieniu, był jedynie w sobie i w widziadłach swej wyobraźni zatopionym. Po małej chwili mówił dalej:

— Otóż stoję przed tobą, pełen miłości i przeczucia w sercu, patrzę w zimne, arystokratyczne oblicze, co z dumą na biedaka spogląda, który ważył się wcisnąć w jej towarzystwo. Z wściekłością i wstydem w sercu wybiegam, aż tu żebraczka wyciąga ku mnie rękę, i prosi mnie z boleścią w głosie o jałmużnę. Chcę szybko ją ominąć, nie uważać na nią, lecz nogi mi kołczeją, serce przestaje bić w okropnej wątpliwości, a w łonie szepcze mi zcicha: „Czyż żebraczka ta nie może być twoją matką?“ Natenczas z obawą wszystkie pieniądze które mam przy sobie oddaję żebraczce do ręki, wymykam się i cichaczem dalej idę, złamany na umyśle, bez żadnej nadziei.

Umilkł, i znowu w osłupieniu spoglądał przed siebie.

Blanka patrzała na niego z wyrazem niewymownej miłości. Zdawało się że chciała wyczytać z jego twarzy, czemby miłość jej zdolną być mogła wyrwać go z tych okropnych cierpień, które owładły jego duszę. Naraz jakby blask słońca przemknął się po jej pięknej twarzy, a rysy jej nabrały pewnego stanowczego wyrazu.

— Masz słuszność Ludwiku, rzekła spokojnie, musisz ztąd się wydalić, musisz spróbować twej siły w walce z życiem i szukać zapomnienia, starając się o sławę. Bezczynność i spokój nie jest dla ciebie.

— Tak! wykrzyknął wyrwawszy się z zadumy, masz słuszność, muszę się ztąd oddalić. O! byłoby mi daleko lepiej, gdybym był zdala od tych miejsc; na odgłos okrzyków wojennych, w walce męża z mężem, powróciłoby mi życie. Może zdołam nabyć imienia, i zdobyć sobie sławę w tej wściekłej walce. Natenczas umarłbym chętnie, wiedząc że imie moje wiecznie żyć będzie.

— Czyż to jest niepodobna, zapytała się Blanka, żebyś odjechał teraz z naszą flotą?

— Jużem ci powiedział, że to rzecz niemożebna, bo młodzi oficerowie pozostają tu na straży portowej i miejskiej. Być może żebym sobie na klęczkach łaskę tę u Doży wyżebrał, lecz nie jestem wstanie uczynić tego, bo serce moje wzdryga się na to. A przytem choćby nawet na to zezwolił, tobym jednakże nie mogł odjechać.

— A to dla czego? cóż cię wstrzymuje?

— Ostatnie słowa twej matki, rzekł uroczyście. Muszę być twoim przyjacielem, twoim bratem. Nie mogę cię tutaj tak bez opieki pozostawić, muszę pozostać, dopóki nie będziesz zamężną.

— Dopóki nie będę zamężną, powtórzyła z zadumą. Jednakże gdybyś mnie widział bezpieczną pod opieką małżonka, a gdyby tobie ofiarowano stopień kapitana na jednym z tamtych okrętów, nieprawdaż, natenczas byłbyś zadowolony i szczęśliwy.

— Zaprawdę, wykrzyknął z zaiskrzonym wźrokiem, wtedy wszystkie moje życzenia byłyby spełnione, i sam o własnej sile mógłbym sobie wyrobić stanowisko w świecie.

Blanka odwróciła się od niego i opuściwszy głowę na piersi, przechadzała się zwolna tam i napowrót. Naraz jakby własnemi myślami przerażona, padła na krzesło i pochyliła znużoną głowę na poręcz takowego.

Ludwik pospieszył do niej.

— Cóż ci jest? zapytał z uczuciem, tak smutno patrzysz? o! niezawodnie wspomnienie matki tak cię poruszyło. Przebacz mi Blanko, to było nieludzko z mej strony.

— Nie mam ci nic do przebaczenia, odpowiedziała łagodnie. Ja ciągle myślą jestem przy mojej matce, lecz rzeczywiście dzisiaj czuję się słabą, proszę cię zostaw mnie samą, bo potrzeba mi odpoczynku.

— Odchodzę, rzekł skinąwszy przyjaźnie. Bądź zdrowa siostro.

Cicho na palcach, jakby się obawiał głośniejszym krokiem sprawić jej przykrość, udał się do drzwi.

Pozostawszy teraz samą już nie miała potrzeby ukrywania łez, które tak długo w sercu taiła. Teraz wolno im było pchać się do oczu, a następnie strumieniami spływać na lica. Nie wzbraniała im tego, była samą z sobą tylko, i z Bogiem. Przed nim to padła na kolana i błagała Go o męztwo, do spełnienia ciężkiej ofiary, którą uczynić postanowiła. Wiedziała że z trudnością to zniesie, nie taiła tego przed sobą, iż całą swą przyszłość za-

łobnym całunem powlecze. Miłość jednak wszystko a nawet samą siebie przezwycięży. Ludwik powiedział, że póki nie będzie zamężną i nie będzie miała innego opiekuna prócz niego, tak długo nie może nawet myśleć o opuszczeniu Wenecyi, a jednakże wtedy tylko będzie szczęśliwym, jak będzie mógł to uczynić. Wtedy jedynie, kiedy mu dozwolonem zostanie, na owych okrętach pospieszyć do walki, życie miałoby dla niego jeszcze jakąś wartość.

A jego życie, jego szczęście jest dla niej wszystkiem. O sobie nie myśli i myśleć jej nie wolno.

Długo płakała, walczyła z boleścią póki jej nie przemogła. Osuszyła łzy w oczach, a gdy się podniosła, już nie było śladu na niej niepewności i wahania się. On pewinien zostać szczęśliwym, dla niego gotową była cierpienia życia znosić.

Pewnym krokiem i ze stanowczą decyzyją przystąpiła do stolika, usiadła i poczęła pisać. Ani razu pióro się nie powstrzymało, przebiegając lotem ptaka po papierze.

Nakoniec i to już dokonane. Złożyła papier, zaadresowała, przypieczętowała i zadzwoniła w mały srebrny dzwoneczek, stojący na stoliku. Drzwi się natychmiast otwarły i wszedł jej paź.

— Giacomo! rozkazała podając mu list, zanieś to zaraz do pałacu Doży i oddaj kamerdynerowi Doży, niechaj sam mu to osobiście odda a nikt inny.

Paź ukłonił się pocałował Blankę w rękę i pospieszył wykonać rozkaz swej pani.

Blanka patrzała za nim, a skoro się drzwi za nim zamknęły i została samą, wydarł się z głębi jej piersi okrzyk boleści i padła zemdlona.

II.

Doża Contarini był sam w swoim gabinecie. Sam! Lecz kiedyż Doża wenecki mógł powiedzieć że jest samotny? Jakże mógł to wiedzieć, czyli z po za rzeźb ściennych, z nad powały pokojowej nie wyglądają oczy, które na niego baczą, czyli w murach nie ma wydrążeń, z po za których uszy podsłuchują, którym każde słowo, każde westchnienie jest jawne?

Doża wenecki jest księciem potężnej rzeczypospolitej, lecz rzeczpospolita jest wyższą nad niego, a on niczem innem nie jest, jak tylko jej niewolnikiem; nie wolno mu się wynieść, nie wolno mu mieć własnej woli, odbiera od niej rozkazy, które z posłuszeństwem wykonywa, lub w przeciwnym rarazie karany jest śmiercią.

Kiedyś wprawdzie Doża był potężnym i silnym. Papieże ubiegali się o jego łaskę. Cesarze przybywali całować mu nogi, a całe morze Śródziemne przed nim korzyło się. Przez wzgląd na to Papież Aleksander III. obdarzył Dożę pierścieniem, aby się corocznie z morzem, jako swoją oblubienicą, zaślubiał, a gdy to czynił, lud wenecki witał go okrzykami radości i zbierał w zapale sztuki złota, które Doża mu wyrzucać kazał.

Były to świetne czasy Wenecyi, lecz te już przeminęły.

Dziś nie był już Doża niczem więcej, jak tylko niewolnikiem niewidzialnej Rady Trzech, którzy byli tem względem niego, czem jest Bóg względem człowieka; którzy każdy jego krok szpiegowali i dodali Doży dwóch dozorców, zwanych Advogadori, którym każdego czasu musiał dozwolić wolnego wstępu do swojego mieszkania, którzy skrytemi drzwiami, tajemnemi korytarzami nieznanemi nawet samemu Doży, choćby wśród nocy wchodzili do jego pokoi i przynosili rozkazy właściwych Panów Wenecyi Rady Trzech, które to rozkazy Doża natychmiast, jako najpoddańszy sługa, wykonać był obowiązany.

A jednakże byli panowie Nobili, którzy starali się o zaszczyt noszenia na głowie czapki rogatej, i aby być publicznie witanymi przez lud, jako jego panowie, chociaż skrycie drżeli przed owemi Trzema mężami, swoimi Panami. Było to bowiem oznaką, że ich nazwiska w złotej księdze szlachty weneckiej były zapisane, i że należą do najstarożytniejszych rodzin tej Rzeczypospolitej.

Ta to była przyczyna, dla której bogaty i dumny Contarini przyjął godność Doży, a gdy na bucentaurze wypływał na morze, kiedy go pawilionami swemi witały okręta, dzwony brzmiały a tłumy ludu na wybrzeżach i po mostach stały, to wówczas przecież czuł się być panem i wśród widocznego przepychu, zapominał owych niewidzialnych Trzech. Natenczas ostre, jego spojrzenie jaśniało od dumy i chęci wywyższenia się, a uśmiech zabłysnął na jego ponurem licu.

Teraz jednak był samotnym, to jest że nie widział nikogo przy sobie, i nie miał potrzeby odgrywać komedyj sam z sobą, aby uśmiechem pokrywać ponure myśli. Pracował, pióro spoczywało mu jeszcze w ręce na stole opartej, głowa jednak była przechyloną przez wysoką poręcz od stołka, a pochmurne czarne oczy wytrzeszczył przed siebie.

Naraz wzdrygnął się i nieco się podniósł. Zdało

mu się, jakoby posłyszał za obiciem pokojowem lekki szmer. Słuchał, szmer się powtórzył i trzy lekkie uderzenia w ścianę odbiły się.

Doża podskoczył. „To on!“ szepnął po cichu „to Benedetto.“ Pospieszył do ściany i przycisnął jednę ze złotych róż obicia. Natychmiast otworzyły się niewidoczne dotąd drzwi i postać czarno ubrana z twarzą pokrytą larwą weszła.

— Zdejm mąskę! rozkazał Doża, a nieznajomy opuścił maskę z twarzy, okazując Doży swoją bladą, poważną twarz starca.

— Powróciłeś przecie Benedetto? zapytał się Doża spokojnie.

— Tak jest, Signoria, powróciłem.

— I przynosisz mi wiadomości? Czy byłeś w Padwie i śledziłeś jej dalej?

— Byłem w Padwie i o tem przynajmniej z pewnością dowiedziałem się że przed dwudziestu laty tam była.

— Czy sama? zapytał Doża.

— Nie, odpowiedział Benedetto uroczyście, miała przy sobie małe dziecię, żyła samotnie, z nikim się nie widywała, ani też nie mówiła. O zmierzchu jedynie pokazywała się niekiedy na spacerze, niosąc na ręku dziecię, i przechadzała się pomału tam i napowrót, aby dziecię mogło użyć świeżego powietrza. Naraz znikła, mieszkanie jej zostało próżne, a nikt więcej o niej nic dosłyszeć nie mógł.

— Czy i dziecko zniknęło?

— Naturalnie, Signoria, bowiem matka nie tak łatwo porzuci swe dziecię.

— I ojciec również! krzyknął z żywością Doża. Często myślę o tem dziecięciu, tęsknie za niem. Smutna to rzecz samotne pędzić życie, a najsmutniej wówczas, gdy się jest Dożą weneckim. Chciałbym mieć syna przy sobie, chciałbym słyszeć z jego ust wyraz: „Ojcze!“

— Jeśli tego tak pragniesz Contarini, odpowiedział niemal surowo Benedetto, to znajdziesz dość takich dzieci, które gotowe są nazywać cię ojcem, jeśli im tylko uczuć dasz swą miłość. Wystąp do ludu, nazwij go: „Moje dzieci,“ i dowiedź im, że chcesz być im ojcem.

— Zapominasz o tem, co ci przystoi! — krzyknął z dumą Doża. Szczędź swojej rady, dopóki jej od ciebie nie zażądam. Contarini sam sobie radzić potrafi.

— Sądzę przecie, że rada przyjaciela powinna ci być przyjemną.

— Rada przyjaciela, powtórzył Doża. Niebezpiecznem jest być przyjacielem Doży, a dla Doży jeszcze niebezpieczniejszem mieć przyjaciela. Z przyjaciela może mu łatwo utworzyć się współzawodnik, następca. Przyjaciołka, kochanka, to jeszcze ujdzie, to łatwiej się pogodzi ze świetnością Doży. Małżonka Doży nie przynosi niebezpieczeństwa jego stanowisku, lecz owszem osładza takowe.

— Miałżebyś może ochotę jeszcze się ożenić? zapytał ironicznie Benedetto.

— A gdybym ją miał? zawołał z żywością Doża.

— To ci tego uczynić nie wolno, bo jesteś żonaty. Lidia zniknęła, lecz nie wiesz czy umarła, a ponieważ żyć może i gdy wskutek żadnej innej przyczyny, jak jedynie wskutek własnego wiarołomstwa z nią się rozszedłeś, przeto nie możesz innej pojąć małżonki, dopóki nie będziesz miał niewątpliwych dowodów jej śmierci, póki...

— Milcz Benedetto, przerwał mu Doża. Nie mówi się tak głośno w pałacu Doży, bo tam ściany mają uszy. Powiedz mi cicho, ale to jak najciszej, czyś z nikim o Lidii nie mówił?

— Z nikim, panie, odpowiedział z uroczystością Benedetto. Nikt prócz Boga i mnie nie wie o twojem małżeństwie z biedną Lidiją.

Doża utkwił swe ponure czarne oczy w twarz Benedetta, chcąc myśli jego przeniknąć; twarz ta pozostała poważną i milczącą i spokojnem spojrzeniem odpowiedziała spojrzeniu Contariniego.

— A ksiądz, szepnął, ksiądz który nas połączył?

— Już przed laty wyniósł się w obce kraje, a nikt nie wie dokąd, ten biedny człowiek jednak nie mógłby ci w niczem szkodzić. Wiesz dobrze iż raz tylko przed dwudziestu laty cię widział. Tyś już na drugi dzień po ślubie, jako naczelny wódz wenecki i gubernator Morei wyjechał, i dopiero przed rokiem ztamtąd powróciłeś, a to ponieważ Wysoka Rada powołała cię na godność Doży.

— Czemuż mi powtarzasz to, co ja sam wiem dobrze? zapytał gwałtownie Doża.

— Jedynie aby ci przypomnieć, że ksiądz cię nie zna, i jedynie dla tego, aby tego biedaka wrazie gdybyś odkrył jego schronienie, ochronić przed pchnięciem sztyletu. Bądź spokojnym Contarini, ksiądz który ci ślub dawał, nie może cię zdradzić.

— Ale ty Benedetto czy będziesz ty milczał?

— Będę milczał, jak długo mi to będzie wolno.

Lecz ostrzegam cię Contarini, że gdyby ci przyszła chęć zawarcia powtórnego małżeństwa, natenczas będę mówił: kochałem Lidiją i ona mnie nawzajem; z twej przyczyny przeniewierzyła mi się i poszła za tobą. Przyszła do mnie i na klęczkach, zalana łzami, błagała mnie o przebaczenie, zaklinała mnie w imie miłości, którą jej okazywałem, abym ci przebaczył i nie szukał zemsty. Przysiągłem jej to, gdyż ją szczerze kochałem; prócz tego zmartwienie uczyniło mnie słabym i łagodnym, wiesz o tem dobrze, ponieważ dotąd cieszysz się życiem. Gdybyś jednak dzisiaj poważył się powtórne zawrzeć śluby, nie przekonawszy się czyli Lidia, twoja prawa małżonka jeszcze przy życiu zostaje lub nie, natenczas odezwę się; przestrzegam cię, bo nie ścierpię takiego wiarołomstwa!

— Ty tego nie ścierpisz? powtórzył Contarini, patrząc mu śmiało w oczy. Nawzajem przeszywali się jakby błyszczącemi sztyletami. Ty tego nie ścierpisz? a cóż zamyślasz ty bezsilny naprzeciw mnie, naprzeciw Doży przedsięwziąść?

— Tego ci nie powiem Signoria! odrzekł uroczyście Benedetto, to powiem tylko paszczy lwa, który przy bramach twego pałacu na straży stoi*).

Doża wydał okrzyk przytłumiony, a ręką chwycił za ramie Benedetta.

— Neszczęśliwy! szepnął. Ty.... umilkł i cofnął rękę. Idź... rzekł do niego, radzę ci oddal się!

— Jdę Signoria, lecz nie zapominaj, że czuwam nad tobą.

Benedetto idąc tyłem i mając nieruchome oczy w twarz Doży wlepione, doszedł do skrytych drzwi, otworzył i zniknął w ścianie.

Doża patrzał za nim podsłuchując, na kształt tygrysa strzegącego zdobyczy, którą chce roztargać.

— Przestałeś żyć, szepnął, Bóg jeden i ty wiecie o mojem małżeństwie z Lidiją córką obywatelską. Na Boga, weneccy Nobili zdumieliby się i wyśmiali, gdyby się dowiedzieli że kiedyś byłem mężem służącej. To być nie może! Mówiłem ci Benedetto, że wcale to nie dobrze być przyjacielem Doży, podzielać z nim tajemnicę, jest to grozić mu, a tyś mi groził. Mogę tego potępić i zniszczyć, który mi grozi i na Boga! uczynię to.

*) Przy pałacu Doży obok głównych wrót, znajdowały się dwa łby lwie z otwartemi na wpół paszczami, każde pismo tam wrzucone dostawało się w ręce Trzech Mężów wysokiej rady, którzy sami jedynie mieli klucze do tej kryjówki i z denuncyjacyj najlepszy robili użytek.

Przystąpił do stolika i trzy razy uderzył w mały srebrny dzwoneczek, który stał na nim; natychmiast na drugiej stronie ściany otwarły się drzwi, i weszła postać zupełnie do Benedetta podobna, w czarnym płaszczu i czarnej larwie i stanęła nieruchoma w milczeniu.

— Czy widziałeś starca, który co tylko ztąd wyszedł? zapytał Doża.

— Widziałem go, odpowiedziała larwa.

— Znasz jego imie i mieszkanie?

— Zowie się Benedetto i mieszka nad Kanałem Foskarego.

— Wiesz czem się trudni?

— Podróżował.

— Dokąd?

— Do Padwy, Mantui, Werony.

— W czyim interesie?

Larwa nic nie odpowiedziała. Doża powtórzył z uniesieniem dane zapytanie:

— W czyim interesie?

— W twojem, odpowiedziała wolno larwa.

Doża zadrżał, a wyraz przestrachu przesunął się po jego obliczu. Wkrótce jednak przybrał postać spokojną.

— Czy znasz ten interes?

— Nie, ale go docieknę.

— Dokąd udaje się teraz, Benedetto?

— Do swego mieszkania!

— Pójdziesz za nim! rzekł szybko Doża.

— Dobrze, udam się za nim.

— On już przestał żyć! zawołał Doża rozkazująco.

— Za godzinę powrócisz do mnie z doniesieniem o śmierci Benedetta.

— Czy ma być pogrzebanym? spytała larwa obojętnie.

— Nie, do morza z nim!

— Za godzinę jestem z powrotem. Nie masz mi nic więcej do rozkazu Signoria?

— Więcej nic, rzekł Doża z odwróconą twarzę.

Cichy szmer powstał za nim, larwa zniknęła w ścianie.

— Jeszcze godzina! rzekł do siebie Doża, a moja tajemnica przepadła. Jeszczę godzina, a mogę starać się o rękę pięknej Blanki Malighieri. Dumna kobieta! śmie odmawiać mi swej ręki, drwi sobie i naigrawa ze mnie, a im częściej to czyni, tem więcej miłość moja ku niej wzrasta. Ona będzie i musi być moją. Przez świętego Teodora!

Doża Wenecyi ma prawo do posiadania Gwiazdy Wenecyi. Będzie moją, a skoro to przyjdzie do skutku, zemszczę się za upór i dumę, dla których mną pogardzała.

Lekkie skrobanie u głównych drzwi wchodowych, uciszyło Dożę. Wszedł lokaj i podał mu na złotym talerzu list, poczem w milczeniu pełen uszanowania odszedł.

Doża spojrzał z obojętną ciekawością na list, lecz skoro pieczęć herbową zobaczył, wzdrygnął się i gwałtownie rozerwał papier.

— Blanka pisze do mnie... cóż ma mi do powiedzenia?

Szybko przeczytał pismo.

— To być nie może! to niepodobna! oczy mnie mylą, a jednakże mam czarne na białem!

Jednocześnie, jakby nie dowierzał swojem oczom, i jakby to i jego uszy słyszeć musiały, przeczytał półgłosem list Blanki:

„Opuściłeś mnie pan dnia wczorajszego w gnie„wie i zaprzysiągłeś zemstę. Przysięga ta nie stra„szy mnie bynajmniej, a jeżeli piszę teraz do pana, „to nie z przyczyny bojaźni, lub trwogi kobiecej. „Żądasz pan miłości i starasz się o moją rękę. „Nie kocham pana wcale, lecz jeżeli ci wystarcza „moje poważanie, i jeżeli sądzisz, że jestem godną „być twoją małżonką, to jeszcze dziś oddam ci rę„kę przy ołtarzu, jeżeli bezzwłocznie zamianujesz „brata mojego Ludwika kapitanem, i dozwolisz mu „jeszcze dzisiaj odjechać z flotą do Kandyi odpły„wającą. Przyślesz mi pan dla mego brata dyplom „kapitański, to za cztery godziny zastaniesz mnie „w stroju panny młodej. Nie uczynisz tego, to mię„dzy nami wszystko zerwane, a pan sam odrzucisz „rękę, Blanki Malighieri."

— Rzeczywiście tak jest napisane, rzekł Doża patrząc na pismo. To szczególniejsza, za patent kapitański dla brata, sprzedaje się. Cała Wenecyja mówi o tem, jak ona kocha swego brata, tego brata, który jest tylko hańbą jej matki, gdyż dopiero po śmierci męża przyznała się do syna, i nigdy nie śmiała przyznać mu imienia i herbu Malighierych. I z miłości ku temu bratu, naturalnemu synowi matki, chce iść za mąż. To szczególnie, nie do pojęcia... ja jednak przyjmuję ofiarę. Dostanie natychmiast rangę kapitana.

W mgnieniu oka przystąpił do stolika, wziął jeden z tych wielkich herbem i stęplem rzeczypospolitej weneckiej opatrzonych arkuszy papieru, napisał na nim kilka wierszy, złożył i zaadresował. Następnie zadzwonił i oddał służącemu list.

— Natychmiast do hrabiny Malighieri, oddać w jej własne ręce, o ile można najprędzej!

— Ha! zawołał Doża radośnie będąc znowu sam na sam, teraz jestem szczęśliwy! Nieznośny powiernik mej tajemnicy nie żyje a Blanka Malighieri moją żoną.

III.

Ofiara spełniona, Blanka Malighieri została hrabiną Contarini, małżonką Doży. Radość i uniesienie z jakiem Ludwik niespodziewaną wiadomość o zamianowaniu siebie kapitanem przyjął, rozkosz jaką był przejęty że może mieć udział w wojnie z niewiernymi Turkami, było nagrodą dla Blanki, za ciężkie jej poświęcenie.

Wprawdzie radość, z jaką Ludwik wiadomość o małżeństwie Blanki z Dożą przyjął, i z jaką jej szczęścia życzył, że przecie serce jej obrało osobę, której miłość swoją oddać mogła, zachmurzyło to szczęście; jednakże miała tyle nad sobą władzy, że była wstanie przytłumić boleść wydzierającą się z jej serca, utrzymać uśmiech na licach i powiedzieć Ludwikowi, że jest szczęśliwą. W tem przekonaniu z lekkiem i wolnem sercem pożegnał ją, udając się na okręt admiralski, aby objąć stopień kapitana.

Już odjechał — a nazajutrz po jego odjeździe, odbyły się zaślubiny Blanki z hrabią Contarini.

Wesele było ciche i bez rozgłosu, jak to przepisują ostre prawa weneckie. Zazdrosna bowiem Rzeczpospolita nie dozwala, aby jej Doża odznaczał się blaskiem książęcym, lecz jedynie skromnie się okazywał.

Rzeczpospolita była księżną, Doża był tylko jej płatnym zastępcą. Z tego powodu nie wolno było nadymać mu się czczą próżnością, zawsze powinien był pamiętać o tem, że jest tylko sługą wielkiego panującego.

Kto tylko chciał mu hołd książęcy oddawać, był uważany za zdrajcę rzeczypospolitej, i jako taki był karany.

Ktokolwiek na klęczkach zbliżał się do Doży, ten narażał swe życie i w głębi Lagunów odbierał karę za uszanowanie dla Doży. Wszyscy członkowie rodziny Doży byli wyłączeni od wszelkich publicznych urzędów, nawet nad sercami dzieci jego, rozciągała rzeczpospolita swoje samowładztwo; pra-

wo bowiem zakazywało im po za obrębem Wenecyi zawierać małżeństwa. Nad ubiorem i wewnętrznem urządzeniem mieszkań rodziny Doży, również czuwała rzeczpospolita, i krzywo na to patrzała, jeżeli synowie Doży okazywali zbytek a córki w bogatych wychodziły ubiorach.

Zona Doży jedynie stanowiła wyjątek. Od niej żądała rzeczpospolita, aby występowała z okazałością; miała ona być bowiem przedstawicielką niezgasłej piękności i wiecznej młodości Wenecyi, zwierciadłem jej świetności.

Z tej przyczyny inne prawo nakazywało Doży, ażeby poślubiał jedynie bogatą Wenecyjankę, lecz żeby nie szczędził dochodów jej majątku; nie wolno mu było odkładać nic na bok, i za to kupować dobra lub pałace, lecz obowiązany był wydawać je ku chwale Wenecyi, wyprawiać festyny, zakładać publiczne budynki, zaopatrywać flotę i wojsko we wszystko, na czem im tylko zbywało.

Ażeby zaś to wszystko było wykonywane, czuwali Trzej Mężowie. Dwom Adwogatorom, którzy mu jako stróże byli dodani, obowiązany był Doża z końcem każdego miesiąca przedkładać swoje książki, aby im dowieść, że nic nie oszczędzał, lecz cały swój dochód wydał.

Doża był niewolnikiem swej godności, ztąd też przyszło do tego, że nikt nie chciał posady tej piastować. Contarini również ociągał się. Jako gubernator Morei w służbie rzeczypospolitej, był wolnym i poważanym; jako Doża wenecki, jako książe rzeczypospolitej, został bezwładnym, skrępowanym sługą. O tem wiedział dobrze Contarini i dla tego wahał się ozdobić swej dumnej głowy rogatą czapką. Umiano jednak zmusić go do tego; Wysoka Rada zagroziła mu, że będzie ogłoszonym zdrajcą ojczyzny, a publiczne zaskarżenie Wysokiej Rady, było tem samem co i rusztowanie. Contarini zanadto był przywiązany do życia, nie miał ochoty jeszcze umierać, przyjął przeto godność Doży.

Uczyniwszy to, ocknęła się w nim duma, a chęć wywyższenia się szeptała: „Moim zadaniem jest przywrócić dawne prerogatywy Dożów i skruszyć więzy niewolnictwa.“ W tym celu przedewszystkiem musiał przyjść do władzy, na którejby się mógł oprzeć; potrzeba mu było do tego sprzymierzeńców, a sprzymierzeńcem tym przed innymi, miał być lud wenecki, i władzy tej mu udzielić.

Potrzeba mu było jednak jeszcze jednego sprzymierzeńca, aby się mógł za nim do ludu wstawić. Potrzebował pieniędzy, bo Contarini nie był bogaczem, szukał żony, któraby mu tego drugiego sprzymierzeńca, to jest bogactwa przyniosła; znalazł go u bogatej Blanki Malighieri.

Ta to była przyczyna, dla czego się starał o jej rękę; miłość się na nim za to pomściła i z wyrachowania powstała rzecz serca.

Pokochał Blankę Malighieri, a pokochał ją szalenie, zazdrością, gniewem, nienawiścią i boleścią. Zachwycał się jej widokiem, a ogarniała go wściekłość, gdy patrzała na niego zimno i spokojnie, i gdy na jego przysięgi obojętnie odpowiadała. Nie mógł jej przebaczyć, że przyjmując jego rękę rzekła do niego, że tego nie czyni z miłości, a jednakże codziennie na nowo starał się o tę miłość i zazdrosnym wzrokiem czuwał nad każdem jej spojrzeniem, nad każdem jej słowem, nienawidził i prześladował każdego, których tylko Blanka z dobrocią i uprzejmością witała.

Ona ciągle była spokojną i łagodną, lecz uśmiech jej był zimny, spojrzenie tęskne i smutne. Contarini byłby chętnie kilka lat swego życia dał za to, żeby widział jej lica jaśniejące radością, a oko na niego z miłością zwrócone. Lecz tydzień po tygodniu mijał, a smutek Blanki nie ustawał.

O tem przemyśliwał Doża, siedząc dziś samotnie przy stoliku, rozbierając każde jej słowo i musząc sobie sam przyznać, że wszelkie jego usiłowania są próżne.

— Wszystko nadaremnie, rzekł do siebie zcicha, ona zawsze pozostaje oziębłą. Zawsze jest przyjacielską, zawsze usłużną, lecz zawsze z tą spokojną twarzą, która wyraźnie okazuje, że czyni to jedynie iż czynić musi. Nie kocha mnie. Mógłbym to znieść i poddać się temu, gdyby nie kochała innego, ale to to jest właśnie co mnie piekielnie dręczy. Nie znam nawet jego nazwiska, nie mogę go zdusić temi rękami, jego, mordercę mojego szczęścia. O! gdybym wiedział...

Przerwał słuchając.

— Ktoś nadchodzi, cicho biedne moje serce, cicho.

Drzwi się otwarły, i wszedł paź w tkanym złotem ubiorze.

— Żona Doży, hrabina Contarini, głośno zawołał.

Doża wyszedł naprzeciw niej, aby podać rękę żonie i poprowadzić ją do sofy.

— Jakież to rzadkie niespodziewane szczęście, rzekł czule ją całując w rękę, rzadko mi się to

zdarza ten zaszczyt, aby pani odwiedziła swego męża. Niestety, obawiam się, że dzisiejsze odwiedziny pani mają jakiś szczególny powód.

— Zgadłeś Signoria, odpowiedziała z lekkim uśmiechem, przychodzę błagać łaski.

— Łaski? a to dla kogo?

— Łaski dla biednej kobiety, która w tej chwili z krzykiem rozpaczy była u mnie, prosząc o litość nad jej mężem.

Twarz Doży zachmurzyła się.

— Zgaduję, rzekł ponuro, żona rybaka, który cię wczoraj obraził.

— Mnie obraził? powtórzyła Blanka. A cóż on uczynił?

— Ośmielił się spojrzeć na ciebie, mówić i prosić o pomoc.

— I to nazywasz pan obrazą? zawołała Blanka. Czyż biedny lud wenecki nie ma już prawa do swego panującego, lub żony jego odezwać się? czyż nie możesz być ojcem, a żona twoja matką poddanych potrzebujących pomocy?

Doża schwycił ją gwałtownie za ręce i spojrzał groźno w jej oczy.

— Czy jesteś moją małżonką? spytał ponuro.

— Noszę twoje nazwisko, odpowiedziała łagodnie.

— Gdzież jednak jest ta miłość, którąś pani winna małżonkowi?

— Panie, rzekła, odpowiadając spokojnem dumnem spojrzeniem jego wzrokowi, jeszcze przed ślubem oświadczyłam ci, że cię nie kocham.

Jeszcze silniej ścisnął jej ręce, a twarz jego zapaliła się gniewem.

— Powinnaś mnie kochać, krzyknął, mam prawo do twej miłości.

Blanka powstała ze sofy i wyrwała mu swe ręce.

— Miłości nie można gwałtem uzyskać, a na pański rozkaz nie mogę ci serca mego oddać. Wiesz pan że nie znam bojaźni, i że gniew pański jeszcze mnie więcej od pana odstręcza.

Nabrała uroczej piękności przy tej wzniosłej spokojności, dumnej pełnej powagi postaci. Contarini spostrzegł to, i gniew jego zamienił się w smętność.

— Prawda, rzekł łagodnie i prawie z prośbą, niesłusznie groziłem ci, jednakże mogłabyś pani choć cokolwiek mnie kochać; kocham cię tak gorąco, tak namiętnie...

Ona zwolna wstrząsła głową.

— Oszukujesz mnie panie. Nie kochasz mnie, bo gdybyś mnie kochał, nie miałbyś odwagi odmówić mej prośbie. Mężu, proszę cię o życie i wolność biednego rybaka.

— Nie mogę na to pozwolić! rzekł Doża gwałtownie. Ścierpieć nie mogę, ażeby taki niewolnik śmiał ci zaglądać w oczy, prośbami i błaganiem trudzić. Było potrzebnem dać przykład żebractwu Wenecyi, aby nie śmiało na przyszłość zbliżać się do ciebie. Żona Doży jest świętą, od której pospólstwo powinno być zdala. Samo spojrzenie na nią jest już obrazą.

— Więc mi pan odmawiasz ułaskawienia tego biednego człowieka? błagając rzekła Blanka.

Doża powtórnie przysunął się do niej i chwycił ją za rękę.

— Chcesz pani tego, zależy pani na tem? a więc słuchaj: jedno słowo, a człowiek za którym pani prosisz jest wolny.

— Jakież to słowo? wyrzekła prawie bez tchu.

— Wyznaj mi nazwisko tego, którego kochasz. Nazwij go a w tej chwili rybak jest wolny; nie uczynisz tego, to jeszcze tej godziny będzie na dnie Lagunów.

— Nigdy! krzykła z żywością. Żądaj odemnie czego tylko chcesz bym mogła ocalić życie człowieka, lecz tego nazwiska, którego żądasz nie dowiesz się!

— Ostatnie to słowo! krzyknął tupnąwszy wściekle nogą.

— Ostatnie, odpowiedziała spokojnie.

— Czy wiesz, że mogę cię zmusić, abyś mi to wyjawiła?

— Pan mnie zmusisz? odpowiedziała z pogardą, pan możesz mnie zamordować, ale nie zmusić, abym wyjawiła to czego nie chcę.

Doża wydał okrzyk wściekłości. Twarz jego pobladła, oczy zabłysły dzikością a ręce otoczyły jej ramiona, jakby żelazną obręczą.

— Ha! rzekł przez zęby, są jeszcze tortury, które zmusić cię mogą do mowy. Dotąd widziałaś we mnie jedynie łagodnego pana, strzeż się, żebyś nie ujrzała tyrana. Największa miłość zmienia się w nienawiść, jeżeli się z niej naigrawają, a wtedy z rozkoszą naigrawa się z cierpień, które zemsta wyszukać może. Nie znasz pani jeszcze wszystkich zakątków tego pałacu, jest tu również i komnata, przeznaczona na tortury! dodał zcicha, biada ci Signora, gdybyś miała kiedykolwiek wstąpić do niej.

— Czy pan tu rozkazujesz? odpowiedziała z dumą. Jeżeli tak, to użyj swej władzy, i każ mnie

zawledz do tej komnaty, zawołaj twoich katów, lecz. nic nie mów, bo i tak nie wymienię ci jego nazwiska.

— Musisz mi je wymienić, wykrzyknął z wściekłością.

— Nie uczynię tego — odpowiedziała dumnie. — A choćbym to uczyniła, czy się to panu przyda na co?

— Na co mi się to przyda? krzyknął pieniąc się od złości. Oto, zamorduję nędznika, który ośmielił się być kochankiem żony Doży!

— Widzisz pan, że cię znam dobrze, wiedziałam że go chcesz zamordować. O! gdybym była pana pierwej poznała, gdybym była przeniknąć mogła, że temu, którego kocham, może z tego powodu grozić niebezpieczeństwo, byłabym nigdy nie oddała panu ręki...

— Milcz nieszczęsna! krzyknął w największej wściekłości. Nie drażnij mnie więcej, źle jest szalonego zimną krwią jeszcze podburzać. Nie radzę tygrysa głodnego przyprowadzać do rozpaczy, okazując mu pożywienie i odciągając mu takowe.

— Słusznie porównywasz się pan z tygrysem, bo jesteś dzikim i srogim jak tygrys, wskazując na swe ramię, które ciągle trzymał ściśnięte. Patrz pan na moją rękę, a przekonasz się że już jesteśmy w komnacie tortur. Pańskie ręce tak ją ścisnęły, że prawie krew z nich wytryska.

Contarini przerażony puścił jej rękę i westchnął głośno, zoczywszy krwawe znamię.

— Przebaczenia! rzekł zcicha ze wstydem, przebaczenia! jesteś pani córą królewską. Blanko! litości! wymień mi nazwisko tego, którego kochasz.

— Nigdy w świecie! odrzekła dumnie.

W tej chwili nagle drzwi się otwarły i wszedł służący.

— Posłaniec od floty, zameldował.

Blanku zadrżała.

— Od floty, rzekła zcicha do siebie. Może będą wiadomości od niego!

Twarz Doży w jednej chwili przybrała swoją zwykłą poważną postać, i zwracając się do żony, rzekł spokojnie:

— Pozwól pani, abym w jej obecności wysłuchał posłańca.

— Pan sam masz tylko prawo tu rozkazywać, odpowiedziała z ukłonem. Czyń co ci się podaba.

Doża skinął ku drzwiom — służący wyszedł, aby wprowadzić osobę, którą oznajmił.

Wszedł oficer marynarki, zbliżył się do Doży i klęknął przed nim na jedno kolano.

— Chwała ci mój książe! a szczęście dla mnie, że pierwszy mogę ci donieść o naszem szczęściu. Kandyja jest naszą, Turcy odpędzeni!

— Kandyja w naszem ręku! krzyknął z radością Doża, opowiedz mi jak drogo zwycięztwo okupionem zostało, i ile naszych padło?

Wźrok badawczy Blanki i oczy z ciekawością wlepione w oficera, zdawały się pytać toż samo. Zbliżyła się ku Doży i z natężoną uwagą słuchała opowiadania.

— Nie tak wielu z naszych poległo, jednakże jest jeden między nimi, za którym wszyscy żałobę noszą, albowiem temu właśnie winniśmy nasze zwycięztwo. Wysoki, wspaniałej postaci młodzieniec, kapitan na okręcie admiralskim; stałem tuż przy nim kiedy się bój rozpoczął, on bohatersko posunął się naprzód, oczy mu się zaiskrzyły i krzyknął pełen natchnienia: „Bracia! do boju i zwycięztwa!“ Odwaga jego zagrzała wojsko. „Do boju! Do zwycięztwa!“ tysiące zabrzmiało odgłosów. Turek bronił się mężnie i odważnie, lecz my pohaczyliśmy ich okręta, i rzuciliśmy się na pokłady. Rozpacz nadała nieprzyjacielom sił olbrzymich, nam zaś pewność zwycięztwa. Po krótkim czasie na największym okręcie niewiernych, powiewała już chorągiew Wenecyi. Ów śmiały kapitan tam ją zatknął z wykrzykiem: „Niech żyje Wenecyja!“ Wykrzyk ten ożywił siły omdlałych wojowników. Nieprzyjaciel uległ, większa część jego okrętów została zdobytą, reszta zatopioną, kilka tylko zdołało umknąć na morze. My z radością wpłynęliśmy do portu, i jako zwycięzcy wstąpili na ziemię Kandyi.

— A z młodym bohaterem cóż się stało, zapytał Doża. Gdzież się znajduje? Czemuż go nie przysłano do mnie, ażeby z rąk moich otrzymał nagrodę zasłużoną?

— Mówiłem ci już książe, że poległ.

— Poległ! wykrzykła z przerażeniem Blanka.

— Wyniesiono go umierającego z okrętu, mówił dalej oficer, trzymał jeszcze w ręce sztandar Wenecyi tak silnie, że zdawało się, iż nawet po śmierci nikomu go oddać nie jest gotowym, albowiem zań krew swoją wylał. Przenieśliśmy go do domu gościnnego na wyspie i umieścili pomiędzy dobrymi ludźmi, aby starali się o pomoc i ratunek dla niego. Na drugi dzień popłynęły nasze okręta dalej, aby ścigać nieprzyjaciela, który udał się ku

Morei. Mnie zaś dostojny panie wysłał tutaj admirał twój Foscarini, abym cię o tym wypadku uwiadomił.

— I zaprawdę będę się starał wynagrodzić ten czyn tak, jak to na Dożę weneckiego przystoi, rzekł Contarini, podając rękę oficerowi, którą tenże z wielkiem uszanowaniem do swych ust przycisnął.

— Odejdź teraz na spoczynek, którego potrzebujesz. Później znowu cię przywołać każę.

Oficer oddał głęboki pokłon i udał się tyłem ku drzwiom. W chwili gdy prawie już ich doszedł, wystąpiła z żywością Blanka.

— Proszę pana jeszcze na słowo! jakże się zwał ów bohaterski młodzieniec, o którym opowiadałeś?

— Najłaskawsza Dożyni, nikt go nie znał i nikt nie znał jego nazwiska. Lecz na jego błękitnej srebrnemi gwiazdami zasłanej szarfie, było wyhaftowane imie, a jeżeli się nie mylę, imie to było...

— Ludwik? krzykła prawie bez tchu.

— Tak się zwał, Signora, odpowiedział oficer, pokłoniwszy się pełen uszanowania i opuszczając komnatę.

— Ludwik nie zyje! krzykła Blanka padając jakby gromem rażona na sofę. Nie mogę uwierzyć temu, to niepodobna! O! Boże! czemuż to słowo: Ludwik nie żyje! nie zabiło mnie odrazu.

Załamała ręce, strumienie łez rzuciły się z jej oczu na śmiertelnej bladości lica. Siedziała podobna do wizerunku największej rozpaczy. Doża zbliżył się do niej, pełen najgłębszego współczucia, kładąc łagodnie swą rękę na jej głowie.

— Uspokój się Blanko, rzekł łagodnie, ukryj twe łzy, Wenecyja nie powinna ich widzieć, bo jesteś małżonką Doży weneckiego, o my zostaliśmy zwycięzcami! Pokaż, że jesteś godną siostrą twego bohaterskiego brata.

— Mego brata! wykrzykła z boleścią. On nie był moim bratem! on był mi wszystkiem i z nim wszystko utraciłam, przyjaciela, brata, kochanka!

— Co pani mówisz! wrzasnął Doża, on nie był twoim bratem?

— Nie, teraz możesz pan już to wiedzieć, on nie był mi bratem. On to był, którego z całego serca kochałam, aby go zadowolić i uszczęśliwić, poświęciłam swe życie, zostałam pańską żoną. On chciał iść na wojnę, serce moje pękało prawie od żalu, a jednakże prosiłam pana o stopień kapitana dla niego i ofiarowałam w nagrodę za to panu swą rękę.

— On to więc był, któregoś kochała, on Ludwik! rzekł Doża jakby w marzeniu. Szczęście jego że nie żyje, bo inaczej byłby za to ukarany.

— Tak jest, jemu już jest dobrze, westchnęła Blanka, ale mnie biada że żyję, kiedy Ludwik nie żyje.

Twarz pokryła rękami i gorzko rozpłakała się. Doża nie bronił jej tego, lecz stojąc przed nią, spoglądał ponurym prawie litośnym wejrzeniem. Nagle płacz jej ucichł, spuściła ręce z twarzy, i zwolna podniosła się ze sofy. Łzy stały jej jeszcze w oczach, w których pomimo tego niebiańskie światło błyszczało. Usta jej drżały jeszcze od bólu, a jednakże promień natchnienia przesuwał się po jej licach.

— Signor Contarini, rzekła, przyrzekłeś mi poprzednio, że ułaskawisz biednego rybaka, jeżeli wyjawię ci nazwisko osoby, którą kocham. Wyjawiłam je. Ludwik był moją pierwszą, moją ostatnią miłością. Panie, racz teraz dotrzymać danego słowa, oddaj żonie jej męża, uwolnij rybaka.

— Uczynię to, rzekł Doża łagodnie. Ludwik nie żyje, za to oddaję ci życie tego, za którym prosiłaś.

Blanka wzniosła oczy przepełnione łzami ku niebu, a składając ręce jakby do modlitwy, szepnęła:

— O! Ludwiku, oto ofiara pośmiertna, którą ci daję. Ofiara pośmiertna mojej miłości!

IV.

Wyzdrowiał — śmierć która go już prawie owładnęła, zlitowała się może nad jego młodością, nad jego odwagą, opuściła jego łoże i przebaczyła mu.

Ludwik wyzdrowiał — od kilku już dni opuścił łoże boleści, i przeniósł się do altanki mirtowej, gdzie siedząc, z rozkoszą napawał się balsamiczną wonią, którą ciepłe powietrze napełnione było.

Tak siedząc i naokoło siebie spoglądając, gdy śledził wzrokiem lot ptaków, które podlatując z krzaków mirtowych i oliwnych, wznosiły się pod lazurowe niebo, lub wzrok swój ku morzu zwracał, które wspaniale i wszechwładnie przed nim się rozpościerało, i na krańcach widnokręgu modre swe wody z lazurem nieba łączyło; natenczas przejmowało go uczucie najwyższej wdzięczności ku Stwórcy, że mu dozwolił cieszyć się jeszcze tem życiem i podzielać jego przyjemności.

Wiele tygodni przepędził na łożu boleści, wiele doznał cierpień od dwóch ran, które w rękę i głowę otrzymał. Dzięki jednak troskliwemu staraniu

swoich szlachetnych gospodarzy, rany się zgoiły a cierpienia ustały. Nic go już więcej nie przytrzymywało w Kandyi i miał zamiar powrócić do Wenecyi okrętem na zajutrz oczekiwanym.

Na myśl tę, jakby promień różowej jutrzenki przesunął się po jego bladych licach, i z uśmiechem ukontentowania wyrzekł:

— Ujrzę znów Blankę, czyż płacze ona za mną? lub czyli mnie zapomniała może w objęciach dumnego małżonka?

Ręka spoczęła na jego ramieniu i łagodny głos dał się słyszeć:

— Z kimże rozmawiasz mój synu?

Ludwik odwrócił się z uśmiechem ku starcowi, który niespostrzeżony wyszedł z domu i słyszał ostatnie jego słowa.

— Rozmawiałem z moją przeszłością i z moją przyszłością ojcze, wyrzekł, myślałem o siostrze pozostawionej w Wenecyi i pytałem się sam siebie, czy przyjmie powracającego napowrót z tą samą miłością, z jaką pożegnała odjeżdżającego. O! ojcze, cóż to za piękny będzie dzień, w którym noga moja znowu na ziemię Wenecką wstąpi, a że doczekam się dnia tego, to jedynie winien jestem tobie, bo tobie jedynie podziękować mogę że żyję.

Starzec potrząsł łagodnie głową. Jego niebieskie oko spoczywało z miłością na pięknem obliczu młodzieńca, a na jego wązkich delikatnych ustach igrał łagodny życzliwy uśmiech.

— Nic mi nie jesteś winien mój synu, odpowiewiedział, ja nic więcej dla ciebie uczynić nie mogłem, jak tylko modlić się za ciebie; winieneś swe życie przedewszystkiem Bogu a potem tej, która cię pielęgnowała.

— Masz słuszność, rzekł Ludwik, ona czuwała nad mojem łożem na kształt Anioła litości; jednakże od czasu kiedy już nie jestem zmuszony pilnować izby, nie widziałem jej więcej. Dla czegóż unika mnie? dla czego oddala się teraz odemnie?

— Mój synu, rzekł smutno starzec, biedna Lidia jest znowu cierpiącą.

— Cierpiącą? zapytał Ludwik. Chorą? O! to puszczaj mnie do niej, abym ją mógł tak pielęgnować, jak ona to względem mnie czyniła.

Chciał się podnieść z siedzenia, lecz starzec łagodnie posadził go napowrót.

— Nie może cię przyjąć mój synu, rzekł zcicha, cierpi na melancholią, a wówczas unika towarzystwa ludzi. Jestto dawne głęboko zakorzenione cierpienie, napada ją wówczas, kiedy tak jak ty mówi ze swoją przeszłością, jedynie tylko biedaczka nie może rozmawiać ze swoją przyszłością, bo nie ma przyszłości, bo nie ma nadziei prócz w śmierci.

— Ona jest nieszczęśliwą? zapytał z uczuciem Ludwik.

— Istotnie ona jest nieszczęśliwą, a przeszłość jej pokrywa kirem żałoby jej teraźniejszość i przyszłość.

— Opowiedz mi jej nieszczęście, prosił łagodnie Ludwik, i powiedz mi co ją tak zasmuca. Wierzaj mi że nie czynię tego z próżnej ciekawości. Sam powiedziałeś, że po Bogu jej tylko życie zawdzięczam. Ona po całych nocach czuwała przy łożu mojem boleści, pielęgnowała mnie jak matka, przeto też naturalną jest rzeczą, że muszę podzielać jej boleść. Powiedz mi co jej brakuje, może znajdę sposób pocieszenia jej.

— Smutna to powieść, westchnął starzec, lecz abyś wiedział synu ile ci ufam, opowiem ci takową.

Westchnął głęboko a jego łagodne oczy wzniosły się nabożnie ku niebu.

— Zrządzenia Boże są niezbadane, rzekł zcicha do siebie, musimy się im poddać, niepytając o przyczynę. Bóg zdaje się częstokroć obsypywać złych swemi dary a cnotliwym daje uczuć swój gniew. Tak się też stało z biedną Lidią, opowiem ci teraz wszystko.

Usiadł na ławce obok Ludwika, podał młodzieńcowi swą rękę, którą tenże czule uścisnął.

— Jużem ci mówił, począł opowieść, że nie zawsze tu zostawałem, lecz że rodem jestem z Lombardyi. W małej wiosce, obok Padwy, byłem proboszczem i żyłem tamże spokojnie i cicho wpośród mojej małej gminy, jedynie dla moich kwiatów i książek. Świat zewnętrzny nic mnie nie obchodził. Jedynem mojem szczęściem była myśl o Bogu i podziwianie Go w Jego dziełach, przyrodzie i ludziach. Wtem jednego razu poźno już pośród jasnej nocy letniej, gdym siedział na progu mego mieszkania i badałem błyszczące gwiazdy, nadjeżdża pojazd i zatrzymuje się przed domem. Dwóch panów i dama wysiadają i zbliżają się do mnie. „Jesteś pan księdzem?“ zapytał jeden z nich, a gdym to stwierdził rzekł dalej: „Musisz nas natychmiast poprowadzić do kościoła.“ A to z jakiego powodu? zapytałem. „Aby nas poślubić,“ otrzymałem za odpowiedź. Stałem niezdecydowany i niewiedziałam co mam czynić. Wówczas dama chwyciła mnie za rękę, i rzekła głosem anielskim: „Proszę pana uczyń to

czego od ciebie żąda, a ja codziennie będę za ciebie Boga błagała.“

— I to jest ta kobieta, która mnie pielęgnowała? przerwał Ludwik.

— Tak jest była to ona, rzekł zcicha proboszcz, potrząsając głową. Ale słuchaj dalej: Spojrzała na mnie tak błagalnie i sam tego nie pojmuję, czyli jej miły głosik, czy też wyraz przestrachu i miłości malujący się na jej obliczu, były powodem że nie miałem odwagi oprzeć się jej prośbie; poprowadziłem ich do kościoła — było ciemno i tylko wieczna lampa tliła się przed ołtarzem a księżyc w pełni będący, rzucał swe światło przez sklepione okna kościelne. Chciałem zaświecić świece ołtarzowe, lecz wyższy z dwóch mężczyzn wydajacy się oczywiście oblubieńcem powstrzymał mnie: „Nie potrzeba tego — rzekł głosem rozkazującym — wysłuchamy cię i bez światła.“ A więc chodźcie za mną! rzekłem. W milczeniu przeszliśmy wspaniały kościół i przy migającem się świetle lampy, przystąpiłem do ołtarza. Wysoki mężczyzna ujął rękę dziewicy, ukląkł z nią na stopniach i kilkoma tylko z głębi serca mi wypływającemi słowami, połączyłem ich wiecznym węzłem małżeństwa. Skoro oboje uroczyste „chcę“ wymówili i obrządek się zakończył, młoda kobieta z głośnem łkaniem rzuciła się na łono mężczyzny. „Teraz już całą istotą do ciebie należę! wykrzykła. Teraz wolno mi jest już kochać cię na wieki!“ W tej chwili blask lampy oświecił jej twarz i odkrył mi najpiękniejsze oblicze jakie tylko kiedykolwiek widziałem tak pełne niewinności, miłości, wzruszenia i szczęścia, że ja sam stanąłem jak oczarowany i byłbym chciał wiecznie w to anielskie oblicze wpatrywać się. Odwrócili się do mnie aby mi podziękować. Mężczyna uczynił to z arystokratyczną grzecznością, ona z głębokiem uczuciem i w słowach z głębi serca pochodzących. Towarzyszyłem im z kościoła do pojazdu, który szybko z niemi odjechał.

— Na Boga! rzekł Ludwik, który słuchał z natężeniem, szczególne zdarzenie!

— Prawda że szczególne, odpowiedział proboszcz. Dla tego też długo było mi w pamięci, a często we śnie widziałem oblicze owej pięknej kobiety przed sobą, którą raz tylko w życiu spotkałem a jednakże zapomnieć nie mogłem. Rok od tej chwili upłynął. Wtem pewnego dnia drzwi do mojej stancyi gwałtownie otwarły się i wpada kobieta. „Gdzież on jest? Gdzie się znajduje? wykrzyknęła głośno, spojrzała dziko wokoło siebie i padła bez zmysłów.

— Czy to była ona? zapytał Ludwik.

Proboszcz zamilkł na chwilkę. W oczach jego ku niebu wzniesionych stanęły wielkie łzy.

— Raz tylko widziałem ją, rzekł zcicha, lecz poznałem ją uczuciem serca i cieszyłem się, że znów tu była. Umieściłem ją na łożu, tarłem jej ciemię silnemi esencyjami i przecie otworzyła oczy. „Gdzież on jest? Gdzie jest?“ było znów pierwszem jej pytaniem; powtarzała takowe bez ustanku, nic więcej prócz tych słów nie mówiąc. Była obłąkaną. Czasem jednakże na chwilę przychodziła do poznania a wówczas opowiedziała mi całe swoje nieszczęście. Mąż ją opuścił a nikt jej nie mógł dać o nim wiadomości.

— On ją opuścił, powtórzył Ludwik, opuścił ją po poślubieniu?

— Bez błogosławieństwa kościoła nie chciała do niego należeć i opierała się jego namiętności. Cały rok prawie żył z nią na wsi w cichem ustroniu. Jednego poranku kiedy przebudziła się, już się oddalił bez pozostawienia jej wiadomości o sobie, ani też pożegnania. Szukała go po wszystkich miejscach i dla tego też przyszła i do mnie. Zdaje mi się że Bóg ją sprowadził, abym ją mógł w ciężkiej chorobie którą była dotknięta pielęgnować. Uczyniłem to troskliwie, będąc ciągle przejęty uczuciem winy, jakobym był przyczyną jej nieszczęścia a ztąd że obowiązany byłem okupić moją lekkomyślność troskliwem staraniem o jej zdrowie. Była to ciężka i długa choroba, a skoro wyzdrowiała, tak czuła się osłabioną i bezsilną, że nie mogła nawet pomyśleć o opuszczeniu mojego mieszkania, ztąd też i nadal pozostała ze mną.

— Dla czegóż jednakże opuściłeś ojczyznę? zapytał Ludwik.

— Lekarze orzekli, że zmiana miejsca i powietrza skuteczny wpływ na jej umysł wywrze. Z tej przyczyny podziękowałem za probostwo, i sprzedałem moje szczupłe mienie i przeniosłem się tu do Kandyi, gdzie osiadło dwóch braci mojego ojca.

— Jesteś szlachetnym Mężem! zawołał Ludwik, przycisnąwszy pełen uszanowania rękę starca do ust.

— Zrobiłem tylko moją powinność, odpowiedział łagodnie proboszcz. Bóg mi ją zesłał, chciał abym był dla niej wiernym bratem i przyjacielem. W ten sposób prawie dwadzieścia lat w cichem ustroniu tu przeżyliśmy, i dzięki Bogu pomięszanie zmysłów niemal opuściło biedną moję Lidią. Wprawdzie

jest ciągle smutną a chwilowo jeźli gwałtownie jest wzruszoną, umysł jej zachmurza się. W przeciwnym razie po całych tygodniach a nawet miesiącach jest przy zdrowym rozsądku, a wówczas jest to rozrzewniającem patrzeć na nią jak usiłuje być wesołą i rozmowną. Przybycie twoje tutaj było dla nas zjawiskiem w naszem cichem schronieniu i uczyniło głębokie na Lidii wrażenie. Kiedy cię pierwszy raz spostrzegła, głośno wykrzykła, następnie zalała się łzami i milczała na wszystkie moje pytania. Z niezmordowaną pilnością czuwała przy twojem łożu i sama sobie nie dozwalała spoczynku. Patrzałem na nią często kiedy spałeś a kiedy sądziła że i ja usnąłem, widziałem naówczas jak pilnowała cię badawczo a potem zcicha płakała i łkała — lecz cicho nadchodzi!

Blada kobieta przybrana w długie czarne suknie, mając głowę czarnym welonem pod brodę spiętym pokrytą, co nadawało jej pozór zakonnicy, właśnie co tylko weszła do ogrodu. Jej wielkie czarne oczy miały wyraz tęsknoty, głębokie zmartwienie malowało się w szlachetnych jej rysach, lecz skoro tylko wźrok jej padł na Ludwika, zaraz łagodny uśmiech zabłysnął na jej ustach.

— Jak się masz mój biedny pacyjencie? zapytała podając mu swą wązką wychudłą rękę.

Przycisnął ją czule do ust.

— O! zawołał, już nie jestem więcej chorym, a pani mam do podziękowania że wyzdrowiałem.

Zwolna potrząsła głową.

— Tylko śmierć jest zdolna przywrócić nam zdrowie, rzekła. Co tylko żyje choruje i tylko śmierć przynosi nam wyzdrowienie.

Stary proboszcz zbliżył się do niej, spoglądając pełen uczucia i położył jej lekko rękę na ramieniu.

— Nie smuć się tak Lidio, prosił zcicha, wiesz dobrze że smutek twój również i mnie się udziela

Wzdrygła się i ręką chwyciła się za czoło..

— Masz słuszność, szepnęła, bądźmy weseli, śmiejmy się, gdybym tylko śmiać się mogła, rzekła ponuro, kiedyś mogłam to uczynić, teraz jednak już mi się to nie udaje, przyczyną tego jest że serce moje spoważniało, a gdy serce się nie śmieje, to tego i usta uczynić nie są wstanie.

— Prypatrz mi się pani, rzekł Ludwik błagając, a będziesz się radować, bo wiesz, że wszystko tobie tylko mam do podziękowania. Uszczęśliwiać cię powinno wewnętrzne przekonanie, że jest na ziemi człowiek, który ci życie i swoje szczęście jest dłużen. Ach! tak mi brakuje wyrazów, że jedynem byłoby mojem życzeniem, aby tu była Blanka i mogła ci w miejscu mojem podziękować.

— Czy Blanka jest twoją siostrą? zapytała Lidia.

— Jest siostrą mojego serca, chociaż nie krwi. Blanka jest mi całą rodziną, bo nie mam ani ojca, ani matki, nikogo prócz niej nie posiadam.

— Ani ojca ani matki! Biedna sieroto! westchnęła Lidia.

Patrzała długo i z politowaniem w oblicze, a łzy zabłysły w jej oczach. Nagle cała jej postać zmieniła się, dreszcz przeszedł po niej, oczy rozwarły się szeroko i patrzały nieruchomo w widnokrąg.

— Sierota! wykrzykła z boleścią. I moje dziecię jest sierotą. Gdzież ono się znajduje? któż mi skradł moje dziecię? wołała z krzykiem. Tak pięknie spało. O! Boże! położyłam je pod tamtem drzewem. Gdzież jest moje dziecię? Zginęło, zginęło, skradziono mi je!

Z głośnym wrzaskiem i wpośród silnego drgania ciała padła na ziemię. Pierś jej wznosiła się z bolesnym jękiem, poczem oczy jej się zawarły a oddech zdawało się że ustał.

Starzec nachylił się ku niej, podnosząc łagodnie rękami jej głowę.

— Teraz kurcze ustąpiły, a gdy oczy otworzy, o niczem pamiętać już nie będzie.

Ludwik ukląkł przy niej i przypatrywał się bez tchu pełen współczucia.

— Powiedz mi, rzekł żywo, czy miała kiedy jakie dziecię?

— Tak jest miała syna, odpowiedział proboszcz, wyjmując z kieszeni flaszeczkę i wylewając z niej kilka kropel na ciemię Lidii. Gdy wówczas, ciągnął dalej starzec, przed dwudziestu laty przez mąża opuszczoną została, uciekła i wzięła ze sobą syna. Strudzona długą wędrówką, spoczęła w lesie i położyła spokojnie śpiące dziecię pod drzewem i poszła głębiej w las dla wyszukania owoców. Co raz to dalej zapuszczała się w zarośla, a powróciwszy po kilku godzinach nieopisanej trwogi, spostrzegła że dziecię jej zniknęło.

— Stało się to w pobliżu Padwy? zapytał Ludwik prawie bez tchu.

A gdy starzec to stwierdził, Ludwik objął z radosnym wykrzykiem swemi rękami szyję Lidii, która właśnie co tylko poczęła przychodzić do zmysłów i zamknął jej usta pocałunkami.

— Matko! moja matko! zawołał, zbudź się byś

mogła ujrzeć swego syna. Zbudź się by pozdrowić swe dziecię. Ach! nie patrz na mnie tak milcząco, nie potrząsaj z powątpiewaniem głową. Ja mówię szczerą prawdę ja jestem twojem dziecięciem.

Lidia zwolna się podniosła, a przytrzymując ręce Ludwika, oczy swojemi spoglądała mu w oczy z czułością.

— Wiem dobrze, szepnęła, o! jestem o tem przekonaną że to tylko jest złudzenie, lecz złudzenie tak słodkie. To są jego oczy!.. ach! nie ruszaj się, pozwól mi wycałować te oczy, tak chętnie mu je całowałam. To są jego usta, tak się do mnie uśmiechał, teraz jednak już nigdy się do mnie nie uśmiecha.

— Ja to jednak czynię, zawołał Ludwik z czułością, ja uśmiecham się do ciebie moja Matko.

— Matko? zapytała z trwogą, któż mnie tu zowie matką?

— Ja, zawołał głośno, ja twój syn. Pod tem drzewem w lesie obok Padwy, gdzieś mnie złożyła, znalazła mnie matka Blanki przejeżdżając tamtędy. Nie widząc nikogo ktoby dawał pozór na dziecię, sądziła że jaka nieszczęśliwa kobieta porzuciła je tamże, wzięła mnie ze sobą i wychowała jak własnego syna.

— Czyż ja marzę? jakież to znowu szaleństwo? pytała przyciskając ręce do skroni.

Ludwik wyjął z kieszeni pugilares, a następnie z jednej tegoż kryjówek medalijon na łańcuszku, i podał takowy Lidii.

— Spojrzyj na to, rzekł, z tym medalijonem znalazła mnie matka Blanki, a ja zawsze takowy jako jedyną spuściznę po rodzicach przy sobie nosiłem.

Lidia spojrzała na medalijon, a okrzyk zachwytu wydarł się jej ustom, twarz cała rozjaśniła się.

— To moja własność! krzyknęła z radością, zawiesiłam go na szyi mojemu dziecięciu. O! Boże! miałożby to być tylko snem, natenczas proszę Cię dozwól mi, abym się nigdy z niego nieprzebudziła.

— Nie marzysz, żyjesz! zawołał Ludwik obejmując ją czule. Syn twój jest przy tobie, przy tobie moja matko!

— Powtórz to jeszcze raz, szepnęła patrząc na niego w uniesieniu. Jeszcze raz nazwij mnie matką, tak długo tęskniłam za tem, aby usłyszeć tak miły wyraz.

— Matko! moja matko! powtórzył czule.

— Mój synu! zawołała z wybuchem radości. Znalazłam moje dziecię. Otóż to, to było co mnie z cudownem przeczuciem pociągło ku tobie, co dodawało mi siły, aby cię pielęgnować. Matka sercem poznała swe gorąco upragnione dziecię.

— A ja nie jestem już więcej sierotą, zawołał Ludwik. Pobiegł do proboszcza, który ze złożonemi rękami w nabożnem rozczuleniu obojgu się przypatrywał. Mój drogi ojcze, zawołał, ściskając go czule, tobie mam do podziękowania, że znalazłem matkę.

Starzec przycisnął go silnie do serca.

— Tobie to mój synu, rzekł, mam do podziękowania najpiękniejszą godzinę mojego życia.

Lidia osłabiona i bezsilna padła na ławkę. Oczy które teraz błyszczały na kształt gwiazd, utkwiła w syna; naraz z wyrazem nieopisanego uniesienia wyciągnęła ku niemu ramiona.

— Mój synu, zawołała, przystąp do mnie uściskaj matkę!

V.

Od chwili owej przerażającej wieści, nieopuściła Blanka jeszcze swoich pokoi, sam nawet Doża musiał na tem poprzestać, jeżeli mu raz w jakiś czas pozwoliła wstępu do siebie. Chciała być samotną, zupełnie samotną, jedynie tylko w towarzystwie swego zmartwienia; prócz Róży jej przyjaciołki, nikomu nie wolno było patrzeć na jej łzy i słuchać jej westchnień.

Napróżno starała się Róża pocieszać ją, wzniecić w niej współczucie do innych przedmiotów. Żona Doży wszystko od siebie odrzucała, na nic nie odpowiadała, chyba jedynie wówczas, jeżeli Róża o przeszłości i o Ludwiku mówiła.

I dzisiaj długo rozmawiały o tych pięknych czasach, które minęły. Coraz to bledsze stawały się jej lica, coraz smutniejszem wejrzenie.

Róża spoglądała na nią z wyrazem głębokiego współczucia.

— Blanko, rzekła do niej, miejże litość nad sobą, szanuj się z przyjaźni ku mnie, jak dalej tak będziesz postępowała to się zabijesz.

— Czyż możesz sobie życzyć, abym tak dłużej żyła, zapytała zcicha, żebym żyła bez niego?

— Przecież byłaś z nim rozdzieloną. Niewidziałaś go nigdy.

— Nie, odpowiedziała, poruszając lekko głową, nie byłam z nim rozłączoną. On żył w mojem sercu, w mej duszy, pomimo wszelkiego oddalenia byłam ciągle przy nim. Powietrze, które na mnie wiało,

może szło ztamtąd, gdzie on przebywał, wspólnie oddychaliśmy takowem. Stojąc wieczorem w oknie i patrząc się na gwiazdy, myślałam o nim w tej nadziei, że i on to czyni i że nasze spojrzenia tam się spotykają. Naówczas czułam się uszczęśliwioną, widziałam go przed sobą i marzyłam że jestem przy jego boku.

— Sądź przeto że jeszcze żyje, rzekła Róża.

— O! gdybym to mogła uczynić, byłabym szczęśliwą. Wiem jednak i czuję to, że umarł. Ach! to rzecz okropna, Różo, wiedzieć o tem i jeszcze na tej ziemi przebywać. Wszystko chętnie bez szemrania mogłabym znosić, gdyby on tylko przy życiu zostawał; lecz wiedzieć że wszystkie moje cierpienia są bez celu, wszystko co znoszę nadaremne, jest to niewymowną katuszą, jest to...

W tej chwili drzwi nagle się roztwarły, młodzieniec wpadł do pokoju, a rozłożywszy ręce zawołał z radością:

— Blanko! moja Blanko!

Ona porwała się z krzykiem. Spojrzała na niego w osłupieniu, z początku z przestrachem, następnie z nadzieją rozbudzającą się, w końcu pobiegła ku niemu i objęła go silnie swemi ramiony. Spoczywali obok siebie serce przy sercu w roskoszy spotkania się z sobą. Co wówczas mówili z sobą, o co skarżyła się przed nim pod względem swej niespokojności o niego, jak na siebie patrzyli pełni radości i miłości, o tem sami nic nie wiedzieli. Raj miłości po raz ostatni roztwarł im swoje podwoje i z zachwyceniem używali tej chwili, o której wiedzieli że będzie ostatnią.

Róża przebudziła ich z tych rajskich marzeń. Podczas gdy Ludwik opowiadał Blance o nadprzyrodzonym wypadku przez jaki znalazł swą matkę, podczas gdy Blanka z całem natężeniem go słuchała, pilnowała Róża drzwi wchodowych, a niespokojna obawa malowała się w jej rysach. Naraz zdawało się jej że posłyszała szelest i roztworzyła nieco drzwi w cichości, lecz również szybko je przymkła i krokiem dosłyszeć się niedającym, pobiegła po dywanie, zbliżyła się do Blanki, która w słodkiem zapomnieniu o niczem więcej nie wiedziała, ani też myślała, jak tylko że Ludwik znajduje się przy niej.

— Blanko, szepnęła jej Róża do ucha, żołnierze stoją po korytarzach. Wyjście obsadzone.

Blanka wydała okrzyk przerażenia i porwała się z siedzenia.

— Ty sądzisz, rzekła zcicha, że Doża wie iż tu się znajduje Ludwik?

Róża dała głową znak potwierdzający.

— Wiesz dobrze, iż on o wszystkiem się dowie, co się tu w pałacu dzieje.

— Mój Boże! Wielki Boże! szepnęła Blanka, on jest zgubiony!

Ludwik patrzał na nią z uśmiechem.

— Cóż ci to Blanko? zapytał. Dla czegóż na raz jeden tak pośmutniałaś?

— To nic! to nic! rzekła szybko. Lecz wiesz co Ludwiku, mój mąż cię nie zna a jest zazdrosny, toby go rozgniewało, gdyby cię zastał u mnie.

— Jakto Blanko? zapytał Ludwik zdziwiony, boisz się przed swoim małżonkiem? Powiedz mu tylko kto jestem, skoro tu przyjdzie.

— Nie lepiej będzie że się ukryjesz?

— Ja miałbym się ukrywać, zawołał z gniewem Ludwik, nie, to jest tylko żart z twej strony.

Róża znowu ku drzwiom pobiegła i słuchała pilnie. Naraz skoczyła jak przestraszona tygrysica do Blanki, mówiąc prawie bez tchu:

— Słyszałam odgłos kroków, ktoś mówił że żołnierzami.

— To Doża! wyrzekła Blanka z przestrachem, i w największej rozpaczy ze złożonemi do prośby rękami rzuciła się przed Ludwikiem na kolana. — Ludwiku! jeżeli tylko kiedykolwiek mnie kochałeś, to posłuchaj mnie. Odejdź, idź za Różą, zrób to dla twej matki... miej litość oddal się!

— Lecz cóż to wszystko znaczy? spytał Ludwik przerażony. Co?

— Nie pytaj się teraz o nic, przerwała mu Róża, wszystko ci opowiem. Chodź za mną, idzie tu o twoje i o życie Blanki!

Pociągnęła go gwałtem ku małem drzwiczkom w rogu pokoju będącym — wsunęła go tam mimo jego woli, poszła za nim i zamknęła drzwi za sobą.

Co tylko to się stało, roztwarły się główne drzwi wchodowe i wszedł Doża.

Blanka szybko powstała i padła bezsilna na krzesło. Siedziała ze złożonemi do modlitwy rękami, zwiesiwszy głowę na piersi, a modlitwa obawy i rozpaczy kryła się w jej sercu.

Doża pozostał chwilę przy drzwiach, a z wyrazem srogości tygrysiej, który śledzi swą zdobycz, oczy jego błądziły po komnacie. Następnie przeszedł wolnym krokiem komnatę, przystąpił do żony, która na jego widok wzdrygnęła się.

— Gdzie jest Ludwik? zapytał spokojnie i ozięble. Blanka zadrżała, lecz nie odpowiedziała ani słowa. Doża powtórzył pytanie zcicha, poczem odpowiedziała głosem, który zaledwo dosłyszeć można było:

— Ja tego nie wiem.

— Pani tego nie wiesz? wybuchnął Contarini, pani nie wiesz tego a jednakże przed pięciu minutami był jeszcze tutaj u ciebie.

— Tak jest, rzekła przestraszona, był tutaj lecz zaraz odszedł.

Doża zaśmiał się drwiąco.

— Czy pani wiesz o tem że ja wszędzie mam swoich szpiegów, i że nic się nie dzieje w pałacu Doży, coby było ukryte przedemną? Mówię ci pani, Ludwik jest tutaj. Wszystkie bramy pałacu są zamknięte, a prócz tego zewnątrz otoczony jest wojskiem — wszelkie usiłowania ucieczki z jego strony czynione, będą hasłem śmierci Panu Ludwikowi.

— Wszechmocny Boże! szepnęła zcicha do siebie, on jest zgubiony!

Contarini patrzał na nią z wyrazem złośliwego naigrawania się.

— Cóż teraz Signora? zapytał, wstańże nareszcie, spojrzyj na mnie z tym lodowatym uśmiechem, jaki mi niegdyś okazywałaś, powtórz mi przecie: „Ja cię nie kocham, i tylko aby mu dopomódz do spełnienia życzeń, zostałam twoją żoną.“

— Ach! jakżeś pan okrutny, westchnęła Blanka.

— Czyż nie byłaś i pani okrutną? zapytał szyderczo, jakże często błagałem cię abyś wyrzekła to jedno słóweczko: „kocham cię.“ Ale ty patrzałaś na mnie zimno i ciągle mówiłaś: „Nie mogę tego wyrzec boby to było kłamstwem.“

— Teraz jednak powiem ci to już z pewnością, wznosząc do niego błagalne dłonie, przysięgnij mi że oszczędzisz Ludwika, a ja uczynię to czego tylko żądasz.

Rozśmiał się głośno.

— Teraz ci je powiem — patrzcie jak dziwne są serca ludzkie — teraz nie chcę już więcej tego słuchać. Ja chcę jego tylko, tylko Ludwika. Tu go nie ma, może go znajdę tam.

Wskazał ręką na małe boczne drzwiczki i szybko się ku nim zbliżył.

Lecz jeszcze szybciej uprzedziła go Blanka, chwyciła go za ramię i przytrzymała.

— Tam go nie ma! zaprawdę tam go nie ma! To moja sypialnia Signor!

Doża patrzał na nią wzrokiem przeszywającym.

— Pani znasz przecie prawa weneckie? zapytał, kara śmierci zagrożona temu mężczyźnie, który stąpi nogą do sypialni żony Doży. Chciałbym się przekonać, czy tam nie ma Ludwika.

Znowu parę kroków naprzód postąpił, lecz Blanka zaskoczyła mu drogę i padła przed drzwiami na kolana.

„Nie! — zawołała — nie pójdziesz tam. Posłuchaj mnie tylko Signor. Tylekroć razy prosiłeś mnie o spojrzenie, o uścisk ręki, podej mi rękę chcę ją uściskać. Tylekroć razy błagałeś mnie, abym wyrzekła: „kocham cię,“ teraz już będę to mówiła, będę ciągle powtarzała, jeżeli tylko oszczędzisz Ludwika.

— Teraz już zapóźno! rzekł Doża szorstko. Ludwik jest tutaj a ja chcę się pomścić.

— Miej litość! błagała, sroższym jesteś od zwierza pustyni. Lwa można ugłaskać łzami, ty widzisz moje łzy, moją boleść a pozostajesz surowym i zakamieniałym!

— A czyż i ja nie płakałem? zapytał Doża ze złością, czyż nie błagałem cię po całych dniach, po całych tygodniach a to zawsze nadaremnie?

— Ach! zawołała wznosząc ku niemu błagalnie złożone dłonie, to było zupełnie co innego. Żądałeś abym ci wyjawiła jego nazwisko, a tego uczynić nie mogłam, bo wiedziałam że go zamordujesz. Ty jednak Signor, możesz wysłuchać moje błaganie. Cóż on zawinił? Całem jego przestępstwem było, że ja go kochałam i nigdy zapomnieć nie mogłam. Przyrzekam ci że go nigdy oglądać nie będę, będę chciała również aby nie myśleć więcej o nim. Czy dozwolisz mu naówczas odejść bez przeszkody?

— Prosisz nadaremnie! krzyknął Doża. Ustąp ode drzwi!

— Nie! — zawołała — podnosząc się i stawając z rozłożonemi rękami przed drzwiami. Pierwej mnie zamorduj!

Wydał okrzyk wściekłości i chwycił gwałtownie Blankę za rękę, aby ją od drzwi odciągnąć.

Przestrach i rozpacz nadały Blance olbrzymich sił. Szamotała się z nim — nie chciała kroku ustąpić. Naraz jednak wydała okrzyk przerażający. Drzwi za nią będące roztwarły się, i ukazał się Ludwik.

— Szukasz mnie książe, przekł spokojnie, otóż jestem.

— Umieram! umieram! jęknęła Blanka padając na krzesło.

Doża w milczeniu przeszedł komnatę i otworzył drzwi główne.

— Straż niechaj wejdzie! zawołał rozkazująco.

Natychmiast weszło czterech żołnierzy z oficerem na czele.

— Aresztujcie zdrajcę! rozkazał Doża, skazując na Ludwika. Znalazłem go w sypialni mojej żony. Zasłużył na śmierć. Odprowadzić go!

Blanka wydała okrzyk boleści. Podniosła się, poskoczyła ku Ludwikowi i objęła go rękami.

— Ach! Ludwiku, mój bracie!

On łagodnie odsunął ją od siebie.

— Cicho Blanko, szepnął po cichu, cicho, wiem wszystko, Róża powiedziała mi wszystko. Nie płacz bądź mężną, tak jak nią byłaś dotąd.

— O! mój najukochańszy! szepnęła, on cię zabije!

— Precz z nim! rozkazał Doża.

— Bądź zdrową Blanko! zawołał Ludwik, wyrywając się jej łagodnie i idąc do straży, która się do niego zbliżyła. Z wyniosłością opuścił komnatę otoczony żołnierzami.

Doża odwrócił się do Blanki i pokłonił się jej z szyderczym uśmiechem.

— Signora, rzekł, potrzebujesz spoczynku aby przyjść do siebie, przeto odchodzę.

Ona nie rzekła ani słowa. Patrzała za nim gdy szedł przez pokój, gdy zamykały się drzwi za nim i ciągle siedziała nieruchoma, jakby odurzona okropnym ciosem, który ją spotkał.

Naraz coś obok niej odezwało się zcicha:

— Nie trać nadziei, musimy znaleść sposób ratowania go.

Blanka przestraszyła się i odwróciła. Była to Róża jedyna jej powiernica, jedyna jej pocieszycielka.

— Tak jest, zawołała Blanka, odzyskując siły. Tak, muszę go ratować. Życie moje oddam, aby tylko był ocalony!

VI.

Dwa dni upłynęły od tego czasu, dwa dni cierpień i straconej nadziei dla Blanki. Odważyła się na ostateczność, aby tylko ocalić Ludwika. Udało jej się przekupić straże, dostać dla siebie i dla niego przebranie, drogę do ucieczki oczyścić. Gondola stała przygotowaną w małym kanale pod mostem dei Sospiri, a Róża przebrana za gondoliera, czekała w niej na nich. Przez małe żelazne drzwiczki u spodu więzień umieszczone, przyrzekł dozorca więzienia wypuścić ich oboje, wprowadziwszy poprzednio osobiście Blankę do celi Ludwika, aby go ztamtąd uwolnić. Wszystko dobrze rozważyła i wyrachowała, lecz o jednem tylko zapomniała, to jest o szpiegach swego małżonka, i o to jedno rozbił się cały jej plan. Bez przeszkody doszła do więzienia Ludwika, ale gdy chciała z Ludwikiem opuścić takowe, zastała za drzwiami swego małżonka, który chwycił ją silnie za ramie, gdy tymczasem żołnierze stanęli przed drzwiami i wzbronili wyjścia Ludwikowi. Na ten widok padła Blanka bez przytomności a Doża na swych rękach zaniósł ją do jej pokoi. Następnie opuścił ją i udał się do swojego gabinetu pałając gorącą zemstą, ze stałem postanowieniem ukarania tak bezprzykładnej zbrodni, i tak Blankę jako też i jej kochanka potępić i zgubić. Miał do tego moc, Rada Trzech dała mu na to upoważnienie. Wynagradzać, ułaskawiać przechodziło władzę Doży, lecz karać i mścić się złych czynów, chętnie pozwalała mu Rzeczpospolita.

Wolno mu było mścić się i żądał tego. Komnatę żony otoczył strażami. Była ona uwięzioną i jedynie tylko przyjaciołka jej Róża uzyskała łaskę pozostawania przy niej. Tej jeszcze nocy wszystko miało się rozstrzygnąć, a ze wschodem słońca nad dumną Wenecyją, miało dwóch zbrodniarzy karę otrzymać, a to jedynie dla tej strasznej zbrodni, że się wzajemnie pokochali; tylko Laguny miały wiedzieć, gdzie spoczywają ich ciała.

Wszystko już było przygotowane. Wszystko przyrządzone. Godzina rozstrzygająca nadeszła. Doża trzy razy uderzył o srebrny dzwonek, a za trzeciem uderzeniem otworzyły się skryte drzwi i wszedł przez nie jego zakwefiony służący o czarnej larwie.

— Czy trucizna przygotowana? zapytał Doża.

— Już gotowa, odpowiedziała larwa.

— Czy dobra i pewna?

— Jedno grano wystarcza na otrucie dwóch osób a ja tu przygotowałem dwa grana.

— Już dobrze, rzekł Doża wzdrygając się zcicha, zmieszaj to w pucharze i ponieś podziemnym chodnikiem do komnaty Dożyni, następnie połóż tę kartkę na pucharze.

— Stanie się, Signoria, odpowiedziała larwa biorąc papier, który mu podał Doża i chcąc się oddalić.

— Jeszcze nie skończyłem, rzekł Doża, słuchaj

dalej: Skoro tylko trucizna będzie już w komnacie Dożyni, zaprowadzisz do niej Ludwika. Pozostanie u niej póki ona nie umrze, poczem dopiero zaprowadzić zdrajcę na rusztowanie, na plac Piacetta. Teraz wiesz już wszystko, oddal się.

Larwa zniknęła a Doża pozostał znów samotny. Tryumfował że dzieło zemsty doprowadzone do celu, że odbiorą karę za swoją zdradę. Sam się pochwalał w myśli, z jak głębokim pomysłem i zręcznością zemstę swą uskutecznił. Jakie aż do ostatniej chwili życia przygotował im męki. Ludwik miał ją widzieć umierającą, Blanka miała go oglądać lecz z tem okropnem przekonaniem, że jest przyczyną jego skonu, i że on od niej udaje się na śmierć hańbiącą. O! wszystko to było bardzo ładnie, bardzo mądrze pomyślane, a jednakże go nie uszczęśliwiało, jednakże zdawało mu się, jakby go duchy piekielne ścigały a zimny dreszcz przebiegał jego członki.

— Nigdy jej niezapomnę, szeptał zcicha do siebie. Ja mszcze się na niej, a ona jeszcze srożej na mnie mścić się nie przestanie, bo obraz jej nigdy w mem sercu nie wygaśnie, będę ją kochał, przeklinając jej pamięć. Będę samotny — zupełnie samotny — sam.

Doża zerwał się nagle ze swego ponurego zadumienia, posłyszał bowiem za drzwiami przeraźliwy krzyk kobiecy.

— Cóż to jest? Któż ośmiela się przerywać moją spokojność?

Drzwi otwarły się gwałtownie, zakwefiona kobieta wpadła do pokoju, a za nią straże stojące dotąd u podwoi. Straż chciała ją powstrzymać, lecz kobieta siłą olbrzymią odepchnęła ich od siebie.

— Puszczujcie mnie, zawołała w uniesieniu, nie wolno wam robić mi przeszkód, bo tu idzie o życie mojego dziecięcia!“

— Cóż to jest? Cóż to ma znaczyć? zapytał Doża zwracając się do żołnierzy.

— Przebaczenia Panie! jeden z nich odrzekł. Ta kobieta wcisnęła się do pałacu pod pozorem że jej tam przyjść kazałeś. Nie chcieliśmy jej dozwolić wstępu, bo zakazałeś aby nikogo nie wpuszczać. Ona jednakże, jak widzisz, gwałtem zdobyła sobie wejście.

—I nie odejdę ztąd, wykrzykła kobieta, dopóki syn mój nie będzie ułaskawiony! Panie, nie odpychaj mnie, bądź łaskawym posłuchać mnie. Każ odejść stróżom — chcę zmiękczyć twoje serce, na klęczkach błagać za moim synem. Zlituj się, wysłuchaj mnie!

W jej głosie przebijało się coś tak rzewnego i wzruszającego serce, że Doża ujrzał się zwyciężonym. Skinął na żołnierzy, aby wyszli, a sam nawet zamknął drzwi po nich.

— Teraz wysłuchaj mnie książe, zawołała Lidia padając na kolana przed Dożą. Uwolnij mego syna, mego Ludwika. Cóż on przekroczył? Co zawinił? On który jest wzorem cnoty i uczucia honoru?

— Popełnił zbrodnią, za którą śmierć ponieść musi. Szkoda twoich słów, bo wszystko jest daremne.

— Nie, nie, — jęczała — musisz mnie wysłuchać i ulitować się. Dwadzieścia lat płakałam za moim synem, był mojem jedynem dziecięciem i został mi porwanym. O! ty nie wiesz co to znaczy mieć przez lat dwadzieścia ciągle jedno tylko życzenie i jednę tylko myśl, nic więcej nie słyszeć ani widzieć prócz tego jednego: „Gdzie jest moje dziecię? Nie widzę mego dziecięcia.“ A teraz kiedy je znalazłam, gdy odzyskałam znów syna — teraz, miałbyś być tak okrótnym powtórnie mi go wydrzeć? To niepodobna, to być nie może!

— Dość tego, rzekł Doża surowo, gdy to mówisz on już umiera. Był zdrajcą i jako taki według prawa i słuszności zostaje ukaranym.

Skoczyła do góry z wściekłością.

— Nie czyń tego! wykrzykła, zamorduję cię, jeżeli tego nie odwołasz!

Z dobytym sztyletem rzuciła się na Dożę. Błyszczące ostrze już się dotknęło jego szyi, nim zdołał ochłonąć z zadziwienia; w tej jednak stanowczej chwili chwycił ją za rękę, chcąc wyrwać jej sztylet. Ona mocowała się z nim, tak jak walczy wąż ze lwem.

Naraz Doża wydał okrzyk przerazenia. Wczasie szamotania się spadła zasłona z twarzy Lidii a Doża zobaczył jej oblicze.

— Lidia! krzyknął wzruszony, Lidia!

Ona patrzała na niego bez tchu i nieruchoma.

— Józefie! szepnęła, tyś to? Ty Dożą Wenecyi?

On nie śmiał spojrzeć jej w oczy, a ciężkie wydając westchnienie, spuścił na piersi głowę.

Ona zaś jakby oczarowaną została. Słodkie sny i wspomnienia przeszłości otumaniły jej umysł tak, że spoglądając na niego zapomniała o wszystkiem innem i nic prócz niego nie widziała.

— Józefie! szepnęła, gdybyś był wiedział jak ja

cię kochałam, jakich cierpień z twej przyczyny doznałam, nie byłbyś miał odwagi opuścić mnie.

— Przestań Lidio, zajęczał zcicha, zabijasz mnie.

Nie zważała na te jego wyrazy. Ciągle spoglądała na niego łagodnym lecz smutnym wzrokiem.

— Patrz na mnie, rzekła mu zcicha, pokaż mi twarz swoją, już lat dwadzieścia jej nie oglądałam.

Odciągła mu rękę od twarzy i patrzała na niego w marzeniu; naraz zerwała się — mgły ustąpiły, umysł jej napowrót się rozjaśnił.

— Ratuj go! — krzyknęła — on jest twoim synem, którego ci porodziłam!

— A ja, zajęczał ponuro, ja go zamordowałem.

— Spiesz się! — wołała nalegając — jeszcze możesz mu dopomódz, jesteś jego ojcem. Ocal syna swego!

— Sprobuję to, rzekł z żywością. W tej chwili będzie w pokoju Blanki. Może jeszcze czas mi wystarczy. Rada Trzech właśnie co się zgromadziła, pójdę do nich będę błagał o łaskę.

— Ty sam go ułaskawisz. Ty Doża Wenecyi, książe potężny.

— Karać jest w mojej mocy, lecz udzielać łaski mają prawo jedynie okropni Trzej Mężowie. Pójdę do nich, wyjawię im wszystko, będę błagał o łaskę i muszą mi jej udzielić. Chodź ze mną, potwierdzisz moje słowa. Niechaj mnie ukarzą, osądzą, byle tylko syn mój był uwolniony. Lidio! nie ma ani chwili do stracenia.

Porwał ją z sobą gwałtownie, i oboje pełni śmiertelnej trwogi w sercu, wybladli na twarzy, spieszyli przez pyszne i wspaniałe sale pałacu do miejsca, gdzie los ich stanowczo miał być rozstrzygniętym.

VII.

Blanka z anielskim spokojem siedziała w swojej komnacie. Przy niej klęczała Róża i ze złożonemi rękami patrzała jej w oczy; nic jednak dopatrzyć się nie mogła, bo oczy jej łzami były zamglone. Blanka jednakże nie płakała, ona przezwyciężyła już wszelkie cierpienia życia, dusza jej wyrwała się już boleściom żywota tak, że nawet śmierć jej miała zostać dowodem jej miłości dla Ludwika. Przeczytała kartkę położoną na pucharze, który nagle przez ścianę w jej komnatę wsunięty został. Kartka ta, te tylko zawierała słowa:

„Jeżeli Dożyni w przeciągu godziny „nie wypije tej trucizny, to nie tylko Ludwik, ale i jego matka, którą do Wenecyi sprowadził, umrze. Chcąc ją Signora ocalić, wypij.“

Ona chciała ją ocalić, chciała wypić. Właśnie co tylko pożegnała się z przyjaciołką, polecając tejże, aby się po jej śmierci udała do matki Ludwika, przy niej pozostała i pielęgnowała ją, jakby była jej córką; następnie prosiła ostatecznie Róży, aby ją opuściła i nie była świadkiem jej konania. Chciała być samą, z sobą i Bogiem tylko. Czuła że już nie należy do ziemi, dla tego nie chciała, aby łzy przyjaciołki przypominały jej że żyje.

Teraz podniosła łagodnie przyjaciołkę do góry, złożyła ostatni pocałunek na jej usta, utkwiła ostatnie spojrzenie w jej cierpiące oblicze i skinęła, ażeby wyszła.

Ani słowa już do siebie nie przemówiły. Róża potoczyła się ku drzwiom, zakrywszy usta rękami dla przytłumienia krzyku rozpaczy, który się jej wydzierał, poczem szybko wyszła.

Blanka spojrzała na nią czule, poczem zwolna wzniosła oczy do nieba.

— I to już przetrwane, szepnęła cicho. Teraz już ze wszystkiem w świecie skończyłam, tak, że nic mi już więcej prócz śmierci nie pozostaje, i przejścia na miejsce wiecznego spokoju.

Przybliżyła się zwolna do stolika, na którym stał puchar. Na widok takowego zadrżała, a ręka sięgająca poń cofnęła się.

Chciała jednak przezwyciężyć odrazę, chciała być stałą i odważną. Matka Ludwika była zagrożoną, gdyby nie wypiła. Postanowiła przeto wychylić puchar trucizny.

Już chwyciła za puchar, wtem głośny szmer powstał na korytarzu. Słychać było kroki maszerujących żołnierzy i głośną komendę — drzwi otworzyły się. Zewnątrz stały straże dwoma rzędami a wpośrodku nich Ludwik. Popchnęli go naprzód aż do komnaty, poczem drzwi za nim zamknęli.

Blanka patrzała się na to wszystko tchu pozbawiona. Zdawało jej się że marzy, nie mogła uwierzyć żeby to było prawdą i na jawie. Skoro jednak Ludwik ku niej z roztwartemi ramiony pospieszył, gdy z czułością zawołał ją po imieniu, poznała że jest na jawie, że żyje i rzuciła się mu na łono, opierając swą głowę jak słabe dziecię na jego piersiach.

— Jakże ten Bóg jest dobrotliwym, wyrzekła zcicha, jakże miło będzie mi teraz umierać! Przecież oglądam cię jeszcze, nie pytam co jest powodem tej łaski, przyjmuję ją i dzięki za to składam Najwyższemu.

— O! moja Blanko! szepnął Ludwik, przyciskając ją do serca, tak jakby chciał strzedz ją przed groźnem niebezpieczeństwem, takież to nasze spotkanie?

— Jednakże jest spotkaniem się napowrót, odrzekła łagodnie. Nie zakrywaj nic przedemną Ludwiku, powiedz mi szczerą prawdę co cię oczekuje?

— Rusztowanie, odpowiedział spokojnie. Co tylko oświadczono mi to — zaraz po opuszczeniu twej komnaty poprowadzą mnie na miejsce śmierci!

Ona nie wydała żadnego krzyku, nawet nie zapłakała. Przez chwilkę tylko zamknęła oczy a dreszcz przeszedł ją całą, lecz i to ostatnie wzruszenie przezwyciężyła odważnie.

— Ja mam patrzeć na twoje konanie, prowadził dalej Ludwik żałośnie, tę jeszcze ostatnią torturę mi wymyślono! Mam patrzeć na twoje cierpienia a potem dopiero iść na rusztowanie na plac Piacetta.

— Nie Ludwiku, rzekła z niebiańskim uśmiechem, nie będziesz patrzał na moje konanie, śmierć będzie dla mnie lekką i przyjemną, bo ty najdroższy, najukochańszy bracie zostajesz przy mnie.

On z niechęcią potrząsnął głową i poprowadził Blankę ku sofie, usiadł z nią na tejże ręka w rękę i patrząc jej w oczy.

— Blanko, rzekł, masz słuszność, śmierć dla nas będzie przyjemnością. Tą razą Doża się przerachował. Chciał nas męczyć, a jednakże użyczył nam największego szczęścia w ostatniej godzinie życia. Mam ci dużo do powiedzenia Blanko, życie całe na toby nie wystarczyło — tam w górze to dokończymy. Droga Blanko, stoimy nad brzegiem grobu, jeszcze chwil parę a pochłonie nas oboje. Bądźmy więc otwarci i powiedzmy sobie prawdę. Ty mnie kochasz, lecz nie tak jak brata się kocha, lecz czulszą daleko miłością!

Ona nie spuściła oczu, lecz spojrzała z uczuciem mu w oczy.

— Prawdą jest Ludwiku, rzekła spokojnie, kocham cię. Uczucie to było rozkoszą i szczęściem całego mojego życia. Wszystko co tylko jest dobrem we mnie, zawdzięczam tej mojej miłości. Ta to miłość która mnie ukształciła, która mnie utwierdziła w dobrem, ona była zadaniem mojego życia, mojem szczęściem, moją cnotą. Całe moje serce jej oddałam, a teraz zbieram z niej owoce na wieczność.

Ludwik z siedzenia zsunął się przed nią na kolana a złożywszy ręce ku niej błagalnie, patrzał z rozkoszą w jej oblicze.

— Blanko! szepnął po cichu, moja Blanko! moje bóstwo!

— Nie — odpowiedziała, poruszając zwolna głową — tem nie jestem bynajmniej. Ziemska pokusa nieraz mnie łudziła, moja miłość ku tobie nie wystarczała mi, chciałam być jeszcze kochaną od ciebie.

— A ja zapamiętały! zawołał, błądziłem ślepo w Raju nie mogąc go znaleść! Tak blizko byłem mojego szczęścia a ślepota nie dozwoliła mi ujrzeć takowe. Słuchaj jednak teraz Blanko, i ja muszę ci wszystko wyznać. Niepojęte uczucie odwołało mnie wówczas z tych stron — sądziłem że to jest chęć sławy i zaszczytów. Częstokroć byłem smutny niewiedziałem dla czego, często zaś bez najmniejszej przyczyny unosiłem się radością. Spodziewałem się że w boju odzyskam spokojność, a nakaz pozostania w miejscu jeszcze większą napełnił mnie odrazą i podwoił moje życzenie udać się do boju. Przecież raz dopiąłem celu. Za twoją pomocą wydobyłem się z Wenecyi, mogłem wziąść udział w boju i uczułem się szczęśliwym, lecz tylko na krótką chwilę...

— Na krótki czas tylko, mój Ludwiku? zapytała smutno.

Ludwik nie dając jej na to odpowiedzi, prowadził dalej:

— Rzuciłem się z całym zapałem młodzieńczym zuchwale i odważnie w zamęt bitwy i padłem ciężko raniony. Twoje to nazwisko było wówczas ostatnim moim wyrazem. Obraz twój stanął przed moją duszą, zanim straciłem przytomność. O tobie tylko marzyłem na łożu choroby, o tobie jedynie rozmawiałem. Chęć sławy, która niegdyś tak serce moje zapełniała, zamilkła na myśl o tobie, na widok twych oczu, które przedstawiały się memu duchowi.

— Ludwiku! zawołała z obawą a przytem radośnie, zaklinam cię na Boga Przedwiecznego, powiedz mi prawdę, szczerą prawdę, nie oszukuj mnie, aby mi sprawić uciechę!

Ludwik położył swą rękę na jej sercu, i spojrzał jej śmiało w oczy.

— Na to wzniosłe serce przysięgam ci, że szczerą mówię prawdę. Tylko ciebie widziałem, tylko o tobie myślałem, lecz nie rozumiałem jeszcze uczucia mojego serca, sądząc że to tylko miłość braterska. Dopiero gdy napowrót do Wenecyi wróciłem, gdy do ciebie pospieszyłem, gdy serce me biło mi z rozkoszy na samą myśl obaczenia cię, wtedy dopiero zrozumiałem sam siebie. Na jeden raz umysł mój rozjaśnił się, zasłona spadła z oczu, na raz jeden poznałem że ta niepojęta tęsknota, to próżne ściganie za sławą i bojem, niczem innem nie było, jak tylko miłością. Poczułem jak mi serce niewymownie biło, i sam sobie z rozkoszą przyznałem: „Kocham ją!“ Tak jest Blanko, ja kocham ciebie, ciebie tylko jedynie!

Zwolna podniosła się, jakby niewidzialną siłą dźwigniona. Oczy jej i ramiona wzniosły się ku niebu.

— On mnie kocha! wyrzekła, a całe jej uczucie, cała namiętność, jak równie obawa i powątpiewanie w tych trzech odbiło się wyrazach.

Ludwik zrozumiał wszystko, objął ją w ramiona i przycisnął do serca.

— Wierzaj mi, ozwał się, kocham cię nad życie, nad wszystko w świecie. Ty jesteś całem mojem szczęściem, całą moję rozkoszą. O! Blanko! wiem wszystko coś cierpiała. Ty dla mnie zaprzedałaś się, okułaś się w kajdany małżeńskie, znosiłaś wszystkie cierpienia bez szemrania. Bohaterska kobieto, miłość odwagą cię zagrzała!

— Teraz już mogę umrzeć, szepnęła z rozkosznym uśmiechem, bo wiem że on mnie kocha. Życie nas rozdzieliło, śmierć nas znowu połączy. O! mój Ludwiku! jakże to słodko umierać!

Pochylił się ku niej i złożył gorący pocałunek na jej ustach.

— Tym pocałunkiem, Blanko, tem pocałowaniem witam cię jako małżonkę mej duszy, jako moją żonę, chociaż na ziemi byłaś małżonką innego.

— Nigdy nią nie byłam, rzekła uradowana, nigdy nie objęłam innego mężczyzny, nigdy obcy mężczyzna nie pocałował ust moich.

Jeszcze silniej przycisnął ją do siebie, a patrząc sobie z rozkoszą miłości w oczy, zapomnieli o życiu i śmierci.

Na raz jeden cisza około nich panująca przerwaną została głośnym biciem zegaru stojącego na marmurowym kominku.

— Bądź zdrów mój kochany! rzekła z szybkością, ja muszę się oddalić!

— Chcesz iść? zapytał, a dokąd?

Wskazała znacząco na puchar.

— Na śmierć! rzekła spokojnie. Podaj mi rękę Ludwiku, patrz na mnie gdy będę piła — powtórz mi te słowa, te błogie dla mnie słowa: „Blanko, ja kocham cię!“

Wzięła puchar w rękę i chciała przysunąć do ust — Ludwik przytrzymał jej rękę.

— Nie pij Blanko! zaczekaj jeszcze, Bóg może przecie ześle nam ratunek.

— Nie — odpowiedziała łagodnie — już nie ma dla nas ocalenia, a nawet cieszy mnie to po części. Cóżbyśmy mieli robić na tej zimnej ziemi, która nie pojmuje naszej miłości. Wznieśmy się do nieba, mój najdroższy, do tej ojczyzny miłości. Życie nas rozłączyło, niechaj śmierć nas połączy.

Powtórnie wyciągnęła rękę po puchar.

— A więc podzielmy się! zawołał Ludwik, powtórnie wstrzymując jej rękę. Zadaj mi śmierć i przyjmij takową odemnie, umierajmy razem!

A nim zdołała mu przeszkodzić, porwał za puchar i pił z niego szybko i łakomo.

Blanka odebrała mu takowy łagodnie i do reszty wypróżniła.

— Blanko! rzekł Ludwik czule, przytul się teraz do mojego serca, przyciśnij się silnie i w pocałunku umierajmy wspólnie.

Uściskali się serdecznie. — Wkrótce po postaci Blanki dreszcz się przesunął, nogi nie zdołały jej utrzymać dłużej, zsunęła się z jego objęcia na sofę. On z okrzykiem boleści rzucił jej się do nóg. Twarz jej już się poczęła zmieniać — zimny pot w gęstych kroplach wystąpił na wybladłe czoło, a cienie śmierci zaczęły pokrywać jej oblicze. Promień jednak miłości jeszcze raz je rozjaśnił, a gdy na Ludwika swemi wielkiemi zapadłemi oczy spojrzała, natenczas twarz jej zajaśniała niebiańską rozkoszą i cała jej postać okazywała największe zadowolnienie. Cierpienia ziemskie już zostały przezwyciężone — przenieśli się już w niebiosa, bo poznali co to jest miłość.

— Czy słyszysz tę pieśń uroczą? zapytała zcicha, czy ją poznajesz? zdaje mi się jak gdybyśmy obok siebie po dawnemu siedzieli w gondoli, i przysłuchiwali się śpiewom gondolierów... Jakże pięknie przyświeca nam słońce, jak miło zasypiam przy tem kołysaniu się, jak...

Słowa zastygły na jej ustach, oczy stanęły słupem, głowa bezsilnie pochyliła się.

— Blanko! zawołał Ludwik z przerażeniem, nie umieraj jeszcze, zabierz i mnie z sobą!

Jeszcze raz otworzyła oczy, głos kochanka jeszcze raz przywołał ją do życia.

— On mnie kocha! zawołała donośnie z radością, poczem padła na ziemię.

— Tak jest on ciebie kocha! rzekł Ludwik uroczystym głosem, i dzięki Bogu razem z tobą umiera! Pochylił głowę na jej kolana — jeszcze jedno westchnienie i ucichło w komnacie, z której co tylko dwie dusze uleciały, aby na skrzydłach miłości wznieść się do nieba.

Głębokie milczenie panowało w sali, gdzie dwa ciała wieczną tajemnicę życia i śmierci w sobie zamknęły.

Na dworze zaludniło się. Donośny bolesny głos kobiecy zawołał:

— Gdzie jest mój syn?

Drzwi otwarły się gwałtownie a wybladły pełen śmiertelnej obawy wpadł Doża a za nim Lidia do komnaty.

— Nie pij Blanko! wykrzyknął Doża, jesteście oboje ułaskawieni!

Przeraźliwy okrzyk przerwał mu wyrazy i jakby rażona piorunem Lidia padła na ziemię.

Serce macierzyńskie rozpękło się, bo oko matki spostrzegło trupa swego syna.

Doża zadrżał i z jękiem boleści pokrył twarz rękoma.

Od tego dnia Doża Contarini utracił wszelką energią, został milczącym. Wzrok jego stał się ponurym a uśmiech nie rozjaśnił już więcej jego oblicza. Mało co mówił, żył samotnie i cicho w pałacu Doży.

„Wiele doznał on nieszczęść, mówi Daru historiograf Wenecyi, a Rzeczpospolita nie miała nigdy ostrzejszego i więcej ponurego Doży nad hrabiego Contarini, był jednak nader walecznym. A gdy Turcy na nowo obłegli Kandyją, uprosił Radę Trzech iżby osobiście na czele floty wolno mu było ciągnąć na nieprzyjaciela i z nim się spotykać. Trzej Mężowie nie chcieli mu zrazu tego dozwolić, twierdząc że Doża Wenecki nie powinien się narażać na niebezpieczeństwo śmierci od miecza lub kuli. Nie mogli tego dozwolić ze względu na dobro Rzeczypospolitej, lecz Contarini odpowiedział z gorzkim uśmiechem: „Mnie nie dosięgnie już ani miecz, ani kula, bo życie mnie okuło w pancerz, który oprze się śmierci. W pancerzu boleści bezpiecznie pójdę między grad kul nieprzyjacielskich!“ Pancerz ten jednak musiał mieć swą słabiznę, albowiem w walnej bitwie morskiej, którą Wenecyjanię wpobliżu Kandyi z Turkami stoczyli, a w której Doża osobiście dowodził, dosięgła go kula w tej właśnie chwili, gdy wstępował na pokład tureckiego okrętu, który własnoręcznie zahaczył. Padł ciężko ranny, lecz tą razą jeszcze pokonał Turków i utrzymał Rzeczypospolitej Kandyją. Flota powróciła zwycięzko do Wenecyi, lecz z okrętu admiralskiego powiewał czarny sztandar, a na jego pokładzie złożony na czarnym kirze leżał trup Contariniego Doży Weneckiego.“ *(Tł. J. Estreicher.)*

Kościół Ś. Katarzyny

KK. Augustynianów na Kazimierzu

napowrót służbie Bożej oddany dnia 8go Września 1864 roku.

Wielki i wspaniały ten kościół, gotyckiej architektury, założył roku 1342 Kazimierz W. dla zakonników św. Augustyna Eremitów, których z Pragi czeskiej do Polski sprowadził. Oprócz trzech kaplic i ołtarza Pana Jezusa na Krużgankach, niemniej grobów: Błogosławionego Izajasza Bonera, Krakowianina, S. T. D., Przeora klasztoru miejscowego, zmarłego 8 Lutego 1471 r. i ks. Marcina Baryczki; posiadał kościół ś. Katarzyny wiele swiętych relikwij drogo oprawnych, bogate naczynia i apparata ko-

ścielne, nadto dwadzieścia cztery ołtarzy, a klasztór znaczną bibliotekę i archiwum, w którym dziś jeszcze znajduje się 70 dyplomów oryginalnych pergaminowych, oprócz seryi dekretów i oblatowanych aktów. Wśród atoli pięćsetletniego istnienia nadzwyczajne gmach ten przechodził koleje, i tak:

W r. 1363 zgorzał kościół wraz z klasztorem, i pierwotnym erekcyjnym przywilejem; w r. 1443 przez trzęsienie ziemi runęło sklepienie; r. 1556 d. 3 Maja zgorzał kościół i sklepienie spadło, 24 ołtarzy wraz z bogatemi apparatami spłonęło; w r. 1604 zgorzał kościół i klasztór ś. Katarzyny; w r. 1638 zgorzała biblioteka, którą był niedawno, bo r. 1627 ks. Józef Senecyusz S. T. D., Prowincyjał zakonu zbudował; w r. 1786 dnia 3 Grudnia wczasie trzęsienia ziemi, sklepienie kościoła mocno się porysowało. Od r. 1802 do 1809 obrócony został kościół na magazyn wojskowy i wsposób spichrza, podzielony na piątr kilka, do których powybijano w starych murach nowe okna i wejścia, co wszystko tak mocno osłabiło budowę, iż odtąd coraz bardziej chyliła się do upadku grożąc ruiną zupełną.

Uważając po ludzku, zdawało się być rzeczą niepodobną, aby w tym kościele zabrzmiała jeszcze chwała Bogu, ztąd łatwo sobie wytłumaczyć owe różne projekta Władzy rządowej i duchownej, celem przeniesienia KK. Augustynianów to do gmachu po KK. Trynitarzach, gdzie dziś Bonifratrzy, to do kościoła ś. Marka przy ulicy Sławkowskiej, to do kolegium KK. Pijarów przy ulicy ś. Jana, to wreszcie na Skałkę. Zgromadzenie atoli KK. Augustynianów mimo nadzwyczaj uszczuplonych swych funduszów, ani na chwilę nie traciło wiary w odbudowanie swego kościoła, a łaskami słynące tej świątyni obrazy: Pana Jezusa miłosiernego i Najświętszej Maryi Panny Pocieszenia, niemniej rozliczne cuda jakich tu zakon i lud wierny doznawał, umacniały Zgromadzenie KK. Augustynianów w nadziei, iż Bóg niedopuści upaść kościołowi i zakonowi. Polecając się tedy opiece Boga i Przeczystej Boga Rodzicy Pocieszenia, wszystkiego używał zakon aby projekta a tembardziej zapadłe już uchwały przeniesienia nie przyszły do skutku.

Jakoż rzeczywiście w r. 1833 zabłysła nadzieja odbudowania kościoła; w tym to bowiem roku za Przeorstwa JK. Wincentego Gazdzińskiego zawiązał się komitet w celu zochowania od zupełnego upadku tej starożytnej swiątyni i budowy pod protekcyą JWJK. Karola Saryusz Skórkowskiego biskupa Krakowskiego, a prezydencyją JW. Kaspra Wielogłowskiego Prezesa Senatu byłej rzeczypospolitej krakowskiej. Komitet rozpoczął swe zadanie od wezwania pomocy Boga, ztąd na dniu 2 Lipca 1833 JW. Biskup odbył uroczyste nabożeństwo w kościele ś. Katarzyny, a JWJK. Jan Chrzciciel Dzianott S. T. D., Kanonik katedralny krakowski powiedział stósowną do okoliczności mowę religijną, poczem JW. Prezes Senatu zagaił pierwsze posiedzenie Komitetu. Teraz Komitet ogłosiwszy swój Statut drukiem, uczynił odezwę: „Do Szanownych Obywateli Miasta Krakowa i Jego Okręgu“ aby raczyli pospieszyć swojemi ofiarami wpomoc przedsięwzięciu podźwignienia gmachu S. Katarzyny na Kazimierzu. Wskutek usiłowań Komitetu, został cały kościół nowym dachem opatrzony i dachówką pokryty, zbieg atoli różnych okoliczności był przyczyną, iż w roku 1836 zawiesił komitet swe czynności ztąd też i dalsza ustała reperacya, a pozostałą resztę z uzbieranych składek, w kwocie Złot. Pol. 13265 ulokowano na realnościach w Krakowie i jego okręgu, gdzie dotychczas pozostaje.

Zgromadzenie KK. Augustynianów na nowo mocno dotkniętem zostało. Przełożeni jego zwłaszcza Ks. Possydy Romann i Ks. Augustyn Brzęzkiewicz wszystkiego używali, aby zawieszenie reperacyi niedługo trwało, lecz okoliczności nie były jeszcze sprzyjające, a w kościele znowu ujrzano magazyn.

W takim stanie rzeczy nadbiegł rok 1849, w którym na kapitule prowincyjalskiej zebranej w Warszawie obrany został na dniu 23 Czerwca JK. Zygmunt Wołek, członek KK. Augustynianów Krakowskich, Prowincyałem Zgromadzenia KK. Augustynianów Prowincyi Polskiej. Nowo obrany Prowincyał zajął się energicznie swem stanowiskiem. Aby bliżej poznać wszystkie klasztory Prowincyi i przejąć się ich potrzebami; zaraz w początkach swego urzędowania zwiedził takowe wraz z swym sekretarzem JK. Bonawenturą Swiętczak. Najbliższem atoli serca Prowincyała był klasztor Krakowski, którego był synem, ztąd stanąwszy w Krakowie dnia 1 Maja 1850 r. starał się wraz z braćmi swemi zakonnemi wskrzesić na nowo ducha restauracyi kościoła ś. Katarzyny, a znalazłszy usposobienia przychylne, umyślił z tychże zaraz korzystać. Teraz szło tylko o to, aby na czele Zgromadzenia KK. Augustynianów w Krakowie stanął Przełożony, któryby duszą i ciałem zajął się prowadzeniem dalszem zawieszonej restauracyi. Dzięki Bogu! niezbywało wprawdzie między

kapłanami klasztoru Krakowskiego na członkach pełnych poświęcenia, wszelako ci oświadczyli w pokorze, aby JK. Bonawenturze Swiętczak poruczyć sternictwo, oni zaś z swej strony pójdą mu w pomoc. Prowincyał tym celem zwołał kapitułę nadzwyczajną na dzień 26 Czerwca 1850 r. do klasztoru w Rawie Mazowieckiej, tu przedstawiwszy zgromadzonym Ojcom Definitorom Prowincyi potrzeby wszystkich klasztorów po szczególe, zarazem okazał konieczność prowadzenia restrauracyi kościoła św. Katarzyny w Krakowie, i wymurowania klasztoru w Rawie, w miejsce dotychczasowego drewnianego. Konieczność tę uznała jednomyślnie Kapituła i obrała Przeorem JK. Bonawenturę Swiętczaka, Sekretarza Prowincyalskiego, zachęcając go do spełnienia tak pięknego zadania, i wyznaczając mu na rozpoczęcie restauracyi 1000 Złpol. wsparcia, imieniem prowincyi.

Ze łzą w oku ukląkł nowo obrany Przeor przed ojcami kapituły, prosił o błogosławieństwo i pomoc w modlitwach, oświadczając, iż odtąd kościół św. Katarzyny będzie jego myślą jedyną, jemu poświęca samego siebie i ma niezłomną nadzieję, że Bóg pobłogosławi jego dobrem i czystem chęciom. Jakoż rzeczywiście JK. Bonawentura Swiętczak objąwszy Przeorstwo w Krakowie dnia 9 Grudnia 1850 r. całkiem oddał się kościołowi św. Katarzyny, założył nowy Komitet, uzyskał u Najjaśniejszego Pana Franciszka Jozefa I. Cesarza Austryi pozwolenie zbierania składek w całej monarchii na podźwignienie tego opustoszałego kościoła, zwiedził tym celem blizko wszystkie kraje korony Austryjackiej i dotarł aż do Jass w Mołdawii.

Z wdzięcznością serca i to nadmienić muszę, iż całe zgromadzenie zakonne okazało się czynne w niesieniu pomocy swemu przełożonemu w odbudowaniu kościoła. Księża: Klemens Domagalski, Bonawentura Maliński i Alojzy Król, niemniej bracia Laicy: Błażej Jeleń, Izajasz Błaszczyk i Cesław Michalski kwestowali w Galicyi. JK. Mikołaj Szpernoga, dzisiejszy Przełożony, przeszedł jako kwestarz Węgry, a JK. Szczepan Galewicz Szlązk i Morawę, zaś JK. Zygmunt Wołek S. T. D. były po dwakroć prowincyał, zamieszkawszy od końca r. 1854 stale w Krakowie, wyręczał nieobecnych braci w obowiązkach kościelnych i klasztornych. Wspomniony przełożony JK. Bonawentura Swiętczak wśród 10 letniego przełożeństwa, położył nieocenione zasługi dla zakonu i kościoła ś. Katarzyny i posunął daleko restauracyą rozpoczętą. Gorliwość prawdziwa nadwątliła zdrowie i siły jego, ztąd na usilne prośby, JK. Rajmund de Pennafort Krajewski Prowincyał zakonu uwolnił go od sternictwa dnia 6 Sierpnia 1860 roku. Stan atoli jego zdrowia coraz się pogorszał i niedozwolił mu cieszyć się widokiem otwartego napowrót służbie Bożej kościoła, gdyż JK. Bonawentura Swiętczak umarł żałowany od braci i wszystkich co go znali, dnia 18 Maja 1863 r. w 48 roku życia swego a 25 kapłaństwa.

Z dniem przeto 6 Sierpnia 1860 r. objął przeorstwo a następnie prowadzenie dalsze restrauracyi JK. Klemens Domagalski, szedł śladem swego poprzednika zasięgał rady tak jego, jak i swych braci zakonnych, i ciągnął rozpoczęte dzieło; dwa atoli wypadki, najprzód złamania ręki a w rok potem zawiania, były przyczyną, iż na dniu 23 Sierpnia 1863 r. podziękował za przeorstwo. Teraz objął takowe JK. Mikołaj Szpernoga, który prowadząc dalej restrauracyję, o tyle takową posunął, iż zostawując Opatrzności Boskiej, czasowi i dobrodziejom dalsze a nader jeszcze liczne potrzeby tego kościoła, umyślił w dniu Narodzenia N. M. Panny 8 Września 1864 roku jako w uroczystość z odpustem całotygodniowym połączoną wprowadzić, do tegoż nabożeństwo. Tym celem odniósł się z prośbą pomieniony przełożony do JWJK. Antoniego Junosza Gałeckiego biskupa amatutyńskiego, wikaryjusza apostolskiego dyecezyi Krakowskiej, który z powodu przedsięwziętej wizyty dyecezalnej, raczył polecić dopełnienie pobłogosławienia kościoła i wprowadzenia nabożeństwa na dniu rzeczonym JWJK. Henrykowi Matzke kanonikowi katedralnemu Krakowskiemu, oraz dziekanowi miasta Krakowa; JWJK. kanonik Delegat w asystencyi duchowieństwa świeckiego i zakonnego, oraz w przytomności Najprzewielebniejszego J. Księdza Dominika Stanisława Słotwińskiego, Opata Infułata Kanoników lateraneńskich Bożego Ciała, niemniej wobec licznie zebranego pobożnego ludu, różnych bractw kościelnych i cechów dopełnił pobłogosławienia, celebrując zarazem pierwszą Sumę solenną, w nowo poświęconym przez siebie kościele, zaś msze święte czytane przed dwoma ołtarzami w kościele wzniesionemi odprawili w tym dniu JK. Mikołaj Szpernoga Przeor klasztoru, przed ołtarzem gotyckim obok grobowca Jordanów, a JK. Bonawentura Maliński Podprzeorzy klasztoru, przed ołtarzem Pana Jezusa Ukrzyżowanego. Wśród Summy powiedział

do ludu licznie zgromadzonego Kazanie, WJK. Waleryjan Serwatowski, dziekan kolegijaty WW. SS. Nieszpory solenne odprawił w tym dniu WJK. Zygmunt Wołek, S. T. D., były po dwakroć Prowincyał KK. Augustynianów, wczasie których głosił słowo Boże JK. Marcelli Chmielewski, katecheta szkoły głównej żeńskiej Ś. Andrzeja. Po nieszporach i processyi przemówił jeszcze z ambony JK. Przeor klastoru, składając winne dzięki wszystkim dobrodziejom jako też śp. Ks. Bonawenturze Swiętczakowi. Wśród tego dnia do 12 tysięcy zwiedziło napowrót służbie Bożej otwarty kościół.

Wczasie oktawy celebrowali:

Dnia 9 Września Summę Ks. Szczepan Galewicz, kaznodzieja miejscowy, zaś kazanie z rana powiedział zwyż wspomniony JK. Chmielewski, a na nieszporach JK. Krzemieński notaryjusz Prześwietnej Kapituły oraz spowiednik i kaznodzieja katedralny.

Dnia 10 Summę wspomniany zwyż JK. Krzemieński, kazanie z rana JK. Michał Swiderski kapucyn, po południu JK. Józef Balcarczyk, nauczyciel religii w gimnazyum.

Dnia 11 jako w niedzielę, celebrowali KK. Reformaci a mianowicie JK. Augustyn Łypaczewski, gwardyjan sumę, JK. Korneli Strzelichowski miał kazanie z rana, a JK. Piotr Dudziak po południu.

Dnia 12 Sumę odprawił wspomniony zwyż WJK. Dziekan Waleryan Serwatowski a kazania mieli KK. Wikarzy parafii WW. SS.; z rana JK. Piotr Nowak; po południu JK. Stanisław Giebułtowski zmarły dnia 11 kwietnia 1866 r. w 31 roku życia.

Dnia 13 Sumę WJK. Jan Pietrzykowski podprokurator Prześwietnej Kapituły, proboszcz kaplicy król. Jagelońskiej Rorantystów i t. d., kazanie miał JK. Julijan Bukowski, wikary od ś. Mikołaja a na nieszporach JK. Franciszek Wolf, wikary z Podgórza.

Dnia 14 Sumę JK. Bernard Rzepczyński Paulin, kazanie JK. Franciszek Faber, kanonik regularny lateraneński, a na nieszporach JK. Franciszek Pobudkiewicz, wikary katedralny.

Dnia 15 jako w oktawę celebrował sumę JK. Wojciech Micherdziński, kanonik regularny lateraneński, a słowo Boże głosił JK. Kazimierz Oszacki, wikary od św. Floryjana.

Nieszpory konkluzyjne odprawił zwyż wspomniony JK. Franciszek Faber, a kazanie miał JK. Wojciech Micherdziński.

Przez całą oktawę odpustu kapłani Zgromadzenia miejscowego odprawowali Wotywy i msze śś. czytane na intencyją tych wszystkich, którzy się do odbudowania kościoła przyczynili, zaś

Dnia 16 Września przy solennem nabożeństwie żałobnem nastąpiło pochowanie kości fundatorów, dobrodziejów i zakonników, wydobytych z gruzów kościoła wczasie jego restauracyi. JK. Mikołaj Szpernoga, przełożony zgromadzenia, odprawił 1szą Wotywę, 2gą KK. Franciszkanie, 3cią KK. Dominikanie a sumę celebrował zwyż wspomniany JK. Piotr Nowak, wczasie której miał stosowną mowę WJK. Waleryjan Serwatowski dziekan kolegiaty WW. Swiętych, w końcu przy licznem zebraniu Duchowieństwa świeckiego i zakonnego, odprawił kondukt zwyż wspomniany przełożony klasztoru.

Akt dopełnionego pobłogosławienia kościoła spisany został na pergaminie w trzech jednobrzmiących egzemplarzach, z których jeden dla archiwum Prześwietnego Konsystorza, drugi dla archiwum prowincyi KK. Augustynianów, a trzeci dla archiwum miejscowego zakonnego przeznaczony i podpisany został tak przez JWJK. Henryka Matzke, kanonika katedralnego krakowskiego, Dziekana miasta, Delegata do tej religijnej czynności, jako też przez inne znakomite osoby duchowne, rządowe i obywateli, przyjmujących udział w tej uroczystości.

Tak tedy kościół św. Katarzyny, ten wspaniały zabytek budowy z pierwszej połowy XIV wieku, sześćdziesiąt lat pustkami stojący i nader zrujnowany, przy błogosławieństwie Bożem, szczodrobliwości pobożnych wszelkiego stanu i wieku dobrodziejów, gorliwości prokuratoryi budowy, niemniej przy poświęceniu się Panów: Pawła Barańskiego budowniczego miasta, jako kierującego robotami ogólnemi; Edwarda Stehlika, kierującego robotami kamieniarskiemi; Ludwika Beym robotami murarskiemi; Wincentego Kołodziejskiego robotami ciesielskiemi, i Tomasza Święcickiego kierującego robotą szklarską, o tyle został wyrestaurowany, iż w nim napowrót zabrzmiała chwała Boża. Stokrotne za to składając dzięki Panu Bogu, z drugiej strony łączymy zarazem korne modły błagając Jego Majestatu o pobłogosławienie dzieła ku jego dokończeniu, aby kościoł ten mógł przyjść z czasem do tych ozdób wewnętrznych, któremi się niegdyś w czasach swej świetności odznaczał. Oby jak najprędzej zapełnił się rzeźbionemi ołtarzami i stalami, chórami, organami i ławkami, coby odpowiadały ogromowi rozmiarów i ze stylem całego budynku zostawały w zgodzie.

Podając niniejszą wiadomość o pobłogosławieniu kościoła św. Katarzyny i o oddaniu go napowrót służbie Bożej, chcieliśmy jedynie zostawić pamiątkę odbytego aktu, a tem samem dorzucić cegełkę do jego dziejów.

X. Zygmunt Wołek.

O źródłach i sposobach wynajdywania tychże źródeł

przez P. Flamel. Paryż 1865 r.

W chwili kiedy ks. Richard świat objeżdża w celu wynajdywania źródeł, to stósownem będzie zastanowić się co są źródła i nad sposobami ich odkrywania.

Co to jest hydroskop?

Jest to człowiek podrużujący za wynalezieniem źródeł.

Od czasów ks. Paramelle praktykanta wykończonego, pojawiło się bez liku hydroskopów.

Są to utwory nowożytne.

Dawniej hydroskopia nie była rzemiosłem zyskownie opłacającem się; sztuka wynajdowania źródeł należała wyłącznie do czarowników i czarownic wiejskich.

Czarownicy i czarownice urzynali w lesie gałęzie leszczyny i z niemi przebiegali góry, pagórki i doliny, a w miejscu gdzie gałąź sama z siebie skręciła się w rękach operatora, to niezawodnie w miejscu owem źródło znajdować się miało. Sprawdzał kto mógł, lub kto chciał.

Gałązka owa i jej czarodziejska zaleta, kwitnęły za czasów pani Beausoleil; pani Beausoleil była najznakomitszym inżynierem min, jakim Francyja pochlubić się może. Zdolności i wiedza nie mają płci.

Pani Beausoleil pierwsza śmiało stanowcze ciosy owej czarodziejskiej gałązce zadała, wyjaśniając całą nicość tych niedorzecznych marzeń.

Geolog, zwłaszcza ten co dobrze obznajmionym jest ze składem ziemi, może praktycznie przez doświadczenie wskazać punkta na pochyłościach ziemi, gdzie wodę odkryć można.

Przy doświadczeniu, pierwszy lepszy co sobie potrafi zdać dokładny rachunek tak pochyłości gruntów, jak ich wklęsłości, może nierównież użyczyć użytecznych objaśnień w tym celu. Bo tu posługujemy się początkowemi a najpewniejszemi prawidłami nauki Geologii. Tym to sposobem ksiądz Paramelle doszedł do szczytu sławy słusznie nabytej. Kilku ludzi uczonych szczęśliwie go naśladowali; ale ani żadna formułka, ani żadne czarodziejstwo miejsca tam nie miało.

Najprzód, cóż to jest źródło?

Rzuć okiem na okolice co cię otaczają. Cóż spostrzegasz? Wdali pagórki, bliżej niziny, tam wklęsłości a dalej wypukłości.

Zwyczajnie ziemia przy powierzchni z łatwością przepuszcza wodę; deszczowa woda wsiąka wewnątrz ziemi; sączy się dopókąd nie napotka warstwy, której przesiąknąć nie zdoła.

Więc zatrzymaną zostaje w swym ścieku na dół i musi teraz przebiegać po warstwie nie przesiąkniętej i szukać przejścia po jej spadkach ku dołowi.

Więc wypukłości formują prawdziwą przystań wód, a wklęsłości zaś, rezerwoary, w które wody zebrać się usiłują i do których dążą. W najniższej więc części warstwy widocznie najwięcej wody znajdować się powinno.

W każdej więc okolicy, gdzie znajdują się wklęsłości dobitne, lub wąwozy otoczone pagórkami, powinnoby się z łatwością wynaleść wodę.

To co też zwyczajnie następuje.

Na przykład: jezioro Engien (przy Paryżu) jest zasilane wodą deszczową sączącą się przez pagórki Montmorency i t.p.

Ale potrzeba zwrócić uwagę, że jeżeli warstwa nie przesiąknięta jest bardzo głęboko położona w ziemi, rzeka ta podziemna płynąc za głęboko, ludziom nieużyteczną się staje.

Można postawić za prawidło, że w każdym razie kiedy pagórki i góry znajdują się w blizkości miejsca gdzie robią poszukiwania, a kiedy miejsce to znajduje się u stóp pochyłości tych pagórków lub gór, albo blizko talwegu (talweg jestto miejsce najniżej położone w okolicy — w rzece można ufor-

mować liniją talwegu, biorąc i łącząc punkta najgłębsze wzdłuż rzeki) to po kopaniu kilkołokciowem wgłąb, z pewnością wodę napotkać można.

W przypadku jeżeli warstwa przy powierzchni z łatwością przepuszcza wodę, to jedna część tych wód sączy się wewnątrz na dół a druga płynie wśród pagórków trzymając się naturalnych pochyłości i zbiega w parowy i wąwozy.

Wszystkie grunta piaskowe, zwirowe, wapienne a często nawet porfiroidowe i granityczne temu prawu podpadają.

Bynajmniej nie potrzeba do wynajdowania źródeł ani słów tejemniczych hydroskopa, ani jego himerycznej wiedzy.

Badajmy tylko przypadki gruntu i przyrodę skał. Potrzeba mieć barometr mały kieszonkowy; doskonały to rysownik i wskaziciel kształtu ziemi, na której się poszukuje. Ciągły ruch igły wskazuje miejsca najniższe, przez które przechodzimy. Idziesz pod górę, igła obróci się na lewo; zchodzisz na dół, igła przechyli się na stronę prawą. Żadnym sposobem omylić się niepodobna w obliczeniu wysokości miejsc przez które się przebywa; a to jest bardzo ważny punkt w naszem założeniu, bo naturalnie im niżej się znajdziesz, tem łatwiej w obfitości wodę napotkać zdołasz.

Poszukiwanie źródeł powinno się odbywać rano przy wschodzie słońca, albo wieczór przy zachodzie. Miejsca gdzię woda znajduje się bliżej powierzchni ziemi, są mokre; często z nich wychodzi para, a im więcej para jest gęstą, tem więcej woda powierzchnią ziemi strychuje. Również roślin przyrody powinny ściągać uwagę. Roślinność jest bogatsza, przyodziana barwą zieleńszą w sąsiedztwie wód.

Jeżeli dwa zwysoczenia ziemi się przecinają, prawie zawsze woda się znajdzie w miejscu zejścia się dwóch płaszczyzn pochyłych przecinających się pogórków; a wody obu pagórków spoją się, żeby utworzyć strumyk.

Tem łatwiejsze jest poszukiwanie źródeł, o ile ziemia rozmaite posiada kształty, i o ile wielkie lasy i bory znajdują się w sąsiedztwie. W dolinach gdzie brak wody więcej czuć się daje, nie można poszukiwań pod ogólne prawidła podciągnąć.

Im spadek jest ostrzejszy w pochyłościach wzgórków, tem bliższa jest woda od powierzchni ziemi; bo wrazie tym, woda nie ma czasu pomału wsiąkać prostopadle, lecz zbiega żywo i płynie wzdłuż pochyłości pagórka.

Skoro dwa zwysoczenia, dwa pagórki idą od siebie równoodlegle, źródła znajdują się na ścianie mniejszego pagórka; wyżej od talwego o różnice wysokości pagórków. Tu barometer kieszonkowy jest potrzebny, bo wyznacza natychmiast wysokość pagórków. Można poprostu liczyć około 15stu łokci na różnicę w instrumencie.

Można jeszcze powziąść bardzo ważne objaśnienia z położenia źródeł już odkrytych, bo każde z nich wskazuje już przez znaną jego odległość od powierzchni ziemi, w jakiej głębokości potrzeba inne odszukiwać.

Te kilka spostrzeżeń, ludziom którzy się zechcą zajmować poszukiwaniem źródeł, więcej się przydadzą, jak owe gałązki, hydroskopy i wszystkie czarownice i czarowniki.

O Cholerze.

Cholera morbus, azyjatycką nazwana, pochodzi z nad brzegów Gangesu, spowodowana tam napływem nieczystości w 600 milowym jego przebiegu, lub z okolic Mekki z powodowana napływem pielgrzymów muzułmańskich i nadzwyczajnem nagromadzeniem zwierzęcych wnętrzności gnijących pod słońcem.

Ten właśnie jest powód i początek Cholery, która przebiegłszy Azyją, Europę nawiedza.

Cesarz Francuzów pierwszy powziął myśl wezwania wszystkich mocarstw do połączenia zjednoczonych sił, połączonych usiłowań, ażeby zapobiedz przyczynie, to jest obrać środki do oczyszczenia

okolic, zkąd Cholera pochodzi i wywołać ambicyją uczonych, ażeby badali, zgłębiali i wynajdywali środki pewniejsze jak dzisiejsze, do przyjścia skutecznie wpomoc tak srogo dotkniętej ludzkości.

Uczuły potrzebę tego i inne mocarstwa, wskutek czego Kongres zdrowia międzynarodowy ma się zebrać w Konstantynopolu.

Oby Opatrzność błogosławić zechciała tak szlachetnem usiłowaniom!

Oto co podaje Dziennik lekarski belgijski z powodu międzynarodowego porozumienia się, względem przyczyn cholery:

„Sądzimy że mimo dobrych skutków wypłynąć mogących z tych przedsięwziętych kroków, takowe jednakże dostatecznemi nam się nie zdają do odpędzenia od nas cholery. Jedyny sposób zapobieżenia tej indyjskiej pladze, jest to iść wyszukać ją, pobić i utłumić w prawdziwem jej źródle, którem niezawodnie jest Ganges.

„Rzeka ta jest świętym kanałem Indyjan. W swym przebiegu 600 milowym, zabiera ona wszelkie nieczystości, wszelkie zgniłe napływy i bydląt wnętrzności, zamyka ów stek w swym Delta, który dwa razy do roku, to jest w Kwietniu i Lipcu oblewa, zostawując po za sobą ił co ziemię użyznia, lecz jednocześnie powietrze zaraża. Ztamtąd to wychodzą te zaraźliwe wyziewy, co nas nawidzają.

„Otóż jak daleko mieszka okrutny nasz nieprzyjaciel. Lecz czyż świat ucywilizowany, ten świat tak dumny zwycięztwami naukowemi, ten świat tak bogaty w ludzi i w pieniądze, które wyrzuca kiedy potrzeba je poświęcić jakiej idei, lub aby zadowolnić ambicyje, które potępiają: filozofia, sprawiedliwość i moralność; ten 19ty wiek nareszcie, nie zechceż mu się w końcu dosięgnąć prawdziwej chwały, to jest chwały uduszenia w samem źródle okrutnej plagi, co dziesiątkuje ludzkość ciągłemi regularnemi wyrębami.

„Bezwątpienia przedsięwzięcie to olbrzymie w wykonaniu, nie jest tak łatwem; lecz dla wielkich epok wielkie przystoją dzieła. Znajdujeż się wyższy cel, któryby mógł łatwiej pociągnąć za sobą wszystkie umysły z wysokiemi usposobieniami, wzbudzić szlachetniejsze współubieganie się między ludami?

„Wszakże dla spekulacyi, dla handlu, Ferdynand Lesseps, sam z własnej a niezłomnej woli nierównie wielkie dokonywa dzieło, to jest przekopanie Suezkiego Kanału.

„A maż być mniej ważną kwestyja, w której cała ludzkość wzięta jest za gardło, jednem słowem dla wszystkich kwestyja życia lub śmierci."

Opinija znakomitego lekarza Alfonsa Morica o cholerze, przedstawiona Paryżanom dnia 20. Października 1865 r.

Zaraza teraźniejsza trzeba wyznać i głośno powtarzać nie przedstawia złośliwych symptomów tak cholery 1832 jak i 1849 r.

Jak się sprawować podczas Cholery.

Najlepszy i najważniejszy sposób uniknięcia choroby jest: pozbycie się z głowy wszelkiego strachu. Albowiem strach sam jest zdolnym sprowadzić Cholerę. O ile być może utrzymujmy serca nasze w wesołym humorze; wynajdujmy rozmowy przyjemne, starajmy się zajmować pracą i szukajmy przyjemnych rozrywek. Żyjmy jednem słowem tak, jak gdybyśmy zagrożonemi nie byli.

Mówmy jak najmniej o Cholerze. Na cóż zajmować umysł zatrudnieniami co osłabiają duszę i obrażają system nerwowy.

Ojcowie familij powinni z Cholery wyśmiewać się w przytomności dzieci, jak ze straszydeł, jak z dydka na słomianych nogach; tym sposobem obswoi się familiją, ustrzeże się ją od strachu ciągłego i od usposobień niebezpiecznych.

Potrzeba się wstrzymywać od nadużycia trunków, jak również od jadła przesyconego korzeniami, ażeby nie wywołać zapalenia żołądka.

Jednakże sposób życia ostry, lepszy jest od sposobu życia zanadto skromnego i mdłego, bo utrzymuje i pokrzepia siły, przyspasabiając ciało do silnej walki. Potrzeba jednakże używać pokarmów z umiarkowaniem, karmić się potrawami łatwemi do strawienia, nie jeść chleba zanadto świeżego, unikać kwasów, a w bardzo małej ilości pozwalać sobie mleko i owoce.

Potrzeba unikać gwałtownego spracowania się; a jeżeli nastąpione rozwolnienie żołądka zmienia się w dyaryją, natychmiast tejże zapobiedz należy. Ale zarazem nie należy sądzić, że każde rozwolnienie jest atakiem Cholery i nie nabierać niesłusznej obawy, słabym tylko umysłom właściwej.

Jednem słowem należy się wstrzymywać od zanadto ciężkiej pracy, od hulanki, przyjemnych zabaweczek i obżarstwa. Umiarkowanie we wszystkiem jest pierwszą zaporą od Cholery.

Jak się tylko uczuje nadzwyczajne znużenie, natychmiast odpocząć należy. Czasami jest to trudno i niedogodnie wprawdzie, ale jakiekolwiek zachodzić mogą wymagalności życia, kwestyi tej bez najmniejszego wahania się uledz należy, jako kwestyi życia lub śmierci.

Wczasie panowania Cholery umysł i ciało wolnemi od nacisku pozostać powinny.

Ubierać się należy tak, ażeby zmiana nagła temperatury nie miała wpływu na ciało.

Potrzeba wietrzyć zamieszkanie, lecz najmocniej zakazuje się otwieranie okien wczasie gorących nocy; wieleż to ofiar tej nieostrożności naliczyć można?

Dla oczyszczenia wody trzeba ją przepuścić przez węgiel drewniany, a nakropić kwasem karbolowym wychodki, z których zabójcze wychodzą wyziewy.

Sposób takowy życia ma dwojaką zaletę: najprzód że zmniejsza skłonności ciała do ulegnięcia Cholerze, a powtóre przeszkadza Cholerze, gdyby ta nastąpiła, wywrzeć całą swoją gwałtowność.

Sposoby odpychające Cholerę.

Już dawno temu, spostrzeżono w Europie, że robotnicy co mają do czynienia z miedzią, tą chorobą nie zostali dotknięci. I przekonano się, że ci tylko zpomiędzy nich popadli w Cholerę, którzy oddali się pijaństwu i wyuzdanym hulankom.

Niemniej dostrzeżono, że miejsca i okolice w których znajdowały się miny miedzi, od Cholery zbawionemi zostały.

Jakże długi czas miasto Lyon opierało się Cholerze, mimo niezwykłego ścisku mieszkańców, mimo nędzy jaka w nizkiej warstwie ludności panuje, i mimo pogardy jaką ona dla porządnego życia zaszczyca się. Liczba niezwykła przybywających podróżnych, ucieczka z Marsylii, tak okrutnie dotkniętej, tylu obywateli, a nawet już i Cholerą zarażonych, naturalnie zrównoważyła błogi wpływ min miedzianych.

Ale w miejscach pozbawionych miedzi, rozpoznano, że użyte być mogą skutecznie blachy miedziane przyłożone na piersi, lecz czyszczone kiedyniekiedy, ażeby niedopuścić ani rdzy, ani zniedokwaszenia, bo tylko w stanie czystości dobry skutek wywrzeć zdołają.

Sposób ten już dawno używany był przez Doktora Szmidta, nadwornego lekarza księżniczki Lukki, a później doktor Burg wynalazł łańcuszki obwijające ciało i przeszkadzające Cholerze wpływ swój wywierać.

Tenże sam Doktor poczynił najużyteczniejsze poszukiwania i nagromadził wiele dowodów wpływu anti-cholerycznego miedzi.

Dowiódł on że w Tulonie w rękodzielniach i w arsenale, gdzie miedź się wyrabia, nikt nie umarł. Że u kotlarzy, i gdzie miedź się leje, robotnicy przekonani o zbawiennym wpływie miedzi, nabrali serca, pilnowali bez szwanku zwykłej pracy, i jednem słowem nie uciekali, jak pospolicie po innych dzieje się fabrykach.

W Seyne i Marsylii według świadectwa tegoż Doktora, robotnicy lejący miedź, toczący ją i kotlarze, oprócz jednego lub dwóch, chorobą dotkniętymi nie zostali; poczciwi ci ludzie tak szczególnie od plagi powszechnej wybawieni, mają dać festyn na chwałę ich rzemiosła, okazać jednocześnie ich radość z podobnego szczęścia i obwołać głośno błogie, opatrzne anti-choleryczne skutki miedzi.

Blachy i łańcuszki metaliczne najwięcej się zalecają, jako anti-choleryczne; ale nierównie skuteczniejszem jest użycie miedzi wewnątrz ciała. Idzie o to, ażeby rozkładając doprowadzić metal do stanu płynu, ażeby można dać go spożyć bez żadnego niebezpieczeństwa nawet małym dzieciom. Tak jak znajduje się we wszystkich aptekach solucyja merkuryjuszu Hanemana; czemuż nie użyć preparowanej miedzi sposobem przez tegoż Doktora oznajmionym?

Wzięta w małej dozie (bo tylko dwie krople solucyi do ośmiu łyżek wody, a jedna łyżka co rano) preparacyja ta zbawi zawsze człowieka, niedopuszczając ataku; coby było istotnem dobrodziejstwem dla ludzkości.

Dzisiaj jednakże można już dostać tych lekarstw przyrządzonych w aptekach homeopatycznych, dopóką postęp w naukach nie wymaże te nazwy pochodzące z antagonizmu, co powinien być usuniętym, a wszystkie uczonych szperania i zabiegi powinny dążyć do jednego celu, to jest do tryumfu życia, do oddalenia o ile się da, śmierci i zniweczenia.

Sposoby leczenia.

Inne lekarstwo niemniej skuteczne tak nie tylko jako broniące przystępu cholerze, lecz i do leczenia jej jest: Ciemiężyca biała.

Jak uważano że w miejscach, gdzie się miedź znajduje, robotnicy ocalonymi od cholery zostali; tak też dostrzeżono że miejsca gdzie rośnie Ciemiężyca biała są nieprzystępne dla cholery. Trzeba więc było użyć tego lekarstwa mieszając go z miedzią litą.

W Wiedniu na 80,000 ludzi co używali Ciemiężycy białej przez cały ciąg grasowania Cholery w roku 1849, żaden nie uczuł najmniejszego w sobie zarodku choroby.

Jest jeszcze inne lekarstwo energiczne przeciw Cholerze, skoro zaczyna się ono objawiać przez kurcze i oziębienie ciała, lub przez jeden tylko z tych symptomów, ale powinno być użyte nim wymioty i diaryja się zdeklarują. Zależy na tem, ażeby zażyć co pięć minut 1 kroplę Alkoholu kamforowego na cukrze lub w wodzie. Jednocześnie robi się nacieranie temże samem lekarstwem po częściach ciała zbolałych, rozpuszczając jednę część kamfory w 12stu częściach Alkoholu. To jest:

40 granów kanfory na 500 granów alkoholu.

Często po dziesięciu minutach lekarstwo to przywraca członkon oziębionym ciepło i mocne sprawia wrażenie, jak gdyby gorącej ciału dodano krwi. Najmocniej się lekarstwo to zaleca doktorom, którzy wybadawszy usposobienia pacyjenta stósownie według potrzeby używać go będą. Znajdą w niem prawie niezawodny sposób zwyciężenia Cholery i zbawienia chorych.

Lecz powtarzamy że lekarstwo to wziętem być powinno przed wymiotami i diaryją, to jest przy samym objawie choroby, dla tego wczasie zarazy należałoby mieć zawsze przy sobie małą flaszeczkę tegoż lekarstwa.

Sama tylko ciemiężyca biała i miedź lita są lekarstwa zarazem wzbraniające przystępu cholerze i leczące ją.

Nareszcie Cholera 1865 r. w porównaniu z dawniejszemi, nie jest jak bardzo mocną choleriną, której doktorzy, jeżeli na czas są zawołani, łatwo dać radę potrafią, skoro lekarstw wyżej wspomnionych użyć zechcą. *Dr Alfons Maurice.*

Dr. Worms, naczelny lekarz Szpitala Weteranów Gros Cailloux w Paryżu zaleca:

Za napój: 26 granów lub $^3/_4$ drachmy lub 1 drachmę kwasu siarkowego na 2 funty wody zwyczcjnej, lub cukroleku zwyczajnego, lub cukroleku malinowego.

Przeciw biegunce: 1 drachmę lub $1\,^1/_4$ kwasu siarkowego stężonego z $^1/_4$ funtem odwaru salepowego osłodzonego.

Chory ma wypić co godzinę szklankę tej lemoniady. Za każdem wypiciem ma wypłukać sobie usta dwa lub trzy razy; bardzo rzadko zdarza się ażeby czwartej miał potrzebować szklanki.

Pozwala się pić dowoli wino najwięcej szampańskie, lecz strzedz się piwa i wódki.

Przeciw Cholerze.

Ażeby chory zostawał w stanie zupełnego spoczynku. Nie robi się nacierań, jak tylko w chwili kiedy tego boleści pochodzące z kurczów wymagać będą. Co godzina bierze szklankę limoniady, złożonej z 1 drachmy 5 granów kwasu siarkowego na kwartę wody. Najlepsza chwila do picia jest po wymiotach. Chory może pić dowoli wina, a jeżeli być może szampańskiego.

Muszę zwrócić uwagę, że limoniada co ma własność wstrzymywania gwałtownych odchodów, przeciwny zupełnie sprawia skutek w wymiotach, bo je przeciąga i wywołuje. Lecz właśnie to stanowi dobrą jej stronę, bo w ogóle wskazuje szczęśliwy obrót choroby.

Recepta przeciw Cholerze.

Essencyi miętowej trzy krople.
Tinktury Szafranu $^2/_3$ drachmy.
„ Quinquiny 3 drachmy 20 granów.
„ Curaçao 3 drachmy 20 granów.
Alkoholu na 33° 1 łut i $^1/_2$ i 30 granów.
Wymięszać dobrze i dodać:
Syropu cukrowego 1 łut i $^1/_2$ i 30 granów.
Wody zwyczajnej 3 łuty i $^1/_2$.

Rady ogłoszone urzędownie przez Służbę lekarską w Paryżu.

1. Rano i wieczór wypić szklankę zwyczajnego wina, w którem jednakże wymoczyć należy przez kilka godzin $^3/_4$ łuta drzewa kwassyowego w kwarcie wody i dolewać cokolwiek do kieliszka wina.

2. Nie zmieniać bynajmniej swego sposobu życia oprócz że należy się wstrzymywać od jedzenia lodów i od picia piwa, i innych oziębiających żołądek ani pokarmów ani napojów nie używać.

3. Kawa w znacznej ilości wody wygotowana, z cokolwiek do niej przyłączonego araku, lub zwyczajna limoniada, najstósowniejszemi są napojami.

4. Nieprzebywać nocy bezsennych; strzedz się napojów i lekarstw drażniących, zwłaszcza owych wódek anti-cholerycznych (tak nazwanych przez szarlatanów) co nabawiają zapalenia żołądka tych, którzy ich używają w dobrej wierze ustrzeżenia się od Cholery.

5. Kiedy się zacznie być słabym, kiedy niknie apetyt, kiedy narządy trawienia zaczynają napotykać opór, głowa ciężką być zaczyna i uczuwa się boleści w członkach ciała, należy natychmiast wziąść na łagodne przeczyszczenie, nie pigułki Morizona i t.p. lecz lekarstwo następne:

3 drachmy 20 granów siarkanu sodowego we filiżance rumianku włoskiego.

6. Jak nadejdzie biegunka, wziąść natychmiast enemę, do której dołącza się sześć kropel opium płynnego i łyżeczkę krochmalu.

Jesteśmy pewni, że każdy atak Cholery ustąpi przed temi naturalnemi środkami; jeżeli zaś nie, to zawołać lekarza.

NB. A ponieważ choroba najwięcej się rozszerza przez oddychanie wyziewami zabójczemi, które z wymiotów i biegunki pochodzą, a zatem potrzeba naprzód przysposobić naczynia, w które owe odchody idą, wrzucając w nie następną kompozycyją:

Pyłu z węgli drzewnych 2 funty.

Siarkanu żelaza 2 łuty.

Siarkan żelaza utłuc na mąkę (lub w płynie) zmięszać z pyłem węglowym.

Co się tyczy odświeżenia pokoi, bierze się łyżkę kwasu karbolowego do szklanki wody i tem się skrapia podłogę.

A w ogóle kiedy członki ziębnąć zaczynają, urządzić sobie aparat, za pomocą którego możnaby obficie oddychać gorącą parą, nasyconą miętą.

UWAGA. W ostatnich czasach Cholery w Paryżu spostrzeżono się, że ludzie co zostali biegunką ruszeni (a biegunka łatwą jest do wyleczenia) a takową zaniedbali, niebawem Cholerą zaatakowani zostali.

Ostatnia a najważniejsza uwaga.

Badacze uczeni stwierdzili, że brak zupełny, lub zbyt mała ilość Ozonu w powietrzu w czasie Cholery epidemicznej, jest przyczyną takowej; dla wygody osób interesowanych podaje się łatwy, tani a pewny sposób wytwarzania Ozonu, który tak ważną gra rolę w tej strasznej pladze na ludzkość.

Weź Fosforu łut jeden, wrzuć do flaszy (gąsiorem zwanej), w której znajduje się pół łuta wody zwyczajnej, zatkaj szczelnie korkiem i postaw w miejscu chłodnem — po upływie 6 godzin korek wyjmij, a wywiązany Ozon parciem powietrza wypchany, rozejdzie się w pokoju; powtarzaj to, ale dolewaj cokolwiek wody do flaszy w miejsce spotrzebowanej przez działanie fosforu i dla bezpieczeństwa by się takowy nie zapalił.

Poty lekarstwem na Wodowstręt (Wściekliznę).

Pan Buisson doktor przywołany na ratunek osoby dotkniętej wodowstrętem już w ostatnim stopniu, puścił jej krew i obtarł sobie ręce chustką napojoną śliną umierającego. Na palcu wskazującym ręki lewej miał małą ranę otwartą, o której przypomniał sobie — uznał natychmiast swoje nierozsądne po-

stępowanie, lecz zaufany w środek leczania tej choroby świeżo przez siebie odkryty, poprzestał na obmyciu rąk wodą.

Sadząc że choroba, mówi pan Buisson, dopiero po czterdziestu dniach się objawia, a mając wiele chorych do opatrywania, odkładałem z dnia na dzień użycie mojego środka, to jest łaźni parowej. Dziewiątego dnia znajdując się w moim gabinecie, poczułem nagle gorącość w gardle, a jeszcze większą w oczach; ciało moje zdawało mi się tak lekkiem, że sądziłem iż podskoczywszy uniosę się do nadzwyczajnej wysokości, i że rzucając się oknem utrzymam się w powietrzu; dostałem takiego uczucia we włosach, że zdawało mi się że je policzyć mogę bez widzenia; ślina bezustannie wypływała mi z ust, powietrze spawiało mi okropny ból i unikałem widoku wszelkich przedmiotów błyszczących, ciągle chętka mnie brała do biegania i gryzienia nie ludzi, lecz zwierząt i wszystkiego co mnie otaczało. Piłem z odrazą i spostrzegłem, że widok wody był mi nieznośnym i więcej mi dokuczał niż ból gardła; zdaje mi się że chory na wściekliznę może pić wodę mając oczy zamknięte. Napady trafiały mnie od pięciu do pięciu minut, a natenczas czułem że boleść rozpoczyna się od palca wskazującego i rozciąga przez całe nerwy aż do ramienia.

Sądząc że mój środek jest jedynie zaradczym, a nie zupełnie i dokładnie leczącym, wziąłem łaźnią parową nie w myśli zupełnego wyleczenia się, lecz jedynie aby się udusić. Skoro tylko stopień gorąca doszedł 52 stopni Celsiusza, wszystkie poprzednie oznaki choroby znikły jakby zaczarowane, a od tego dnia nigdy więcej nic podobnego nie doznałem. Leczyłem przeszło ośmdziesiąt osób ukąszonych przez wściekłe zwierzęta a wszystkie opisanym przezemnie sposobem uleczonemi zostały.

Skoro tylko osoba zostanie ukąszoną przez psa wściekłego, niechaj natychmiast użyje siedm kąpieli parowych od 57 do 63 stopni Celsiusza. To będzie środkiem zabezpieczającym. Gdy zaś choroba się wywiąże, nie potrzeba więcej jak jednę kąpiel o 37 stopniach, ale to natychmiastową, która pomału aż do 63 stopni podnoszoną być winna; chory winien pozostać zamkniętym w pokoju, póki zupełnie nie będzie uleczony.

Doktor Buisson przytacza jeszcze kilka ciekawych wypadków:

Pewien Amerykanin został ukąszony przez grzechotnika na ośm mil około od swego zamieszkania; chcąc umrzeć na łonie rodziny, biegnie do domu, kładzie się do łóżka, poci się bardzo a rana zagoiła się, jakby była prostem nic nieznaczącem skaleczeniem.

Ukąszenie tarantuły leczy się przez taniec; pot rozprasza truciznę. Zaszczepiwszy dziecięciu ospę, a potem dając mu łaźnię parową, materyja wcale skutku żadnego nie wywiera.

Choroba bydła (Tyfus epizootyczny).

Ambasador angielski w Petersburgu pisze co następuje do hr. Russela ministra:

„Milordzie! Anglik gospodarz, długi czas zamieszkujący środkowe kraje cesarstwa rosyjskiego, napisał list do mnie, upraszając o publikowanie go w wielkich rozmiarach w Anglii, bo chodzi o leczenie zwierząt dotkniętych grasującą zaraza. Utrzymuje on, że to po raz drugi, w różnych wypadkach sposobu tego używał a zawsze z najpomyślniejszym skutkiem. (podpisano) *Andrew Buchanan.*“

Otóż słowa owego listu:

„Talnoe 8. Paźdź. 1865.

Panie!

Bądź łaskaw dla dobra publicznego ogłosić lekarstwo niezawodne przeciw Tyfusowi epizootycznemu, który w tej chwili dziesiątkuje zwierzęta w Anglii.

Wczasie wojny krymskiej, skoro zaraza ta wszczęła się na Ukrainie, lekarstwo to u mnie tak zbawien-

nie skutkowało, że na 600 rogatego bydła nie straciłem jak sześć od sta.

Oto jest owo lekarstwo:

Od samego objawienia się choroby to jest schnienia skóry, bydlę powinno zostać zaprowadzone do łaźni parowej, i silnie pocierane po całem ciele.

Gorącość łaźni nie powinna być jednakże taka, ażeby oddychanie zwierzęciu tamować miała.

Pod mocnem nacieraniem jednakże zwierzę oschnąć powinno. Potem należy go okryć dekami wełnianemi i postawić w miejsce na przebiegi wiatrów nie narażone, bo przedewszystkiem nadzwyczajnie strzedz się należy, ażeby bydło zaziębienia unikło. Ten warunek jest najważniejszy, i na nim polega wyleczenie.

Za napój służyć mają napoje chłodzące, a jadło łatwe do strawienia dawane być ma.

Ten sposób leczenia tak łatwy, już po dwa razy uchronił mnię w Rosyi od wielkich strat. Przebyłem lat 13 w Meklemburgskiem, a 16 ostatnich w Rosyi, gdzie zostawałem jako dyregujący wielkiemi dobrami hr. Boryńskiego.

Po krótkiem wydaleniu się za granicę, powróciłem do Rosyi i wydzierżawiłem ziemie od hr. Szuvaloffa. Oba majątki te znajdują się w gubernii Kijowskiej. Bardzobym sobie życzył, ażeby tak łatwy sposób leczenia, stał się o tyle użytecznym moim rodakom w Anglii, o ile on był błogim mnie samemu.

Łaźnia parowa, którą urządziłem, składała się z izby zwyczajnej dosyć obszernej, ale której podłoga zbudowaną była w planie pochyłym, to jest że od wchodu bydlę szło pod górę, ażeby dosięgnąć gorętszej temperatury.

Parę zaś gorącą otrzymywałem, lejąc wodę na blachy poczerwieniałe, w murowane w piec umyślnie na to wybudowany, ale kiedy już izba ogrzaną była 35 stopni Reamura.

Ostrzeżenie.

Oto przytaczamy czyn, który dowodzi że bydlęta się zarażają przez najmniejsze zbliżenie:

Pewien konował w Heinaut (Belgii) przywołany został do folwarku przez właściciela, a kiedy tamże na wypadłem bydlęciu robił obdukcyją dla spostrzeżeń, w tejże samej chwili wpoblizkiej stodole wszystko bydło zarażonem zostało i natychmiast dobić je musiano.

Podobne przykłady często się powtarzają i przekonywują raz na zawsze, że choroby pozbyć się niepodobna, jak przez nadzwyczajną czujność, i to zamykając wszelkie kanały najstaranniej, któremiby zaraza wedrzeć się zdołała.

Obserwacyje powietrzne.

Z powodu przepowiedzeń Mathieu de la Drôme i jego spadkobierców, mówiono że i Marszałek Bugeaud w swoim czasie znakomity gospodarz, tenże system posiadał.

Lecz system Matthieu de la Drôme polega na przepowiedzeniu długi czas naprzód wichrów i burz. A zaś Marszałka Bugeaud polega na obserwowaniu kilku dni następujących po nowiu księżyca, ażeby przewidzieć jaki czas będzie podczas całego przebiegu księżyca.

Szperając w starych szpargałach po Hiszpanii, będąc jeszcze Marszałek kapitanem, odkrył manuskrypt zajmujący system przepowiedzeń. Zdziwił się niezliczonym postrzeżeniom, które posłużyły do ułożenia tej reguły.

Były to spostrzeżenia lat 50ciu, czyli sześciuset przebiegów księżyca.

Oto jest wykład tej metody, dla osób które je nie znają.

Czas 11ście razy na 12ście w całym przebiegu księżyca będzie takim, jakim był dnia 5go po nowiu, jeżeli 6sty dzień był podobny piątemu.

9 razy na 12cie jak 4go dnia, jeżeli 6ty dzień jest podobny 4mu.

A więc dzień 6ty jest zasadą przepowiedzeń.

Gospodarz zawołany pan de Conniek, który wiele zrobił dostrzeżeń w tym przedmiocie, przyznał, że reguła Marszałka Bugeaud sprawdzała się ośm razy na dziesięć.

ROZMAJTOŚCI.

Żebrak.

— Oto kawałek chleba i sera, sąsiedzie Wojciechu, lecz teraz spiesz się i uchodź, aby cię mój mąż nie spostrzegł, a tembardziej się nie dowiedział, że ci dałam jałmużnę, boby nam to obojgu kością w gardle stanęło. Wiesz dobrze, że my kobiety we wsi wszystkie najsurowsze polecenie od naszych mężów otrzymałyśmy, aby was odpędzać, gdybyście żądali datku i nie słuchać was, tak jak to wy niegdyś... ale dajmy już temu spokój — odchodźcie nie chcę z wami dłużej rozmawiać i życzę wam ze względu na waszą żonę, chociaż i ona... niech mi to Bóg przebaczy, i z litości nad waszemi nagiemi dziećmi — poprawy losu na przyszłość.

Obok takich lub im podobnych wyrazów, częścią opatrywano datkiem żebraka Wojciecha we wszystkich drzwiach we wsi, częścią też z próżnemi rękami odpędzano, pomimo że w smutnej jego wędrówce towarzyszyło mu dwoje na wpół nagich łachmanami okrytych drobnych dzieci, tudzież jego żona, która trzecie w wielką chustkę zawiązane na plecach niosła.

Wreszcie po wielkich trudach dostali się na koniec wsi. Tam w szczerem polu stała nizka z gliny ulepiona chata, w której zaledwo jedna osoba wyprostowaną stanąć mogła, a która każdej chwili groziła zawaleniem się. Dach słomiany na wszystkie strony był podziórawiony i smutnie chylił się do ziemi; kawałki szkła poklejone brudnym papierem, wskazywały miejsce, gdzie niegdyś było okno; drzwi wcale nie było — i do tej to nędznej chaty, której powierzchowność już dowodziła stanu i położenia mieszkańców, wplezła się a nie weszła politowania godna rodzina, aby część wyżebranej żywności spożyć, resztę zaś przechować w dole, który na ten cel w jednym kącie chaty był wykopany.

— Musimy opuścić to miejsce, musimy daleko, bardzo daleko stąd się oddalić, rzekł Wojciech pełnym boleści głosem, po spożyciu szczupłej wieczerzy, po uśpieniu się dzieci, które w jednym kącie w kłębek zwinięte położyły się, on zaś znużony usiadł na snopku słomy, służącym mu za łoże.

— Już tego ścierpieć nie mogę, żeby te kobiety, które w ostatniej jedynie potrzebie o datek prosimy, datek ten jeszcze nam ostremi wymówkami gorzkiem robiły, żeby wszyscy ci mężowie, którym przecież w rzeczywistości przez mój upór żadnej szkody nie przyniosłem, mnie jakby zbrodniarza od siebie odpychali i zaledwo dozwalali mi oddychać powietrzem około nich będącem. Uchybiłem wprawdzie, zasłużyłem na karę, lecz czyż mnie już nie dosyć ciężko dotknęła kara Boża, żeby i bliźni mieli jeszcze prawo przywłaszczania sobie mocy dalszego przedłużania i zaostrzania tej kary? Czyż to nie dosyć dla nas nięszczęścia, że wciągu jednego roku z zamożnego włościanina, który posiadał bydło, pola i łąki, zmieniłem się w włóczęgę, w żebraka? Cóż to jednak tych ludzi obchodzi? Przecież nikogo nie okłamałem, nikogo nie oszukałem, przez mój upór przepadło jedynie moje własne mienie! Nie chcą mi dać roboty, brakuje mi na środkach osiedlenia się w innej okolicy, a nie chcą mi ich udzielić naprzód; sam jeden nie mogę ztąd odejść na szukanie chleba, bo cóżby przez ten czas żona moja i biedne dzieci robiły? Prócz tego zaś zakazali jeszcze swojem żonom, aby nam ani kawałka chleba nie podały. Musimy przeto zginąć, zamrzeć z głodu w oczach tych bez serca ludzi. A tego wszystkiego, całej tej nędzy, całego tego nieszczęścia, jakiż jest powód? Jedynie ten że nie chciałem ich słuchać i nie zabezpieczyłem mojego bydła wówczas gdy to wszyscy mieszkańcy wioski uczynili. Zobaczmy — rzekł po małej chwili — na czem polega moja zbrodnia!.. W mieście K... zawiązało się Towarzystwo ubezpieczenia naprzeciw zarazie bydła, zdaje mi się pod nazwą „Apis"*). Pochwały godnym celem stowarzyszenia było — jak

*) *Apis* sławne bożyszcze Egipcyjan, był to wół przedstawiany z księżycem na głowie, a to z powodu że go księża egipscy po plamach do księżycowych podobnych na jego ciele znajdowanych wyszukiwali.

o tem zapóźno niestety przekonałem się, zapewnić właścicielowi posiadłości włościańskiej posiadanie najpotrzebniejszego a ztąd najdroższego dla niego skarbu to jest bydła w ten sposób, iżby wrazie całkowitej utraty tegoż, czyto wskutek zarazy lub z innej przyczyny, szkodę miał ile możności wynagrodzoną. Ja w oślepieniu nie zapoznałem szlachetności przedsięwzięcia i powstałem przeciwko takowemu. — Jeden z Agentów Towarzystwa przybył do naszej wioski, wójt kazał nam się zgromadzić i przedstawił jego żądania, tudzież warunki, pod jakiemi bydło nasze miało być zapewnionem. Wszyscy we wsi nieposiadali się od radości, wszyscy jednomyślnie zgodzili się na żądanie agenta, i tego samego dnia jeszcze nie było ani jednej sztuki we wsi, któraby nie została zapewnioną. Ja tylko jeden na moje nieszczęście byłem omamiony przesądami; nazwałem całe postępowanie zesłanej osoby oszustwem, wydzierstwem pieniedzy; w zaślepieniu przezywałem ludzi, którzy do zabezpieczenia przystępowali bezbożnikami, co ośmielają się powstawać naprzeciw Woli i Wyrokom Boga. Ja głupiec! ja tylko jeden nie zabezpieczyłem mojego dobytku, sądząc że ja tylko jeden jestem rozumnym i nieoszukanym. Nie pomagały nic namowy proboszcza ani wójta, żadne nalegania ani groźby włościan — uporczywie trzymałem się mojego zdania i przez wiele miesięcy drwiłem sobie i wyśmiewałem sąsiadów z powodu że musieli płacić wkładki, które ja oszczędzałem. Przez takie złośliwe i uporne postępowanie zciągnąłem na siebie nienawiść wszystkich moich współmieszkańców we wsi; unikali mojego towarzystwa i wszędzie odemnie stronili, a gdy pomimo tego nie przestałem ich ścigać mojem szyderstwem, zawarli naprzeciw mnie związek zaprzysięgając wzajemnie na przyszłość cokolwiekby nastąpić mogło, czy to w nieszczęściu czy w szczęściu ze mną się nie łączyć, i w każdym wypadku odemnie stronić, tak jakby mnie nigdy nie byli znali, jak od człowieka mieszającego spokojność publiczną, pogardy godnego zbrodniarza! Nie dbając o to wszystko co się około mnie działo, mało ceniłem ich pogróżki. Miłość własna i duma, zagłuszyły mnie i zaślepiły, ztąd też i nie minęła mnie słuszna za to kara. — Codziennie gazety nowe przynosiły wiadomości o rozszerzaniu się zarazy bydła w naszej okolicy; drżałem skoro tylko słowo o tem w mojej obecności wyrzeczonem zostało, trwoga niepojęta opanowała mnie, skoro posłyszałem o niezliczonych ofiarach, które co godzina tej okropnej chorobie ulegały. Przez ten czas inni włościanie tej włości pozostawali spokojnymi i dobrej myśli w tem przekonaniu, że są ilemożności zabezpieczeni przeciwko wszelkiemu nieszczęściu; tak stałem odosobniony z moją obawą i trwogą, które tem więcej mnie dręczyły, że sumienie własne oskarżało mnie, iż jestem sam przyczyną takowych! — Niestety! nader prędko ziściły się moje przeczucia i już było zapóźno żałować uporu, który mnie do żebractwa doprowadził. Zaraza rozszerzyła się najokropniej i zabrała w naszej wsi również wszystko bydło. Ani jedna stajnia nie została oszczędzoną; strasznie było patrzeć, jak ta przerażająca choroba, pomimo wszelkich naprzeciw niej użytych środków, coraz to więcej się rozszerzała. Wszyscy chodzili wybladli i pomięszani a ja pozbawiony wszelkiej pociechy byłem w rozpaczy. — Po dwóch dniach zostałem dziadem! Gdy zaraza ustała i ostatni jej ślad zniknął, przybyli agenci Stowarzyszenia asekuracyjnego i rozdzielili znakomitą pomoc pieniężną, wskutek której włościanie byli postawieni w możności zakupienia dla siebie świeżego bydła. Przez to zapełniły się napowrót opróżnione stajnie pomału; roboty które wskutek braku bydła długo spoczywały, rozpoczęły się nanowo. Powróciło odmłodzone z nową siłą życie do wsi i wszystko zostało czynnem i wesołem. Cóż się jednak przez ten czas stało ze mną? Byłem samotny, odosobniony — nikt się o mnie nie troszczył. Za drobnostkę, którą moi sąsiedzi Stowarzyszeniu asekuracyjnemu opłacali, otrzymali zupełne wynagrodzenie poniesionej przez zarazę straty. Dla mnie tylko jedynie nie było pomocy. Sąsiedzi teraz szydzili ze mnie nawzajem; agenci którymi tak nikczemnie pogardziłem, przechodzili koło mnie wzruszając ramionami; nikt nic mi nie wynagrodził — musiałem zaprzestać robót około roli, bo nie miałem bydła, ztąd też i gospodarstwo moje szybko upadło. Natenczas w rozpaczy począłem trwonić jeden po drugim kawałek ziemi, aby tylko za pieniądze ze sprzedaży takowych pochodzące kupić bydła; nic jednak mi się nie chciało udać. Wskutek rozszerzonej w dalekie okolice zarazy, ceny bydła nadzwyczaj poszły w górę, a szczególniej bydła w dobrym gatunku; tych cen nie byłem w możności zapłacić, a przeto musiałem poprzestać na kupnie bydła gorszego, z którem również nic podołać nie mogłem. Wkrótce nieukontentowanie i wyrzuty sumienia uczyniły mnie niezdolnym do wszel-

kiej pracy; począłem uczęszczać do szynków — sądziłem że wódka i hulanka mnie rozerwą i że przez to zapomnę o mojem nieszczęściu. W ten sposób jedna rola po drugiej znikała, w końcu przyszła kolej i na moje domostwo, tak, że dziś zostałem włóczęgą — żebrakiem, który samym sobą pogardza, bo widzi jak żona i dzieci obok niego z jego przyczyny z głodu umierają, a nie jest wstanie przynieść im pomocy. Nikt nie chce mnie przyjąć do roboty, te nawet dary, przez które życie nasze utrzymujemy, muszę pokryjomu niemal kradzionym sposobem u wiejskich kobiet wyżebrać, bo mężowie za to by mnie skrzywdzili — oni bowiem zaprzysięgli się na mnie! — Precz przeto, precz z tych stron, w których tak nieszczęśliwy zostałem — precz! precz ztąd! — krzyknął Wojciech głosem waryjata, przebudzając w ten sposób żonę i dzieci, poczem jakby szalony wybiegł na pole.

Tu znalazł wójta stojącego przy wchodzie do jego chaty, tak że zaledwo go nie wywrócił.

— Wojciechu, rzekł tenże spostrzegłszy go, już od pół godziny stoję tu przed wejściem i słyszałem twoje żałosne słowa. Żal mi cię nie tylko z powodu twej nędzy i ubóstwa, ale szczególniej dla tego, że trapisz się wyrzutami własnego sumienia, iż sam jesteś przyczyną swojego nieszczęścia. Dla tego postanowiłem odwołać rzuconą na ciebie klątwę, i jeżeli zechcesz oddać ci opiekę nad moją rolą. Chodź do mnie do domu z żoną i dziećmi — wiesz że jestem majętny i że znajdzie się tam dość miejsca dla nas wszystkich; zostańcie u mnie dopóty, póki wam tylko podobać się będzie i póki nie zdołacie tyle sobie zaoszczędzić, aby własne rozpocząć gospodarstwo, ja zaś chętnie wam we wszystkiem dopomagać i wspierać was starać się będę.

Uszczęśliwiony tą propozycyją i do głębi serca wzruszony Wojciech, ujął za rękę poczciwego wójta, uściskał ją, okazując przez to, nieme podziękowanie.

Wojciech zostawszy czynnym i pracowitym robotnikiem, wkrótce znowu został samodzielnym i postanowił na przyszłość wszelką swoją własność, jakiejkolwiekby ona była wartości, zabezpieczyć w Stowarzyszeniach w tym celu w kraju istniejących.

(tł. J. E.)

Basza słabych nerwów.

Przed kilku laty rezydował w Bejrucie Basza, któremu nic przeciwniejszego nie było, jak hałas lub łoskot jaki. Zdawał się mieć drażliwsze nerwy od słabowitej panienki jakiej. Słabość nerwów robiła go nawet tyranem. Wpobliżu jego pałacu mieszkała uboga wdowa, mająca dziecko małe, które często krzyczało. Basza cierpiał to czas jakiś, ale w końcu rozkazał swym ludziom kobietę z domku wyrzucić. Mimo oporu kobiety rozkaz wykonano, i miesiąc cały stała warta u drzwi, żeby powrotowi kobiety z krzyczącem dzieckiem przeszkodzić.

Gdy Basza przechodził raz przez plac targowy, posłyszał kota żałośnie miauczącego wblizkości jatki rzeźniczej. Stanął i poglądał na rzeźnika z wyrazem wyrzutu, któren się potrochu w gniew potęgował. Rzeźnik drżał nie wiedząc w czem uchybił, i mniemał że mu głowę utną. Basza posiniał ze wściekłości na taką zatwardziałość rzeźnika i wykrzyknął gniewnie:

— Dla czego nie nakarmisz kota?

— Błagam Waszą Ekscellencyją o przebaczenie, nie widziałem go.

— Ale teraz go widzisz?

— Widzę Ekscellencyjo.

— Paś go! krzyknął Basza.

— Natychmiast. Proszę Boga i Waszej Ekscellencyi o przebaczenie, żem to zwierzę zaniedbał.

I gorliwie odrzynał spore kawałki mięsa dla starego kota, wielce ucieszony, że to nie o jego uszy chodzi. Basza poważnie stał przy tem i przypatrywał się jak żarłoczny zwierz kęs po kęsie połykał.

Potem ozwał się do rzeźnika:

— Żebym głodnych kotów na przyszłość przy tobie niewidywał. Nie chcę więcej kociej muzyki w mojem mieście. A obróciwszy się do swoich sług, dodał:

— Zanieście kota na jaki odpływający okręt, dajcie mu strawy na drogę, i niech już nie wraca.

Rozkaz ten rzeczywiście wykonano; arabski okręt zabrał kota do Cypru, i ten już na szczęście w Bejrucie nie dał się więcej słyszeć.

I ryk osła drażnił Baszę jak najdolegliwiej. Kazał go wraz z właścicielem internować w Tyrze.

Najstraszliwszą mękę sprawiały Baszy ciągle rechtające żaby w sadzawce przy murze miejskim. Na nie wysłał sługi swoje z rozkazem wyłowienia co do jednej, jakoż niebawem wielką ilość tych krzykaczy zniesiono.

— Ekscellencyjo, meldowano Baszy, żaby są ale cóż z niemi robić?

— Powiesić wszystkie, odrzekł Basza, niech podyndają, jak Europejczycy robią ze złodziejami.

Niezadługo wisiały w rzędach na długich sznurach między drzewami ogrodu te zielone trubadury, wierzgając i podrygając z nieporównaną wytrwałością.

Król pruski i para butów.

W marszu do Spandau 7go pułku Brandeburskiego powracającego ze Szlezwiku, chłopiec od szewca u którego kwaterowali żołnierze, znalazł po ich odejściu nazajutrz rano w izbie gdzie nocowali, parę butów. Sądząc że do nich należały, pobiegł czemprędzej za niemi, ażeby je im oddać. Zastał jeszcze wprawdzie pułk na placu, lecz w szeregach nie mógł rozpoznać tych, których szukał. Nie długo myśląc, wrzucił buty w stojący obok pułku furgon, mówiąc sobie:

— Ten do kogo należą pozna je, i weźmie sobie.

I powrócił do domu z rozkoszą, jaką sprawia spełnienie dobrego uczynku. Lecz jakież było jego zadziwienie, kiedy został przywitany pocięglem od majstra, za to że zabrał buty jednemu z robotników, i że je zapłacić musi.

Na chorobę cieżką trzeba lekarstwa nielada; bierze się więc śmiało do dzieła i pisze list który się kończy temi słowy:

„Kochany Panie Królu! Znajduję się w ostatniem nieszczęściu; dowiedz się też Pan w 7mym pułku Brandeburskim, co się stało z butami, i odeślij je też pan naszemu robotnikowi.“

List doszedł króla, i w kilka dni później niewinny chłopak odebrał uwiadomienie z Berlina, że Najjaśniejszy Pan buty zapłaci.

To co innego...

Przed niedawnem czasem toczył się między dwoma stronami proces o studnią. Jeden z adwokatów tak długo mówił, że go Prezes napomniał, aby dla tej drobnostki daremnie zbyt wiele czasu sądowi nie zabierał. Na to odpowiedział adwokat:

— Darujesz panie Prezesie, idzie tu o wodę, a obie sporne strony handlują winem.

— Ah! to co innego! odrzekł Prezes, domyślając się na co handlarzom winem woda jest niezbędną.

Pies i żona.

W przeszłym roku w Londynie na Old-Kent road jakiś Irlandczyk oprawiał srogo biedną psinę, co mu potargała spodnie wyżej łydek. Świadek tego Inspektor towarzystwa protekcyjnego dla zwierząt, ujął Żaka (tak Anglicy nazywają Irlandczyków) za kark jedną, psa drugą ręką i wszyscy trzej pośli do najbliższego sędziego policyi.

Inspektor opowiedział co widział. Nasz Żak bronił się wymownie wskazując tylko palcem na część ciała uszkodzoną. Sędzia rzecz zważywszy skazał Irlandczyka na miesiąc więzienia do ciężkich robót.

W godzinę później przyprowadzono przed tegoż samego sędziego czeladnika piwowarskiego, który tak zbił żonę, że ją na wpół umarłą zostawił na podłodze. Tenże sam sądzia skazał go na pięć szylingów (10 złp.) kary.

Wilk i matka.

W małym domku jednej wsi departamentu Ardenne, biedna robotniczka koronek, zajmowała się przyrządzeniem papki dla dziecięcia, które spoczywało w kolebce. Wtem otwierają się drzwi — przy świetle ogniska spostrzega ogromnego wilka, co się zbliża ku kolebce.

Na ten widok kobieta słyszawszy że ogień odstrasza to żarłoczne stworzenie, chwyta za głownią rozpaloną — staje między kolebką i okrutnym zwierzem. Lecz już było zapóźno, bo wilk porwał dziecko, i uciekając uniósł je w swej paszczy.

Nieszczęśliwa matka ściga go krzycząc przeraźliwie; już wilk miał zniknąć, kiedy na skręcie drogi pokazało się trzech ludzi wracających z roboty, których przyzwała na pomoc.

Rzucają się wszyscy, ażeby wydobyć dziecko z paszczy wilka — walka trwała długo, zwłaszcza dla biednego małego. Bo mimo największej ostrożności, obrońcy nie mogli się uchronić od ranienia dziecka, zadając ciosy wilkowi, który nie chciał opuścić swej zdobyczy.

Nareszcie zabito wilka; matka trzymając przytulone swe dziecię do piersi, spostrzega światło złowieszcze błyszczące przed jej oczyma; była to jej chata otoczona płomieniami.

Głownia zapalona którą wyrwała z komina do obrony, potoczyła się pod kolebkę i ztąd ogień się wszczął.

Wszyscy mieszkańcy z okolicy przybiegli na pomoc; ugaszono wprawdzie ogień, lecz wszyskie ruchomości się spaliły.

Zrobiono natychmiast składkę na pierwsze potrzeby dla matki i dziecięcia — i uchwalono przytem, że każdy mieszkaniec z okolicy poświęci na wiosnę jeden dzień pracy na odbudowanie domu.

Złodzieje okradzeni.

Patrick Davis dzierżawca ze wsi Olena niedaleko Burlington (w Nowym Jorku) udał się na zachód tego stanu w celu obejrzenia posiadłości do nabycia. Ułatwiwszy swe czynności wsiadł do powozu i wracał do domu.

Na drodze napotkał trzech ludzi, którzy go prosili, ażeby ich zabrał do blizkich chat, gdzie zamieszkują. Chętnie zezwolił na to bez żadnego podejrzenia. Po niejakim czasie jak przejeżdżali przez pustą równinę, ci ludzie cisnęli się na biednego Dawisa, strasząc go pistoletami, i wkrótce usłyszał stare lecz straszne słowa:

— Pieniądze albo życie!

Biedny dzierżawca wołał poświęcić pierwsze a ocalić drugie, i wręczył im 240 dolarów, które posiadał. Lecz okradziony był to Irlandczyk dowcipny do najwyższego stopnia; ułożył natychmiast plan, jakby odebrać swoje i pomścić się za wyrządzonego figla.

— Dziwny kraj jednakże! wykrzyknął. Słyszałem wprawdzie o złodziejach co jedni drugich kradną; no to rozumiem, robi się to dla wprawy ręki; ale pierwszy raz widzę trzech członków jednej bandy, łupiących czwartego ich kolegę.

— Jakto? zawołali bandyci, co chcesz przez to powiedzieć?

— Zaprzeczycie może ze znacie kapitana Logan?

— Nie. Ale do czego zmierzasz.

— Do tego: że kapitan z ryżą brodą, ślepy na lewe oko, jest moim i waszym dowódzcą, i że to za jego rozkazem pódróżuję.

— A więc musisz wiedzieć jaki ma przydomek?

— The furet (łasica) odpowiedział Irlandczyk bez namysłu.

— A więc jesteś z naszych, wykrzyknęli bandyci; ale jak to być może że się nie znamy?

— Jest jeszcze wielu innych, co wy nie znacie. Znacież wy przynajmniej miasto Burlington?

— Tak, z nazwiska, aleśmy w niem nigdy nie byli; mimo tego odebraliśmy naszą część łupu z pewnej wyprawy...

— Ale ja tam byłem, ja! wykrzyknął żywo Irlandczyk, ja ztamtąd mieszkam niedaleko; nie znacie mnie, lecz to nie przeszkadza ze jestem z waszych. Szkoda to wielka tylko, że biedny Bob był powieszony wskutek jej wyprawy.

— A więc, powiedział jeden z bandytów, skoro jesteś z naszych odbierz twoje pieniądze.

Irlandczyk nie dał się prosić dwa razy.

Ażeby zrozumieć dla czego Patrick Dawis, najpoczciwszy człowiek z hrabstwa był tak obznajmionym z temi wszystkiemi szczegółami, trzeba dodać, że właśnie należał do sądu przysięgłych, który skazał Boba (jednego z bandy) na powieszenie; i to zasiadając w tym procesie, dowiedział się o przydomku kapitana, jako też o jego wierzytelnym rysopisie.

— Nie znalazłobyż się tu co do roboty w okolicy? zapytał jeden ze złodziei.

— Ba! tak, odpowiedział Patrick, jest tu we wsi Olena trzech albo czterech bogaczy; jeżeli chcecie mi pomódz to nałapiem talarków.

Zgodzono się. Nazajutrz o godzinie dziewiątej wieczór mieli się zebrać trzej przyjaciele i postanowić kroki stanowcze do przedsięwziętej wyprawy na noc przyszłą.

Przybywszy do Olena Patrick pospieszył uprzedzić trzech bogatych dzierżawców, których był mianował złodziejom; uradzono sposoby wciągnięcia bandytów w łapkę, i zgładzenia ich natychmiast bez żadnej innej formy procesu; bo to najpewniejsze, jak mówił jeden z dzierżawców.

W dzień oznaczony Irlandczyk poszedł szukać swoich mniemanych kolegów; znalazł ich w towarzystwie jakiegoś wielkiego drąba, co już często ocierał się o szubienicę, i co był postrachem okolicy.

Dom pana Brooks najbogatszego z kantonu, był wybrany na tem zgromadzeniu za cel wyprawy. Uradzono że trzej bandyci zaczają się, i kiedy Davis co jest znany od pana Brooks zasztuka, drzwi się otworzą, a oni cisną się w dom gwałtownie nim służący zdąży go zamknąć.

Wszystko odbyło się punkt w punkt podług umowy. Pan Brooks ze swojej strony zebrał sąsiadów dobrze uzbrojonych, postawił ich w przybocznym pokoju swojej sypialni, gdzie scena odgrywać się miała.

Drzwi się otworzyły. Trzej bandyci wpadli, uchwy-

cili służącego (który był uprzedzony), strasząc że go zasztyletują, jeśli ich nie zaprowadzi do izby sypialnej swego pana.

Usłuchał i prowadził ich z udanem przestrachem, gdy tymczasem Davis zemknął połączyć się z sąsiadami, i wziąść udział w tej amerykańskiej pohulance.

Przybywszy do łóżka, gdzie pan Brooks udał gwałtownie przebudzonego, zażądali kluczów od jego skarbów. Oddał je. Kufer stał właśnie naprzeciw drzwi, gdzie byli postawieni sąsiedzi. Skoro tylko jeden ze złodziei włożył klucz do zamku od kufra, drzwi się otworzyły i cztery strzały położyły bandytów o ziemię.

Dwóch było na miejscu zabitych, trzeci zaś ciężko ranny w głowę i w udo. Chciano go dobić, ale że to był właśnie ten sam co oddał Irlandczykowi pieniądze, więc na jego wstawienie wydali go tylko w ręce sprawiedliwości.

Dwóch amputowanych.

Kiedy Król Pruski zwiedzał po wojnie Szlezwigskiej szpitale wojskowe, ujrzał żołnierza z uciętemi rękami i nogami, które w Szlezwigu postradał.

— Co sobie życzysz? zapytał król.

— Każ mnie natychmiast rozstrzelać Najjaśniejszy Panie.

— Prawa Boskie i ludzkie sprzeciwiają się temu, mówił mu król.

— A więc niech będzie przeklęty doktor co mnie wyleczył!

Mocno wzruszony Monarcha odwrócił się i uronił kilka łez litości.

To przypomina coś podobnego co się stało pod Sebastopolem.

Żołnierz francuzki z 27go pułku piechoty, miał także ręce i nogi amputowane. Dobre Siostry mimiłosierdzia Sgo Wincentego à Paolo, podziwiając jego męztwo i spokojność duszy, zapytały go się raz z ciekawością niewieścią:

— Co byś też zrobił, gdyby ci ręce i nogi powrócono?

— Powróciłbym pod Sebastopol, odpowiedział bez namysłu.

Nieuszanowanie Anglików dla cudzej kieszeni.

Któż nie słyszał o napadach po drogach w Anglii? Dawniej człowieka podróżującego w nocy co nie został obdarty, uważano za originała.

Lord Berkeley przebywając krzewiska Hunslow, drzymał spokojnie w powozie, wtem przebudza go jakiś głos mówiący:

— Chwaliłeś się nieraz Milordzie, że cię nikt obedrzeć nie potrafi, zobaczymy to dzisiaj:

Był to bandyta co tak przemawiał, stojąc na szczeblu od powozu i przykładając pistolet do piersi Lorda.

— Nicby i dzisiaj z tego nie było, gdyby nie ten drab co stoi za tobą i wytrzeszcza na mnie ślepia; odrzekł Berkeley, kładąc rękę do kieszeni, jakby po sakiewkę.

Bandyta ciekawy zobaczyć przybysza obejrzał się, wtem Lord szybko wydobył pistolet i palnął mu w łeb.

Sposób dojrzewania.

Raz ojciec synowi wymawiał różne wady, zwłaszcza jego lekkomyślność i rozrzutność.

— Ba! jeszcze jestem młody, trochę może za zielony; mam czas to dojrzeję.

— Tak, jak te owoce co dojrzewają na słomie, odpowiedział ojciec.

Pies.

Jedna aktorka w Bostonie (w Ameryce) posiadała psa nadzwyczaj wyrozumiałego. Spokojność i dobroć zwierzęcia zjednały mu powszechne względy o tyle, że aż go przyjęto za kulisy wczasie reprezentacyi; honor, który tylko gentelmanów spotyka. Pies usadowiwszy się poważnie, poruszał swym ładnym łbem, jak mu się gra aktorów spodobała, a żywo srebrne oczy jego ścigały wszystkie ruchy swej pani. Raz tylko, czy dwa razy kiedy oklaski w całej mocy wybuchnęły, Neron pozwolił sobie zaskomleć z radości; lecz nie było to ani szczekanie ani wycie, tylko coś pełnego słodyczy i muzykalnego. Oprócz tych lekkich przekroczeń, ludzie najsurowsi nie mieli co powiedzieć przeciw jego przyzwoitości i postawie.

Jednego wieczora przedstawiono dramat szumnej wystawy, obfity w trucizny, w sztylety i wielki szereg okropnych przekleństw. Pierwszy to raz grano podobną sztukę na teatrze, gdzie często oklaskiwano i wywoływano panią *** właścicielkę owego ślicznego i dowcipnego Nerona.

Na końcu piątego aktu, zbójca, pierwszy aktor dramatu, miał napaść na piękną aktorkę i bez litości zasztyletować ją. Nareszcie w chwili stanowczej, w chwili okrutnej, aktorka co grała sumiennie swą rolę, rzucała wzrokiem obłąkanym, i na jej licach malowały się gwałtowne symptomata trwogi, którą przejętą być miała; scenę tę cudownie odgrywała. Jednem słowem, kiedy fatalny cios dosiągł jej piersi, Neron który śledził wszystkie ruchy tej sceny okiem coraz mocniej rozjuszonem, cisnął się na zbójcę, schwycił go za gardło i bez zmysłów rzucił o ziemię.

Na ten widok aktorki uciekły, aktorowie rzucili się ratować swego kolegę, muzycy z orkiestry skoczyli na scenę, ciekawi z zakulis pobiegli tamże; hałas i nieład doszły do najwyższego stopnia. Parter usłyszawszy krzyki wśród tego tłumu hurmem wyległ na scenę. Wreszcie nadleciała i policyja do zaprowadzenia porządku.

Byłto tumult niedoopisania. Wiele osób zostało pogryzionych, ci zaś co im się nic nie stało, ze strachu najwięcej krzyczeli. Nareszcie właścicielka psa podołała wydobyć z placu boju swojego obrońcę. Pomału ustał nieporządek — po burzy zajaśniała pogoda.

Neron rozpoznał swój błąd i biegał od jednego do drugiego, to się łasząc, to kręcąc ogonem, jakby żądając przebaczenia za swoje głupstwo. Przebaczono mu, ale mimo tego już nie jest przyjęty za kulisy.

Korzystny handel.

W przeszłym roku pewien Anglik z Wolverhampton sprzedał swoją żonę i troje dzieci jednemu Gentelmanowi amerykańskiemu za 150 funtów szterl.

Po dobitym targu Amerykanin uwiózł kobietę i dzieciaki do Londynu. Po dwóch tygodniach upłynionych, kobieta zaczęła żałować. Jej mąż nie był wprawdzie bogatym, nie opływał w wielkie dostatki, ale jednakże była z nim szczęśliwą. Amerykanin przeciwnie szastał złotem, najmniejszem jej chęciom dogadzał, lecz z natury był grubijaninem i brutalem.

Między dwoma, jej serce nie wachało się. Jednego poranku zabrawszy dzieci, kufry i tłómoki, powróciła do Wolverhampton. Amerykanin telegraficznie uwiadomił jej męża, że mu doda jeszcze 50 funtów szterlingów, jeżeli nakłoni swoją żonę do nowej zmiany.

Po wielu perswazyjach, kobieta przystała na ten nowy traktat, i jednej soboty Gentelman udał się do Wolverhampton zapłacić funtów 50 i odebrać swoją własność.

Wypito razem herbatę i wieczór o godzinie siódmej udano się na dworzec kolei. W chwili kiedy konwój miał ruszać, Amerykanin wręczył banknot szafarzowi angielskiemu, który bez obejrzenia włożył go do kieszeni, bo mocno był zajętym zasyłaniem całusów swojej ex-żonie.

Powróciwszy do siebie, rozwinąwszy papier, z wielką zgrozą ujrzał nie 50cio ale 5cio funtowy banknot. Uniesiony, obrażony do żywego, tracąc prawie głowę, udał się do biura telegrafu, i następującą depeszę wystosował do Policyi Londyńskiej:

„Człowiek wysoki, chudy, uciekł z moją żoną i „trojgiem dzieci, z psem, dwoma kuframi, z poko„jówką, dwoma tłómokami i pudłem od kapelusza. „Amerykanin, przepasany pasem, za którym zasa„dził rewolwer. Pojechali do Londynu, ale mąż na„stępnym pociągiem przybędzie od Birmingham. „Aresztujcie ich.“

Istotnie zostali przytrzymani; lecz jak mąż przybył wszystko się wyjaśniło. Amerykanin nie miał żadnej chęci oszukania swego kupca. Zamiast z prawej strony pugilaresu, gdzie się znajdowały grubsze banknoty, przez pomyłkę wyjął z lewej, gdzie były drobniejsze.

Zwrócił więc należytość swemu kupcowi, który uściskawszy dzieci i swoją ex-żonę, spokojnie powrócił do Wolverhampton; gdy tymczasem Amerykanin ze swym towarem pospieszał do Londynu.

Gdzie to miłość wiedzie.

Gazeta frankfurcka w swojem kuryjerze Wiedeńskim opowiada, że się mocno ubawiono zeszłego roku w Trybunale Wiedeńskim, z pewnego Żaka, pierwszego zakrojczyka u pierwszego krawca damskiego w Wiedniu.

Ten pan Żak jest to młody i piękny mężczyzna, z okiem żywem, z włosem bląd i postawą prawie elegancką.

Damy, jak wieść niesie, czują niejakiś powab w widywaniu go; a pan jego co się na tem poznał, strzeże się trzymać go przy warsztacie. Czynność jedyna pana Żaka, ogranicza się na obchodzeniu dam, dla brania jem miary na suknie i do przymierzania tychże w ich apartamentach.

Tym sposobem pan Żak posiada bardzo liczne znajomości między płcią piękną.

Bądź co bądź młody faktor dotąd nie korzystał z tych mnogich wizyt. Przeciwnie, jak sam mówi, serce jego zostało nietykalne i czyste. Nie znał jeszcze miłości dopókąd zawistny los nie kazał mu wziąść miary pannie Henryjecie F... Od owego czasu biedny Żak uległ gwałtownej namiętności.

Po trzy razy był powracał do panny Henryjetty przymierzać jej suknią balową; po trzy razy posiadał w swych objęciach śliczną kibić pięknej Henryjetty; po trzy razy miał się rzucić do nóg młodej panny, wołając głosem najsłodszym:

— Panno, kocham cię!

Lecz zawsze męztwo go odbiegało i opuszczał smutno apartamenta ubóstwianej, nie mogąc wynurzyć gwałtownych uczuć swego serca.

Kilka dni temu Żak przyniósł pannie Henryjecie suknią do przymierzania. Suknia ubierała ją cudownie; piękna dziewczyna uszczęśliwiona, wybiega upojona radością, podzielić swą radość z ukochaną mamą.

Młody krawiec korzystając z jej nieobecności, pożerał niedyskretnemi oczyma wszystko, co należało do umiłowanej sercem. Już był pôniósł świętokradzkie usta do malutkiej batystowej chusteczki co na stole leżała, i już się było dostało mikroskopicznym trzewiczkom, co się gdzieś pod fotelem wałęsały, gdy nagle spostrzega na serwantce medalijon złoty, co rysy pięknej Henryjetty zawiera.

Porwać go, zamknąć w portmonetce, było to dziełem jednej chwili, i kiedy zaledwie go schował, nadeszła panna Henryjetta i zakochanego krawca odprawiła.

Pan Żak znajdował się u szczytu szczęścia.

— Biegnę natychmiast do fotografa, mówił sobie, każę odbić ten portret; a ponieważ mam powrócić pojutrze, to nikt tego nie dostrzeże. Tak doskonale! nareszcie będę posiadał zachwycający obraz tej, którą do szaleństwa kocham.

W kilka godzin po odejściu faktora spostrzeżono się, że medalijon zginął!

— Nie ma wątpliwości, mówiła pani F... złodziej nie jest kto inny jak krawiec, bo on sam znajdował się tylko w pokoju Henryjetty — i nie wachając się ani chwili, zaniosła do Policyi skargę na Żaka.

Piękny Żak staje więc we czwartek przed Policyją poprawczą, oskarżony o kradzież.

Oszczędzę wam szczegółów tej sprawy. Wiedzcie tylko że kilkakrotnie biedny młodzieniec ze łzami w oczach wołał:

— Ależ panie sędzio! czyż to zbrodnia kochać?

I wiedzcie że wszystko skończyło się na uwolnieniu obwinionego od zarzutu.

Szepczą tylko bardzo po cichu i to może złe języki, że odtąd pannie Henryjecie pochlebia miłość pięknego Żaka.

Pan za mądry dla lokaja.

Pewien lokaj przedstawił się hrabiemu B... w celu przyjęcia u niego służby. Mówił że jest dobrych chęci, za wierność zapewniał, jednakże upraszał łaskawego pana o pozwolenie przedłożenia mu pewnej małej kondycyjki, a to że jest za dalikatnym do noszenia drzewa z piwnicy na górę.

— To bagatela, odpowiedział pan, każę nosić najemnemu. Ośmielony tą łatwością lokaj, wyznaje jeszcze, że jego delikatność nie pozwala mu froterować posadzki.

— To mała rzecz, odpowiada hrabia, to ja z hrabiną wyfroterujemy sami. Nie masz jeszcze jakiej kondycyjki do przedłożenia?

— Oh! panie, przepraszam, ale widzę że dobrze zrobię, jak pójdę sobie precz.

— A to dla czego?

— Bo pan jesteś dla mnie za mądry, odpowiedział, i wyszedł.

Oliwa wyszła na wierzch.

Pewien mieszkaniec Nowego Jorku udał się na wyszukiwanie ziemnego oleju w okolice Waszyngtonu.

Po nadaremnem kopaniu studzien na które wyłożył 4500 dolarów, został bez grosza. Dowcipny Yankee kupił na kredyt pięć beczek oleju i wlał go w studnią. Nazajutrz zaczął pompować; z wielkiem zadziwieniem sąsiadów ujrzano olej. Nim ciecz wyczerpał, znalazł się kupiec co studnią za siedm tysięcy dolarów kupił, z któremi Yankee spokojnie do domu powrócił.

Jarmarki uprzywilejowane w Galicyi Zachodniej.

Obwód Bocheński.

Bochnia. 2 stycznia, w pon. po niedzieli septuagesima, po 3 nied. postu przez wszys. tyg. od czwartku aż do piątku po Wnieb., w piątek po Bożym Ciele, 24 czerw., 30 czerw., 22. lip., 10 sierp., w pon. po Podw. ś. Krzyża, w pon. po Różań., 11 listop.

Brzesko. We wtorki co 3 tyg. 17 jarm.

Czechów. We wtorki co 3 tygod. jarm.

Dobczyce. W roku 12 jarm. t. j. każdego miesiąca w 1 czwartek.

Droginia. Na św. Walen., na św. Wojc., na NP. Skaplerzną.

Niegowice. W dzień po Trzech Król., na ś. Wojc., na ś. Annę, na ś. Urszulę.

Niepołomice. W dzień po Trzech Król., w pon. po niedz. palmow., 8 maja, w pon. po ś. Trójc., 24 czerw., na ś. Annę, w ś. Mat., 4 Listopada.

Podgórze. W każdą środę po pierwsz. każdego miesiąca.

Szczuczawa. Od dwóch do dwóch tygodni jarmarki się odbywają.

Trzciana. W dzień po niedz. kwietniej, w dzień ś. Małgorzaty, w ś. Michał, w dzień po ś. Marcinie.

Uście solne. 25 kwietnia, 24 czerwca, 24 sierp., 22 października.

Wieliczka. W stycz. w ponied. przed ś. Agniesz., przed NMP. Grom., w ostat. pon. przed ś. Kazim., w pon. po nied. kwiet. przed Znalez. ś. Krzyża, we wtor. po Ziel. świąt., w pon. przed ś. Jan., ś. Jakób., ś. Hyacentym, ś. Michał., ś. Szymonem Judą, ś. Klemens., ś. Tomaszem.

Wiśnicz. W Trzech Króli, w dzień po Wszyst. SS., 21 grud.

Wojnicz. w pon. od 3 do 3 tygodni.

Zakluczyn. w pon. od 3 do 3 tygodni.

Obwód Jasielski.

Biecz. Na nawróc. ś. Pawła, w środopos., pon. po przew. nied., po Wniebow., po ś. Piotrze i Pawle, na ś. Wawrz., ś. Mat., na ś. Mikołaj.

Dukla. W dzień po 3 Kr., na ś. Mat., na Wnieb., Boże Ciało, ś. Jana Chrzc., ś. Katarz. i na ś. Tomasza.

Gorlice. Wtorki po 3 Król., ś. Mac., nied. palm., ś. Filip. i Jak., Wniebow. NMP., ś. Franc. Seraf., ś. Marc., po 3 nied. Aw.

Jasło. Na 3 Król., ś. Błaż., ś. Wojc., ś. Mał., Wnieb. NMP., ś. Mac., w dz. Wszystkich SS.

Jedlicze. 25 lut., 30 kwiet., 18 czerw., 9 sierp. i 20 września.

Kroczyn. 30 kwiet., 15. czerw., 30 sier., 1 grud.

Krosno. Na Nowy Rok, w pierw. sobotę po Wielk. Nocy, w pon. po ś. Trójc., w dzień ś. Igna., ś. Szym. i Jud. na płótno, konie i woły.

Niebylec. W dz. po ś. Walen., d. 15 lut., 1 wrześ., 7 listop., 28 grudnia.

Żmigrod. 3 lut., w środku pos., na ś. Woj., w ś. Jan Chrzc., ś. Jak., w ś. Jadw. i w ś Łuc.

Obwód Krakowski.

Alwernia. 5 stycz., 25 lut., 19 mar., 24 kw., 16 maja, 24 czer., 18 lipc., 17 sierp., 23 wrześ., 21 paźd. 23 listopada i grudnia.

Chrzanów. W 2gi pon. po 3 Król., po Ocz. NMP., w d. ś. Grzego., ś. Filipa i Jak., ś. Jana Chrzc., na ś. Jak. ap., ś. Małg., Wniebow. NMP., ś. Franc. Borg., Szymona i Judy, ś Marka, ś. Mikołaja bisk.

Czernichów. W nied. 1szą po 3 Król., po NMP. Grom., ś. Józefie, ś. Wojc., Wnieb., po ś. Trój., ś. Jak., Bartł., Mateuszu, Szym. i Judzie, Katarzynie i Tomaszu.

Jeleń. W d. obrzez. Chryst. P., w nied. starozap., na ś. Józef, 3 czerw., w 1szą nied. po ś. Janie Chrz., na ś. Jak., na 2gą niedz. po ś. Wawrz., na Podwyż. ś. Krzyża, w 1szą nied. po ś. Franc. Ser., w nied. po Wszyst. SS. i w 1 nied. po ś. Mikołaju.

Kraków. Ma jarm. dwa na towary, 1szy dnia 23 kwiet., 2gi 29 września, każdy z nich trwa dni 14, nadto na bydło: 1 w pon. po 4 nied. postu i 1 paźd. każdy trwa 5 dni; co wtor. i piąt. targ tyg., co piąt. walne targ. woł.

Krzeszowice. W każd. tyg. w pon. targ.

Liszki. Ma jarm. 12, każdy w podnied. piewszego miesiąca.

Nowa-Góra. W 1szą nied. po ś. Agnie., Znalez. ś. Krzyża, ś. Michale, ś. Tomaszu.

Paczółtowice. Co 2gi wtorek ma jarm. walne.

Trzebinia. W 1szą nied. po 3 Król. i po NMP Gromn., w nied. białą, na ś. Wojc., Stanisława, Piotra i Paw., w 1szy pon. po ś. Jakób., na ś. Bartłom., ś. Mateusza, w pon. po ś. Szymon. i Judzie, w nied. po ś. Katarzynie, na ś. Tomasza — targi co niedziela.

Obwód Rzeszowski.

Głogów. Na przędzę 2 i 11 stycznia, 24 lut., 12 marc., 8 maja, 24 czer., 22 lip., 6 sierpnia, 9 wrześ., 25 paźd., 16 list., 6 grudnia.

Grodzisko. 6 stycznia, 2 lut., 3 i 19 marca., 3 i 20 maj, 29 czerw., 14 wrześ., 1 listopada., 4 grudnia.

Jawornik. 2 stycz., 28 marc., 1 maja, 24 czerwca., 29 września.

Kańczuga. 6 stycz., 2 lut., 25 kwiet., 29 czerwca, 22 lipca, 15 sierp., 29 września, 4 listop., 4 grudnia.

Leżajsk. 21 stycz., 23 kwiet., w dzień po Wniebowstąpieniu Pań., 24 sierp., 4 paźd., 4 grudnia.

Łańcut. 7 stycz., 3 lutego, 15 marca, 16 maja, 13 czerw., 10 i 26 lipca, 24 sierp., 6 paźdź., 11 i 30 listopada.

Przeworsk. 2 stycz., 19 marca, 1 maja., 25 lipca, 3 paźdź., 19 listopada.

Radomyśl. 6 stycz., 4 mar., 23 kwiet, w dn. Wniebowstąpienia, 24 czerwca, 19 sierpnia, 30 wrześ., 25 listopada.

Rudniki. 27 stycz., 9 marca, 5 kwietnia, 21 wrześ., 21 paźdź., 30 listopada.

Rzeszów. 14 marca, 23 kwiet., w dzień po św. Trójcy, 2 lipca, 21 września, 2 listopada, 21 grudnia.

Sędziszów. 19 marca, 25 kwietnia, na konie 3 czerwca, 2 lipca, 11 wrześ., 12 listop., 12 grudnia.

Tarnobrzeg. Ma 12 jarmarków z końcem każdego miesiąca.

Tyczyn. 2 i 25 stycz., 26 marca, 11 czerw., 21 września, 24 listopada.

Ulanów. 2 stycznia, 1 mar., 2 kwietnia, 23 kwiet., w dzień Wniebowstąpienia Pańsk., w pon. po ś. Trójcy, 20 lipca, 23 sierpnia, 29 wrześ., 11 listop., 4 grudnia.

Zołynia. W nied. kwietnią, w dzień ś. Trójcy, 11 sierp., 21 grud. trwają po 2 dni na len, przędzę i płótno, zaś 25 stycznia, 24 lutego, 11 maja, 22 lipca, 8 września, 27 października, 25 listopada.

Obwód Sandecki.

Bobowa. Na płótno, przędzę i len na ś. Prokopa, w dzień po Narodz. NMP., ś. Bartł., ś. Łucyi, ś. Zofii, w pon. po Wszyst. Święt., w dzień po nawróceniu ś. Pawła, w nied. po ś. Franciszku wyz., na ś. Weronikę, 1 maja, 10 sierpnia, 11 listopada.

Ciężkowice. W poniedz. po ś. Wojc., Wniebow., Podw. ś. Krzyża, w 1szy pon. postu, w poniedz. po Nowym Roku, poświęceniu Kościoła, Bożem Ciele, niedz. Laëtare, ś. Małgorz., ś. Hyacyncie, ś. Franciszku Seraf., ś. Jakóbie, ś. Jędrzeju.

Dunajec czarny. Na płótno w ostatni poniedz. zapustny, w pon. po wielk. tygod., po ś. Trójcy, Wniebowstąpieniu NMP., 2 listopada, w pon. ostatntej niedzieli Adwentowej.

Grzybów. Na św. Agnieszkę, na św. Kazimierza, w pon. środopostu, we wtorek św. Wielkiej Nocy, na Podniesienie. św. Krzyża, we wtorek po Zielon. Świętach, w ponied. po ś. Janie Chrzc„ w dzień ś. Anny, w pon. po ś. Wawrzyńcu, po Narodzeniu NMP. w ś. Mateusza, w ś. Katarzynę, na ś. Jana Ewangelistę.

Krościenko. We wtorek po Zielon. Święt., na św. Annę, ś. Michała i Wszystkich Świętych.

Limanowa. W pierwszy dzień po Now. Roku, po NP. Grom., po nied. Laëtare Conductus, na ś. Filipa i Jakóba ap., ś. Wawrz., w dzień powsz. po ś. Michale i po Wszyst. SS., w ś. Marcina bisk., w ś. Tomasza.

Łącko. Co 3 tyd. w pon. targ się odbywa, jeżeli na ten dzień nie padnie święto.

Lubomierz czyli Lubowa, w dzień po Nowym Roku, na ś. Grzeg., w dzień po Narodzeniu P. Maryi.

Łukowica. W dzień po NP. Grom., po Podwyż. ś. Krzyża, Znalez. ś. Krzyża, ś. Jędrzeju, ś. Michale, w drugi dzień po niedz. Misericordia.

Muszyna. W dzień po Nowym Roku, po NMP. Grom., po Wniebowstąpieniu, na ś. Maryą Magdalenę, na ś. Michała, po niedz. przed Ofiarowaniem NMP.

Nowy Sącz. 2 i 21 stycz., w 1 pon. postu, w pon. po niedzieli palmowej, ś. Małgorzacie, na ś. Wojciecha, Znalezien. ś. Krzyża, w dzień po ś. Piotrze i Pawle, Objaw. Pań., na Podwyższenie ś. Krzyża, w ś. Marcina, w ś. Stanisława bis.

Nowy Targ. W poniedziałek. po 3 Król., na ś. Agnieszkę, na ś. Dorotę, ś. Józefa, w pon. po Narodzeniu Panny Maryi, w niedz. po ś. Wojciechu, we wtorek po Zielonych Świętach, na ś. Jakóba, ś. Jana Kant., w dzień po ś. Michale, w ś. Antoniego z Padwy,

w pon. po ś. Katarzynie, ś. Łucyi, w dzień Ścięcia ś. Jana Chrzciciela.

Piwniczna. 2 stycznia, w pon. po nied. Laetare, we wtorek po Zielonych Świątkach, 25 lipca, 12 sierpnia.

Stary Sącz. We środę po 3 Król., przed nied. postu, po Popielcu, przed niedz. białą, po Wielkiej Nocy, przed ś. Stanisławem, przed św. Janem Chrzc., ś. Jakóbem, Wniebowstąp., Narodzeniem NMP., ś. Szymonem i Judą, ś. Elżbietą, ś. Tomaszem ap.

Tylicz. W dzień po 3 Królach, w dzień po niedz. Conductus Pascha, po Ziel. Święt., po ś. Piotrze i Pawle, po Wszystkich SS., w ś. Andrzeja.

Tymbark. W pon. po Bożem Ciele, na ś. Jakóba ap., w dzień po NMP., na ś. Jadwigę.

Zbyszyce. Na ś. Fabijana i Sebastyana, w św. Walentego, ś. Józefa, ś. Makarego, ś. Jana Nepom., ś. Jana Chrz., ś. Annę, na ś. Bartłom., na ś. Macieja, w ś. Łuk., w ś. Katarz., ś. Tom.

Obwód Tarnowski.

Dąbrowa. Na Ziel. Św., 15 lipca, na św. Michał na konie.

Dembica. 2 stycz., 2 lut., 25 kwiet, 14 maja, w Boże Ciało, w św. Małgorz., 24 czerwca, 15 paźdź., 4 grudnia.

Pilzno. W dzien po 3 Król. po 1szej niedz. po NMP Grom., na ś. Józefa, we wtorek po Wiel. Nocy, na ś. Wojciecha, ś. Stanisł., we wtorek po Ziel. Św., na narodz. ś. Jana targ na płótno, ś. M. Magdalenę, Wnieb. P. Maryi, na ś. Hieronima, ś. Jana Kantego, ś. Michała, w ś. Grzeg., po nied. 3ciej Adwentu.

Ropczyce. 7 stycz., 12 lutego, po wstęp. środzie od piątku 8 dni, 26 kwiet., 26 maja, 22 lipca, 18 sierp., 28 października, 9 grudnia.

Szczucin. W ś. Dorotę, na ś Floryjana, ś. Trójcę, w ś. Magdalenę, w ś. Teresę, św. Barbarę, co poniedziałek targ tygodniowy.

Tarnów. W dzień po N. M. P. Grom., po nied. Cantate, w Maryją Magdal., w Podw. ś. Krzyża dni jedenaście trwać mają.

Obwód Wadowicki.

Andrychów. Na drelichy, pestry, obrusy 19 mar., 24 sierpnia, 21 grudn., gdyby który na niedzielę lub święto przypadł, w następujący wtorek się odprawi.

Biała. Pierwszego dnia przed każdym z 4 następnych jarmarków Bielskich, jarmarki na konie, a mianowicie: w trzeci ponied. po 3 Król., w drugi ponied. po ś. Janie Nep., w 1szy ponied. po śś. Jak. i Szym. Jud. targ tygodniowy w każdą sob., na wełnę, 1 sier. 5 dni.

Kalwarya. 25 stycz., 4 maja, 17 sierp., 19 listop.

Kęty. 13 stycznia, 12 maja, 15 wrześ., 15 grud.

Lanckorona. W ponied. po 3 Król., na ś. Agnieszkę, w ś. Kazimierza, w 1 pon. po Ziel. Świętach, w ś. Wojciecha, w ś. Stanisł., 1szy poniedz. po ś. Trójcy, na ś Jana Chrzcic., na ś. Jakóba.

Maków. 29 stycznia, 2 maja, 7 sierp., 19 listop.

Milówka. Na len i przędziwo, w 1szy pon. każdego mies., gdyby na ten dzień święto przypadło, jarmark odbywa się we wtorek.

Myślenice. W dzień po 3 Król., we wtor. po Ziel. Święt., 25 lipca, każden po dwa dni na płótna.

Oświęcim. W poniedziałek po 3 Król., w ponied. po NMP. Grom., po nied. Oculi, po kwiet. niedz., po ś. Wojciechu, po Wnieb. Pańsk., po ś. Piotrze i Pawle, po ś. Piotrze w Okow., po ś. Egidiuszu, po ś. Franciszku Seraf., po ś. Janie Nep., Pociesz. NP., każden dni 8 trwać może.

Podbiecz. 10 lutego, 27 kwiet., w środę po św. Wojc., 25 czerw., w pierwszą środę po ś. Janie. Chrzc., w sierp. po Wniebowzięciu NMP., w paźd. po ś. Michale, po ś. Łucyi.

Skawina. 2 stycz., 9 kwiet., 19 sierpnia, 4 paźdź.

Sucha. W pierwszy poniedz. po Now. Roku, w ś. Wojciecha, w pon. po Wiel. Nocy, Wniebowstąp. NMP., na ś. Marcina, w św. Teresę, w ś. Poczęcia NPM.

Wadowice. W 1szy poniedz. każdego miesiąca, targi tygod., w każden czwartek.

Wiliamowce. Po nawróceniu ś. Pawła, w d. po ś. Janie Nep., po ś. Bartłomieju, po ś. Jadwidze, po 3 dni trwają.

Zator. 28 stycz., 28 kwiet., 30 czerwca, 22 września. Co poniedziałek targ tygodniowy.

Żywiec. W poniedziałek po 3 Królach, w poniedziałek po nawróceniu ś. Pawła, 25 stycznia, w poniedziałek po Wniebowstąpieniu Pańskiem, po ś. Janie Chrzcicielu, po św. Michale, Marcinie, na ś. Tomasza 21 grud. i co środę targ tygodniowy.

Tabelka stęplowa.

Skala I.
NA WEKSLE.

					Należytość stęplowa zł.	Należytość stęplowa cent.
		do	60	zł.	—	5
nad	60	„	120	„	—	10
„	120	„	240	„	—	20
„	240	„	360	„	—	30
„	360	„	480	„	—	40
„	480	„	600	„	—	50
„	600	„	720	„	—	60
„	720	„	840	„	—	70
„	840	„	960	„	—	80
„	960	„	1080	„	—	90
„	1080	„	1200	„	1	—
„	1200	„	2400	„	2	—
„	2400	„	3600	„	3	—
„	3600	„	4800	„	4	—
„	4800	„	6000	„	5	—
„	6000	„	7200	„	6	—
„	7200	„	8400	„	7	—
„	8400	„	9600	„	8	—
„	9600	„	10800	„	9	—
„	10800	„	12000	„	10	—
„	12000	„	13200	„	11	—
„	13200	„	14400	„	12	—
„	14400	„	15600	„	13	—
„	15600	„	16800	„	14	—
„	16800	„	18000	„	15	—

i t. d. od każdych 1200 zł. o 1 zł. więcej, a każde 1200 niespełna liczy się za całość.

A zatem do kwoty 1200 zł. włącznie wypada od każdych 120 zł. ogólna należytość 10 c. a od 1200 zł. wyżej od każdych 1200 zł. ogólna należytość 1 zł., przyczem każda reszta pozostała przy podzieleniu ogólnej kwoty przez 120, a względnie przez 1200, jako cała kwota 120 zł. a względnie 1200 zł. uważaną być ma. Kwoty nie przewyższające 60 zł. podlegają należyt. stępl. 5 c.

Skala II.
NA DOKUMENTA.

					Należytość stęplowa zł.	Należytość stęplowa cent.
		do	20	zł.	—	7
nad	20	„	40	„	—	13
„	40	„	60	„	—	19
„	60	„	100	„	—	32
„	100	„	200	„	—	63
„	200	„	300	„	—	94
„	300	„	400	„	1	25
„	400	„	800	„	2	50
„	800	„	1200	„	3	75
„	1200	„	1600	„	5	—
„	1600	„	2000	„	6	25
„	2000	„	2400	„	7	50
„	2400	„	3200	„	10	—
„	3200	„	4000	„	12	50
„	4000	„	4800	„	15	—
„	4800	„	5600	„	17	50
„	5600	„	6400	„	20	—
„	6400	„	7200	„	22	50
„	7200	„	8000	„	25	—

Nad 8000 zł. od każdych 400 zł. opłaca się nadwyżki po 1 zł. 25 cent. — ilość niedochodzącą 400 zł. uważana jest za całkowitą.

Skala III.

					Należytość stęplowa zł.	Należytość stęplowa cent.
		do	10	zł.	—	7
nad	10	„	20	„	—	13
„	20	„	30	„	—	19
„	30	„	50	„	—	32
„	50	„	100	„	—	63
„	100	„	150	„	—	94
„	150	„	200	„	1	25
„	200	„	400	„	1	50
„	400	„	600	„	3	75
„	600	„	800	„	5	—
„	800	„	1000	„	6	25
„	1000	„	1200	„	7	50
„	1200	„	1600	„	10	—
„	1600	„	2000	„	12	50
„	2000	„	2400	„	15	—
„	2400	„	2800	„	17	50
„	2800	„	3200	„	20	—
„	3200	„	3600	„	22	50
„	3600	„	4000	„	25	—

Nad 4000 zł. od każdych 200 zł. nadwyżka 1 zł. 25 cent. — ilość niedochodząca 200 zł. uważa się za całkowitą.

Uwaga ogólna. Stronom dozwolone jest wszystkie opłaty skal powyższych, jeżli przewyższają kwotę 20 zł. (czyli z dodatkiem nadzwyczajnym 25 zł.), albo za pomocą marek stęplowych, albo przez zapłacenie opłaty w gotówce, w urzędzie do poboru należytości uprawnionym, zaspokoić.

SKŁAD

MATERYJAŁÓW PISEMNYCH, PRZEDMIOTÓW RELIGIJNYCH

i różnych Galanteryj

J. BENSDORFFA

w Rynku Głównym od ulicy Grodzkiej (w domu pod złotym karpiem)

W KRAKOWIE,

sprzedaje **100** listów, **100** kopert i **100** pieczątek od **1** złr. do **2** złr. **70** cent. w. a., i od **jednej** do **czterech** liter można mieć wybite na każdej setce gratis; — **Papieru** zwyczajnego do pisania librę od 12 cent itd.; — **Papier angielski** w małym formacie od 1 złr. 25 cent. do 1 złr. 50 cent. paczka; — Papiery marmurkowe, morowe, safijanowe i złocone w desenie; — **Papiery na powinszowania** dla dzieci; — 6 listów z kopertowemi klapkami w kopercie ozdobnej 14 cent.; — **Bilety wizytowe** drukowane i wyciskane; — Papiery kolorowe w różnych gatunkach gładkie; — Ornamenta do książek i kajetów; — **Piórniki**; — **Farby**; — **Pióra**; — **Ołówki**; — **Pastele**; — **Kałamarze**; — **Gryfle**; — **Tabliczki** kamienne i z papierowej massy; — **Scyzoryki**; — **Linijki**; — **Ekierki**; — **Kajeta** linijowane od 2 cent. itd.; — Książeczki do notatek i książki in folio rubrykowane do potrzeb domowych; — **Kreda** w sztabkach; — **Atrament** alizarynowy w flaszkach, Galasowy przedni, kwarta 25 cent., sprzedaje się i częściowo od 1 cent. itd. jako też i na flaszki od 4 do 50 cent. — Systematyczne **Wzory** rysunkowe i kaligraficzne; — Wzorki rysunków od 1 centa itd.; — **Klej** angielski w płynie; — **Lak**; — Papier na papierosy; — Kałamarze ozdobne na biórka; — **Piasek** złoty i niebieski; — **Pendzle** malarskie; — **Ciężarki** do przyciskania papierów; — **Papeterye,** portofelia z przyborami i bez przyborów; — **Teczki**; — Podkładki ceratowe; — Metamorfozy; — **Abecadło** ruchome; — **Lakier** do akwarel, ołówkowych rusunków i do olejnych obrazów; — **Cygarnice**; — **Portmonety**; — **Albumy** na fotografije od 60 centów do 60 złr.; — Albumy na imionniki; — **Ramka** do fotografij wizytowych od 10 cent. do 5 złr.; — **Ramy** złocone; — **Obrazy** duże Świętych; — **Obrazki** na setki, setka od 15 cent. do 3 złr., koronkowe sztuka od 1 centa do 1 złr.; — Cieniowe obrazki do wieczornej zabawy; — Wzory do wyrzynania deseni z drzewa, wraz z opisem postępowania przy wyrzynaniu i lakierowaniu tychże przedmiotów; — Ołówki stolarskie; — **Żołnierze**, gry różne, dekoracyje, kulisy, pastuszki, zwierzęta, historyjki na arkuszach dla dzieci; — Widoków Szwajcaryi 12 sztuk, także Schakespeare dramatycynych obrazków; — Złoto i papier złocony na mikołaje; Nędza na kwiaty; — **Cyrkle**; — **Rajscajgi**; — Sztyfty do rajsbretów; — **Pendzelki**; — **Tusze**; — Kalka papierowa i płócienna angielska; — Gumulastyka; — Radir Gummi; — Obrazy olejne na blasze i płótnie; — Obrazki plastyczne z massy i miedzi; — **Krzyże**; — **Kropielnice**; — **Figurki**; — **Popiersia** sławnych Mężów; — **Lampki** przed obrazy; — **Medaliki**; — **Krzyżyki**; — **Różańce**; — **Koronki**; — **Relikwijarze**; — Pozłacane francuzkie tak zwane double dor Pierścionki, Spinki pod szyję i do rękawów, Kulczyki, Branzoletki, Broszki, Guziki do rękawów, Szpilki; — Medaliony pamiętnikowe z brytańskiego kruszcu; — **Pieczątki** metalowe z różnemi znakami; — **Pularesy** na wizytowe bilety; — Umbrelki do lamp papierowe; — **Bilety z powinszowaniem Imienin** i Nowego Roku; — **Książki** do nabożeństwa w języku polskim, francuzkim i niemieckim, egzemplarz od 20 cent. do 25 złr. — Elementarze; — Katechizmy; — Domki do składania czyli Mały budowniczy; — **Perfumy**; — **Olejki**; — **Pomada** na wąsy Gelle Freres z Paryża; — **Wachlarze**; — **Lichtarze**;

Nesesery męzkie; — Na ściany metalowe ozdoby na zapałki; — Hafty do cygarniczak; — Zabawy papierowe dla dzieci; — Korony złocone z kamieniami do figur Matki Boskiej; — **Bibulki** angielskie na kwiaty; — Papiery na liście zielone; — Arnika papier na rany; — **Atrament** zielony, niebieski i czerwony; — Tabakierki szylkretowe, ze słoniowej kości i papierzane; — Kostki do gry; — Kostki do papieru; — Linijki palisandrowe; — **Bordury** złote, białe i czarne; — Krzyżyki i medaliki złote i srebrne; — Relikwijarze; — **Wota**; — **Mszały**; — Sylwetki; — Figurki srebrne i złocone; — Krucyfiksy z hebanu srebrem kute i ze słoniowej kości; — Obrazki ze słoniowej kości; — Okucia do książek; — **Termometra** w ozdobnych oprawach; — Puszki z farbą do listów; — Grzebienie; — Szczoteczki do zębów; — Mydełka pachnące; — **Karty** do gry i kabały Panny Lenormand; — **Nagrody** dla dzieci; — Sznurki gumowe do medalików; — Lusterka małe; — Nożyczki; — **Mydło** prawdziwe włoskie, służące tak do mycia się, golenia, jako i wywabiania plam; — Metachromatypie obrazki i lakier. — Nadszedł także z Paryża świeży transport: Różańców, Skaplerzy, Obrazków plastycznych, Figurek, Kropielnic tak metalowych jako i alabastrowych w wielkim wyborze.

Podejmuje się także wszelkich opraw książek i robót galanteryjnych.

Nakładem J. Bensdorffa wyszły następujące dziełka:

	złr.	kr.
Ołtarzyk złoty dla młodzieży, z 15 drzew., oprawny	—	50
Ubiory ludu polskiego z 12 kolor. obrazk. bez tekstu	1	—
Droga zbawienia, dla dzieci, z 25 drzewor.	—	20
Droga do Nieba, czyli duszy przewodnik, z 11 drzew.	1	—
Życie i cierpienia Pana i Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, z 8 kolor. obrazkami i kilkoma drzeworytami .	—	75
Przewodnik po Katedrze krakowskiej . .	—	30
Robinzon	—	30
Opowiadanie o zwyczajach i obyczajach ludu Polskiego	—	30
Opowiadanie o ludach polskich, z 12 kolor. obrazkami i kilkunastoma drzeworyt.	1	50
Historyjki o zwierzątkach dla dzieci . .	—	50
Kabała Panny Lenormand z wykładem i 36 kartami	1	20
Wybór najosobliwszych nabożeństw i pieśni, z 18 drzeworytami, oprawny . . .	—	80
Robinzon Kruzoe, z 8 kol. obrazkami dla młodzieży	—	75
Podróże Guliwera do Liliputów, z 8 kolor. obrazkami	1	—
Odkrycie Ameryki przez Kolumba Corteza Pizarra, z 6 kol. obrazkami . . .	1	—
Wiewiórka, imieniem Skoczek, dla dzieci, z 12 kol. obrazkami	—	35

	złr.	kr.
Zajmujące przygody, czyli Zjawiska przyrody, z 4 kolor. obrazkami . . .	—	80
Narzekanie i płacz Ojców Świętych, ozdob. 18 drzeworytami, opr.	—	50
Abecadlnik historyczny, z obrazkami i drzeworytami. Wydanie drugie znacznie powiększone dodaniem drzeworytów, Katechizmu dla małych dzieci i kilku powiastek	—	80
Przygotowanie do Przyjmowania Sakramentu Najświętszego na każdy dzień w tygodniu. Wydanie drugie. Opraw.	—	60
Ośm powiastek dla dzieci z obrazkami. I.	—	50
„ „ „ „ „ II.	—	50
Piętnaście powiastek dla dzieci z obr. I.	—	75
„ „ „ „ „ II.	—	75
Mistrz tańców kieszonkowy, czyli zbiór najnowszych i najulubieńszych porządków i zwrotów tańcowych	—	50
Kalendarz kieszonkowy na rok 1867 . .	—	20
Tabliczka mnożenia	—	1
Abecadło ruchome	—	40
Kanon	—	75
Kanon mniejszy	—	30
100 obrazków z modlitewkami	—	50
„ „ kolorow. .	—	80
100 obrazków z kolor. obwódkami . . .	—	20
Abecadło dla dzieci początkowych, na ark.	—	5
Popiersie Tadeusza Kościuszki	—	10

Snutli. — Niedole i pociechy.
Dymidowicza. Listy moralne.
Historyja dwudziestu czterech Męczenników.
Borzęcki. Logika.
Chęciński. Anioł i Czart.
Historyja o Sylfrydzie i jego synu.
Światło mądrości prawdziwej.
Krótkie zebranie nauki o tajem. wiary
Prawidła obyczajności.
Historyja o wiecznym żydzie.
Opis kościoła akademickiego ś. Anny.
Rozmyślanie gorzkiej męki.
Droga krzyżowa.
Pożar, obrazek z życia ludu wiejskiego.
Społeczeństwo dzisiejsze w obrazach p. W. Wieległowskiego.
Książeczka różnych nabożeństw.
Żywot świętego Patrycyusza.
Żacy krakowscy w r. 1849 J. J. Kraszewskiego.
Chrystus Pan.
Historya o Gryzeldzie i margrabi Walterze.
O ważności modlitwy.
Nabożeństwo dla użytku Bractwa.
Bajki Ignacego Krasickiego.
Żywoty niektórych świętych.
Żywot świętego Homobona.
Dwie powiastki.
Historyja o cierpliwej Helenie.
Tajemnice Różańca.
Żywy Różaniec.
Chęciński. Jałmużna.
Gregorowicz. Gawędy, 1. 2.
„ Książeczka obrazkowa.
„ Różności.
„ Obrazki hist.
Krótkie wiadomości z dziejów Polski.
Niewiarowski. Powinszowania.
Ilnickiej. Skarbczyk Polski.
Lenartowicz. Poezyje.
Biblioteczka dziesięcio-groszowa.
Życie Pana Jezusa.
Nauka spowiedzi.

Ensuite on trouve, encore des Ouvrages çidessous cités pour la jeneusse et les enfants:

1. Catéchisme en Image de l'Abbé Couissinier.
2. Abecédaire des Arts et Métiers.
3. Aaimons les Animaux, par D. Marion.
4. Abrégé pratique de la Doctrine Chretienne à Dijon.
5. La bonne journée Chretienne, Dijon.
6. La Sainte Famille, ou l'histoire de Tobie, Dijon.
7. Instruction et Conduite pour la première Communion, Dijon.
8. Le bon mariage, Dijon.
9. Le Véritable ami des Enfats, par Tdéophile.
10. Contes moraux pour la Jeneusse par Théophile.
11. Histoires tirées de la Bible par M. de Chanteau.
12. Instruction sur le Sacrament de pénitence, par l'Abbé Réaume.
13. Catéchisme dogmatique et moral, par Jean Coutourier.
14. Explication de la doctrine Chrétienne par son Eminence le Cardinal Morlot.
15. Historiettes.
16. Histoire de l'Ancien Testament.
17. Développement de la Doctrine Chrétienne par L. Boyeldieu d'Auvigny.
18. Etude sur l'enseignement Théologique par l'Abbé Martinet.
19. Histoire de St. Ignace de Loyola, par R. P. Bartoli Jesuite.
20. Voyages et Avantures de Bob l'Ecureuil.
21. Méthode simple et Amusante pour enseigner à lire.
22. Le Modèle des Veuves, par l'Abbé Ventura.
23. Le Guide des Séminaristes par l'Abbé H. Dubois.
24. Le dernier jour du Rédempteur par le Chanoine J. Bondil.
25. Monseigneur Flaget Evêque de Barstown par l'Abbé Degeorge.
26. La Vie de St. François de Salles par le Curé de St. Sulpice.
27. La Vie de St. Ignace de Loyola par Charles St. Foy.
28. Les Poëtes Franciscains par A. F. Ozanam.

29. Exposition de le Réligion Chrétienne.
30. Qu'est ce que Jesus Christ? par Monseigneur de Segur.
31. Livre des prières.
32. Petit manuel des prières.
33. Mois de Marie.
34. Le Pater medité.
35. Manuel de Piété.
36. The key of heaven (manuel des prières) Dublin.

On trouve en outre de petits globes géographiques, pour calculer les distances et les heures exactes, de touts les endroits du monde entier; et autres objets et marchandisses provenant des Fabriques de Paris.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

☛ Gdyby w wymienionych w niniejszym Kalendarzu nabożeństw w kościołach krakowskich odprawianych, lub też w jarmarkach zaszła jaka zmiana w r. b. uprasza się strony interesowane, iżby o takowych wprost *franco* pod adresem Józefa Bensdorffa donieść raczyły, przed dniem 1. Maja 1867 r. a to w celu umieszczenia tychże sprostowań w Kalendarzu na rok przyszły.